

Sophia James

*Motyl
z Karaibów*

Rozdział pierwszy

Londyn, maj 1822

Asher Wellingham, dziewiąty książę Carisbrook, stał w rogu salonu w towarzystwie gospodarza, lorda Henshawa, i obserwował damę, która siedziała samotnie w pobliżu estrady.

- Kto to, Jack? - zapytał z udawaną obojętnością.

W rzeczywistości zwrócił na nią uwagę zaraz po wejściu, rzadko się bowiem zdarzało, aby taka piękna kobieta wkładała tak mało elegancką suknię na bal, a potem siedziała samotnie, sprawiając wrażenie, jakby w ogóle nie zależało jej na jakimkolwiek towarzystwie.

- To lady Emma Seaton, kuzynka hrabiny Haversham. Przyjechała do Londynu sześć tygodni temu i od tamtej pory jest obiektem zainteresowania wszystkich młodych dżentelmenów.

- Przyjechała... skąd?

- Zapewne z prowincji. Jak widać, nie zdążyła jeszcze odwiedzić londyńskiego fryzjera. Nigdy nie widziałem takich włosów.

Wzrok Ashera powędrował ku przypominającym strzechę blond lokom, wymykającym się spod upinających je spinek. Domowa fryzura, domyślił się, i na dodatek nieprawnie wykonana, a jednak ogólny efekt wybielonych słońcem włosów, poprzetykanych pasemkami w kolorze złota i pszenicy, był urzekający.

Ludzie rzadko go zaskakiwali. Jeszcze rzadziej intrygowali.

Tej młodej damie, najwidoczniej niepozbawionej pewności siebie i ignorującej obowiązującą modę, to się udało. W końcu czy jakaś inna kobieta jadłaby kolację w rękawiczkach i oblizywała czubek pokrytego jedwabiem palca ubrudzonego wyciekającą z ciasteczka konfiturą? A ona właśnie to zrobiła.

Nie krygowała się, wzorem innych pań, przy roznoszeniu potraw przez kelnerów, lecz nakładała na talerz solidne porcje, jakby chciała się najeść za wszystkie czasy. Można by pomyśleć, że obawiała się, czy przetrwa długie przerwy między daniami. Czyżby w swoim dotychczasowym życiu na wsi doświadczyła braku pożywienia i teraz nie mogła uwierzyć w taką jego obfitość?

Zauważył, że inni też się jej przyglądają, co go zirykowało. Natężenie szeptów nasiliło się, gdy wstała. Była wysoka i szczupła, ubrana w suknię co najmniej o dwa cale za krótką jak na wymagania przyzwoitości, nie mówiąc już o wymaganiach mody.

Zewsząd słyszał złośliwe komentarze na jej temat. W każdym razie nie szczędziły jej ich panie, natomiast panowie bardziej skupiali się nie tyle na brakach w obyciu i garderobie lady Seaton, ile na tym, że pod tą niedoskonałą garderobą z całą pewnością kryje się doskonałe ciało.

Denerwowało go to, a nawet rozdrażniało, zarazem zastanawiał się, dlaczego, u licha, w ogóle go to obchodzi, skoro sama lady Seaton zdaje się nie zwracać na to uwagi. Jednak było w niej coś, co przykuwało uwagę. Coś znajomego. Ulotne wspomnienie, którego nie zdołał zatrzeć czas. Czyżby ją znał? Usiłował określić kolor jej oczu, ale z tak dużej odległości nie potrafił. Odwrócił się, przeklinając hrabinę Haversham za to, że nie zadbała o ubiór i uczesanie kuzynki. Pozostawił lady Emmę Seaton na pastwę bezlitosnych plotkarzy.

W salonie tłoczyli się mężczyźni i kobiety zajęci nieustającą paplaniną. W tym zgiełku melodia wykonywana przez kwartet smyczkowy była ledwie słyszalna.

Emeralda siedziała ze zmarszczonymi brwiami i zamkniętymi oczami, z trudem łowiąc pojedyncze dźwięki. Obecni tu ludzie najwidoczniej nie przywiązywali wagi do muzyki, nie rozumieli, że aby ją docenić, należy jej słuchać w skupieniu i ciszy.

Nie znała wykonywanego utworu. Był lekką w formie kompozycją angielską. Brakowało jej ukochanej harmonijki ustnej i wydobywających się z niej łagodnych dźwięków, wtórujących falowaniu morza. Zateśkniała za Jamajką.

Nie, nie wolno jej o tym myśleć, przywołała się do porządku. Wyprostowała się na krześle i zmusiła do obserwowania tłoczących się wokół niej ludzi.

W obecnej chwili tu było jej życie.

Jest w Anglii.

Pogładziła palcami jedwabną suknię, która kępowała jej ciało. Uniosła do ust trzeci kieliszek doskonałego szampa i szybko opróżniła jego zawartość. Alkohol stępił tęsk-

notę i wystrzył zmysły. Słuch, powonienie, dotyk. Każdym ciałem skóry łaknęła słońca, wiatru, deszczu, chciała uwolnić się od unoszącego wysoko piersi, ozdobionego falbanką gorsetu. Marzyła o tym, żeby położyć się na rozgrzanym promieniami słońca piasku lub na zielonej trawie nad lazurową zatoką albo zanurkować w głąb błękitnego morza, pozostawiając za sobą smugę bąbelków powietrza, niżej i niżej, aż do utraty kontaktu z zewnętrznym światem.

Głośno westchnęła i skarciła się za te myśli.

- Żadnych wspomnień - szepnęła do siebie.

Ucieszyła się na widok ciotki, która usiadła przy niej. Zaalarmowała ją bladość goszcząca na twarzy staruszki.

- Dobrze się czujesz, ciociu?

- On tu jest, Emmie... - powiedziała wyraźnie poruszona Miriam.

-Kto?

Emeralda dobrze wiedziała, jakie nazwisko padnie, zanim ciotka otworzyła usta.

- Asher Wellingham.

Panika wzięła w niej górę nad obawą i żalem.

A więc w końcu się pojawił.

Po tygodniach polowania na niego jej nerwy były napięte do ostatnich granic. Coraz trudniej przychodziło jej odrzucać awanse napastujących ją mężczyzn. Czy ją zauważył? Czy ją pamięta?

Postawiła kieliszek na stole, odprawiając ruchem ręki krążącego wśród gości kelnera, który proponował jej następny. Poprawiła nieposłuszny, wymykający się wciąż spod spinki lok. Boże, żeby to już się stało, pomyślała. Jeśli zostanie przez niego rozpoznana, wszystko będzie stracone.

- Gdzie on jest?

Nienawidziła nerwowego podniecenia, które nią zawaładnęło.

- Po drugiej stronie, w rogu, przy drzwiach. Obserwował cię, i to uważnie.

Emeralda opanowała przemożną chęć obejrzenia się.

- Czy myślisz, że coś podejrzewa?

- Nie, bo gdyby tak było, już wywłókłby cię z tego domu i powiesił na szubienicy w Tyburn jako córkę zdrajcy.

- Mógłby to zrobić?

- Byłabyś zdziwiona, gdybyś wiedziała, co on może, Emmie. I to zupełnie bezkarnie. To wielki pan, przy tym przekonany o swej racji.

- A zatem musimy szybko uporać się z tym, po co tu przybyliśmy. Spójrz na niego, tylko powoli, od niechcenia... Czy ma łaskę?

Czekała ze wstrzymanym oddechem na odpowiedź ciotki. Czy to naprawdę może okazać się aż tak łatwe?

- Nie. Trzyma w ręku kieliszek. Z winem, chyba białym.

- Przynajmniej nie zaplamie sukni. - Starła się nie okazywać podniecenia

Nabyła trzy suknie w sklepie z używaną odzieżą przy Monmouth Street i nie stać jej było na żadne nowe zakupy, dlatego chciała uniknąć zniszczenia tej, którą miała na sobie.

- Moja droga, chyba nie masz zamiaru po prostu wpaść na niego? Łatwo rozpozna podstęp, jestem tego pewna.

- Nie martw się, ciociu Miriam. Już to wielokrotnie robiłam w Kingston Town i Port Antonio, kiedy Beau chciał być przedstawiony jakiejś nowo przybyłej grubej rybie. Tu będzie bardzo łatwo. Drobnym incydentem, który da pretekst do rozmowy i wkręcenia się w krąg jego przyjaciół.

- To książę Carisbrook. Uważaj, bo możesz go nie docenić, jak twój ojciec.

Emeralda westchnęła. Beau stał się nieostrożny, ale jej to nie grozi. Wstała z fotela i pochyliła się, aby poluzować srebrną klamerkę u lewego pantofla. Ważne, żeby była na właściwym miejscu. Beau jej o tym ciągle przypominał.

Asher Wellingham wciąż jeszcze rozmawiał z gospodarzem, gdy zaszła go od tyłu i w wyćwiczony sposób zataczyła się w jego kierunku, niby wskutek potknięcia. Analizując później przebieg wydarzenia, doszła do wniosku, że wykazał się nieprzeciętnym refleksem. Słyszając jej cichy okrzyk, odwrócił się błyskawicznie i uchwycił ją, zanim zdążyła upaść. I dzięki Bogu, bo sztuczka nie polegała na tym, by się potłuc. Niestety Emma zaplątała się obcasem w dół spódnicy, a na dobrze wyfroterowanej posadzce miękkie skórzane podeszwy pantofli nie napotkały żadnego oporu i upadek zdawał się nieunikniony. Poczowała, że oblewa ją zimne wino z kieliszka Wellinghama.

Przy akompaniamencie okrzyków zgromadzonych wokół nich gości zawisła w silnych ramionach księcia Carisbrooka, policzkiem ocierała się o miękki materiał czarnego zakietu. Unosił ją bez wysiłku. Jak piórko.

Wstrzymała oddech. Tak wyraźnie czuła bicie jego serca. Wirowało jej w głowie. Krępowało ją, że ta śmieszna suknia, w którą była ubrana, odsłaniała piersi. Wyraz jego oczu, gdy wynosił ją z sali balowej, zdumiał ją. W jasnobrazowych, upstrzonych złotymi punkcikami tęczówkach dostrzegła jakże oczywiste, jakże jednoznaczne... męskie zainteresowanie. Na krótką chwilę wpadła w popłoch. Plan, który sobie obmyśliła, wydał

się jej niewypowiedzianie trudniejszy do zrealizowania, niż pierwotnie przypuszczała.

- Pani zemdląta - oznajmił.

Położył ją na sofie w pokoju sąsiadującym z salą balową. Miał głęboki głos, wymawiał samogłoski w sposób charakterystyczny dla ludzi z wyższych sfer. Świdrował ją pytającym spojrzeniem. Ze swymi ciemnymi, gładko szeszanymi na kark włosami i koniakowego koloru oczami księżę Carisbrook wywierał niezapomniane wrażenie.

Doprawdy, niezapomniane! Nie brakowało mu siły charakteru i ogromnej determinacji, żeby ścigać jej ojca przez trzy oceany.

A potem go zabić!

Uzmysłowiła to sobie z goryczą. Odżyło z dawien dawna zapiekłe uczucie bólu. Musi wziąć się w garść i brnąć dalej. Nadała głosowi ton, który, miała nadzieję, wyrażał zakłopotanie. Zasłoniła palcami usta.

- Jest mi strasznie, wprost niewymownie przykro - wyznała wielce zadowolona, że zabrzmiało to autentycznie. - Myślę, że to z powodu gorąca na sali balowej. Lub tłoku, do którego nie przywykła. A może hałasu... - Urwała, niezbyt pewna, czy nie przesadza, używając aż trzech wymówek naraz.

Przesada była niebezpieczna, ale czy ta sztywna suknia i te liche, bezużyteczne pantofle nie mogą być wymówką samą w sobie?

Zakryła wachlarzem oczy, by zyskać czas na przegrupowanie obrony. Tak intensywnie czuła bliskość księcia Carisbrooka! Była świadoma, że musi zachować najwyższą ostrożność. Wiele zależało od tego, co on zrobi. Była zadowolona, że odsunął się od niej.

- Gzy to pan mnie podniósł, Wasza Wysokość?
- To raczej pani odbiła się od słabego, starego hrabiego Derricka i wylądowała w moich ramionach.

Starła się sprawiać wrażenie zmartwionej, a jednocześnie myślała, jakie to trudne wciąż okazywać, że jest się komuś za coś wdzięcznym, i nieustannie powtarzać: „przykro mi, przykro mi...”. Nagle cała ta maskarada wydała się jej nie do zniesienia. To nie był jej świat, nie potrafiła zrozumieć rządzących nim zasad, tych wszystkich niuansów i niuansików, dla ludzi z towarzystwa stanowiących swoisty kod wtajemniczenia, wiedzę niezbędną do tego, by bywać na salonach. Dla niej była to niebezpieczna toń najeżona rafami. Nie pojmowała języka pełnego aluzji i aluzijek, w którym delikatne zawieszenie głosu w tym miejscu zdania znaczyło jedno, a w innym całkiem co innego.

Wiedziała, że musi być ostrożna. Każdy błąd może kosztować niewyobrażalną cenę. Najlepiej, gdyby zdołała zachować anonimowość. Bała się indagacji, tych wszystkich pytań, które padają w towarzyskiej rozmowie, nawet najbardziej z pozoru niewinnych. Pytania wymagają odpowiedzi, a tych nie mogła udzielać bez narażania na niebezpieczeństwo osób, które kochała. Na samą myśl o tym drżała.

- Gdzie jest moja ciotka?
- Hrabina poszła po szal, aby panią okryć.
Próbowała podnieść się z sofy.
- Gdybym mogła wstać...
- Myślę, że rozsądniej byłoby się nie ruszać.

Jego głos miał szorstkie brzmienie. Poczowała łomot swego serca, gdy księżę uchwycił nadgarstek jej lewej ręki, aby zbadać puls. Zastanawiała się, po co to robi. Wykorzystał

pretekst, by sprawdzić jej reakcję na jego dotyk, czy też naprawdę był taki troskliwy?

Uśmiechnął się i już wiedziała. Z pewnością nie należał do mężczyzn, którym zależałoby na prowokowaniu kobiet do trywialnych reakcji, nawet takich kobiet jak ona, mających wszelkie pozory przeciwko sobie. Wycofała rękę i zaczęła gorączkowo wachlować twarz w sposób, jaki podpatrzyła w ostatnim miesiącu u dziewcząt w zatłoczonych salonach Londynu.

- Rzadko bywam taka niezgrabna i doprawdy nie rozumiem, dlaczego się poślizgnęłam... - Uniosła obręb spodnicy, odsłaniając poluzowaną srebrną klamerkę pantofla. - Założę się, że to dlatego... - Nie dopowiedziała, aby sam mógł wyciągnąć właściwy wniosek. Ucieszyła się na widok Miriam z szalem przerzuconym przez ramię i zatroskaną miną. Towarzyszył jej lord Henshaw.

- Już ci lepiej, moja kochana? Mogłaś boleśnie uderzyć się w głowę. To wino całkiem zniszczyło ci suknię. Pochyl się trochę do przodu, to otulę cię szalem.

Ciotka sprawnie owinęła ją płomienną, czerwonożółtą materią. Emeraldą miała już dosyć pozostawania w centrum uwagi, więc wstała.

- W przyszłości będę ostrożniejsza, obiecuję. I bardzo dziękuję za pomoc. - Spojrzała w górę na Ashera Wellinghama.

Przy jej pięciu stopach i dziesięciu calach wzrostu rzadko się zdarzało, by musiała rozmawiać z kimś z zadartą głową. Gdy ich oczy spotkały się, pożałowała nagle, że jej włosy nie są dłuższe, a suknia lepszej jakości.

Nie, tak być nie może.

Potrząsnęła głową. To nie ma sensu. Asher Welling-

ham jest jej wrogiem, a ona opuści Anglię, jak tylko znajdzie to, czego szuka. Rumieniec na twarzy to jedynie skutek temperatury panującej w pokoju, a przyspieszone bicie serca wynikało z szoku spowodowanego upadkiem. To wszystko ustąpi, gdy tylko znajdzie się na zewnątrz, odetchnie świeżym powietrzem, poczuje wiejący nad rzeką wiatr.

Wysokim, niemile dla ucha brzmiącym głosem, który wyćwiczyła pod opieką Miriam, tłumaczyła, jak doszło do wypadku.

- Podejrzewam, że wszystkiemu są winne śliskie zółwki moich pantofli, a swoją drogą posadzka też była mocno wyfroterowana. Mam nadzieję, że nie stanę się przedmiotem złośliwych plotek.

- Jestem pewien, że nie - z beznamiętną uprzejmością stwierdził książę.

- Jak miło, że pan to mówi, Wasza Wysokość. - Ciemny błysk w jego oczach onieśmiał ją, ale brnęła dalej: - Kiedy coś w domu poszło źle, moja mama zawsze powiadała, że siła charakteru kobiety tkwi nie w jej sukcesach, lecz w porażkach.

Grymas, jaki pojawił się na jego ustach, nie był zachęcający.

- Pani matka musiała być mądrą kobietą, lady Emmo.

Tej pozytywnej ocenie nie towarzyszył nawet pozór zainteresowania. Wiedziała, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Rzeczywiście tak było, Wasza Wysokość.

- Było?

- Umarła dość wcześnie, wychowywał mnie ojciec.

-Rozumiem.

Miał najwidoczniej dość tej konwersacji, ale dobre maniery nie pozwalały mu tego okazywać.

- Krażą pogłoski, że pochodzi pani ze wsi. Z której części kraju, jeśli wolno mi spytać?

- Z Knutsford w Cheshire.

Znalazła się tam raz w dzieciństwie. Była pełnia lata i wspomnienie angielskich kwiatów polnych nigdy jej nie opuściło. Matka włożyła jeden taki kwiatek w medalion, który miała teraz na szyi. Ostróżkę, niebieską jak niebo, teraz, po latach, wyblakła.

- A pani akcent? Nie mogę go umiejscowić.

Wpadła w popłoch, niezbornie poruszyła ręką i strąciła wazę stojącą na postumencie. Tysiąc porcelanowych odłamków spoczęło u jej stóp. Schyliła się i zaczęła je zbierać. Ostra krawędź przecięła rękawiczkę, pokazała się krew.

- Emmo, zostaw to! Jak ty się zachowujesz!

Emeralda zamarła, słysząc tak gwałtowną reprimendę ze strony Miriam. To oczywiste, że sprzątanie należało do służby. Musi dobrze to zapamiętać, odruchowe zachowania trzymać na wodzy.

- Czy ta waza była kosztowna?

Martwiła się, że będzie musiała za nią zapłacić.

- Postument był niestabilny, a ja nigdy nie przepadałem za przesadnie zdobionymi przedmiotami - pośpieszył z zapewnieniem gospodarz.

Wybuch śmiechu Wellinghama zaniepokoił Emeraldę. Rozglądając się, mogła stwierdzić, że oświadczenie lorda Henshawa nie miało nic wspólnego z prawdą. Wszystko w tym pokoju było bogato zdobione i wymyślnie udekorowane. Zważywszy na fakt, że od bankructwa dzieliło ją

osiemdziesiąt funtów w gotówce i kilka sztuk biżuterii, nie stać jej było na szeroki gest.

- Strasznie mi przykro.

Zdesperowany głos Emeraldy brzmiał nieco szorstko. Nagle zapragnęła znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Tęskniła do otwartych przestrzeni Jamajki. Dałaby wiele, żeby być w bezpiecznym miejscu z Ruby i ciotką, daleko od człowieka, który mógł ją zniszczyć.

Przede wszystkim potrzebowała tej laski.

Bez niej nic nie było możliwe. Zacisnęła powieki i ucieszyła się, że udało się jej wycisnąć spod nich łzy. Anglicy uwielbiali słabe kobiety, które potrzebowały ich ochrony. Zauważyła to zaraz po przyjeździe w salach balowych, w salonach, nawet w parkach, gdzie kobiety towarzyszyły swoim mężczyznom i obserwowały, jak puszyli się swymi umiejętnościami jazdy na koniach tak łagodnych, że na Jamajce nawet dziecko mogłoby sobie z nimi poradzić. Tak miały się te rzeczy w Anglii.

Dlatego rezerwa, z jaką zachował się książę Carisbrook, zdziwiła ją niepomniernie. Była pewna, że musiała zrobić jakiś fałszywy krok, albowiem jego rozbawienie sytuacją gdzieś uleciało i atmosfera zrobiła się ciężka. Oceniając jeszcze raz swe postępowanie, zaniepokoiła się. Nie był taki jak inni, nie przypominał innych dżentelmenów ani pod względem wyglądu, ani charakteru, ani zachowania.

Do diabła.

Jeszcze miesiąc, a zostanie bez grosza. Jeszcze miesiąc, a wynajęta służba zacznie się upominać o wynagrodzenie i cały Londyn ją znienawidzi.

Samej Emmy taka perspektywa nie przerażała, jednak co innego Miriam. Ciotka była stara i zasługiwała na wy-

gody pod koniec życia. Jej tytuł, choć szacowny, nie wiązał się ze znaczącymi dochodami.

Pieniądze.

Jakże nienawidziła tego, że wszystko zawsze sprowadzało się do pieniędzy. Gdyby chodziło tylko o nią, dałaby sobie radę, ale tak już nie było od jakiegoś czasu. Wzdrygnęła się i szczerzej owinęła szal wokół przemoczonego staniczka sukni.

- Zimno mi.

Potrzebowała czasu do namysłu, musiała przemyśleć reakcję, jaką wywoływał w niej ten nieodgadniony książę, musiała wycofać się, by zrewidować swą strategię. Miała kłopoty w tym zielonym i nieskończenie skomplikowanym kraju.

- Poślę lokaja po mój powóz - stwierdził Wellingham.

- Ależ książę... - próbowała oponować Miriam.

- Milady, proszę mi pozwolić wykazać się należną damom uprzejmością.

To stwierdzenie powinno zamknąć wszelką dyskusję, mimo to Miriam nie dawała za wygraną.

- To nie jest konieczne, Wasza Wysokość. Możemy wziąć dorożkę - zapewniła.

Jednak Emeraldzie w tym właśnie momencie przyszedł do głowy pewien plan. Stwarzał nowe możliwości, których postanowiła się uchwycić. Uśmiechnęła się ledwie widocznie i rzekła, patrząc na księcia:

- Z przyjemnością przyjmimy pańską uprzejmą propozycję, Wasza Wysokość, i mam nadzieję, że nie sprawimy panu kłopotu. - Spojrzała na bogato zdobiony zegar na kominku. - Jest dwadzieścia po pierwszej. Powinien pan mieć z powrotem swój pojazd, zanim zegar wybije drugą.

Obrzucił chmurnym spojrzeniem jej postać. Nie miała wątpliwości, że dostrzegał wszystkie jej braki: twarz, maniery, suknię, włosy.

- A zatem życzę obu paniom dobrej nocy.

Dopiero gdy odchodził, zauważyła, że kuleje.

Laska, pomyślała. Laska z ukrytą w środku mapką wskazującą, gdzie został schowany skarb, który, jak przysięgał Beau, stanowił wielką fortunę. Laska, po którą przybyła do Londynu, bo tylko dzięki temu skarbowi zdoła zaspokoić wierzycieli, a potem wieść życie choćby tylko zbliżone do dawnego poziomu.

Opadły ją wątpliwości, ale szybko się z nich otrząsnęła. Musi wierzyć w opowieść, którą trzy miesiące temu usłyszał Azziz w tawernach Kingston Town. Według niej widziano, jak księżę Carisbrook używał w Londynie bardzo charakterystycznej rzeźbionej hebanowej laski.

Laski jej ojca, wysadzonej szmaragdami i rubinami, z sekretnym mechanizmem ukrytym w gałce pod otokiem z kości słoniowej.

Opowieść była bardzo mglista, ale nie pozostawało jej nic innego, jak w nią wierzyć, bo jeśli nie była prawdziwa... Potrząsnęła głową. Nie warto się nad tym zastanawiać. Ciemności nocy potrwają jeszcze długo.

Wystarczająco długo, aby ukryć napad na księcia?

Wystarczająco długo, by zyskała swą pierwszą realną szansę?

W męskim przebraniu mogłaby wyciągnąć z Wellinghama jakąś informację o miejscu przechowywania mapki. Och, gdyby Azziz był tu z nią! Ale cóż, nie ma go, więc na razie musi działać sama. Uda się. Musi wciąż sobie powta-

rzać, że się jej uda. Tylko tak wolno jej myśleć: uda się, na pewno się uda.

Rumieniec podniecenia czerwienił policzki Emeraldy, gdy opuszczała z ciotką salonik. Trzeba tylko dowiedzieć się, gdzie jest laska. Mając ją, opuszczą Anglię z pierwszym morskim odpływem. Łatwo zniknąć, gdy ma się dość pieniędzy, by zatrzeć za sobą wszelkie ślady.

Pieniądze. Najpotężniejsza broń na świecie.

scandalous

Rozdział drugi

Dwie godziny później powóz Wellinghama z turkotem opuszczał londyńską rezydencję Derricka. Ciężkie aksamitne zasłony okien były szczelnie zaciągnięte. Emeralda nie spuszczała z niego wzroku. Dała znak Azzizowi, aby pośpieszył swoich ludzi i wyprzedził go, sama zaś rozglądała się za miejscem, w którym można by przeciąć mu drogę, ale gdy zauważyła, że skręcił w kierunku doków portowych na południowym brzegu rzeki, rozkazała trzymać się w tyle.

- Co książę robi tu tak późno w nocy?

Pytanie było adresowane do siedzącego obok niej Tora, który pokręcił głową na znak, że nie ma pojęcia. Kolczyk w jego lewym uchu rozbłysnął w świetle księżyca.

- Przyływ osiągnie kulminację przed nadejściem poranka. Może chce zabrać stąd swój statek - zasugerował po chwili.

Ich zdziwienie jeszcze się zwiększyło, gdy powóz zatrzymał się i wysiadła z niego kobieta. Emeralda była pewna, że nigdy przedtem jej nie widziała.

Właściwie nie była to kobieta, lecz młoda dziewczyna. Na jej spotkanie wyszedł nieco starszy mężczyzna, który objął ją i poprowadził na próg nędznego domu noclegowego. Zatrzymali się oboje. A właściwie zatrzymała się dziewczyna, najwidoczniej nie mając ochoty wejść do środka. Emeraldą całkiem wyraźnie słyszała jej protesty.

- Nie o takie lokum nam chodziło, Stephen. Chyba nie masz zamiaru mnie tu wprowadzać.

- Tylko na jedną noc, Lucy. Dopóki rano nie znajdę jakiegoś statku.

- Nie. Obiecałeś, że najpierw się pobierzemy. - Była bardzo zdenerwowana, nie tylko jej głos, ale i ruchy to zdradzały. - Gdyby mój brat dowiedział się, że przekroczyłam próg takiego miejsca...

- Nie wsadziłem cię siłą do powozu, Lucindo - przerwał jej. - Przyjechałaś z własnej, nieprzymuszonej woli. Chodziło ci o przygodę, sama mówiłaś. Chciałaś urozmaicić nudę swojej egzystencji. Nie ociągaj się, nie mamy całej nocy przed sobą.

To, co mówił ten mężczyzna, brzmiało nad wyraz lekceważąco.

- Jesteś pijany?

Konsternacja Lucindy stawała się coraz widoczniejsza. Emeraldą zauważyła, że do tej dwójki podszedł woźnica Wellinghama.

- Jego Wysokość będzie bardzo niezadowolony, milady. Dostałem rozkaz, aby przywieźć panią prosto do domu - powiedział.

- Zaraz przyjdę, Burton. Proszę zaczekać na mnie w powozie.

Służący zawahał się, niepewny, co powinien zrobić. Je-

go interwencja wywołała agresję u Stephena. Bez żadnego ostrzeżenia wymierzył mu cios pięścią w głowę. Burton runął na ziemię.

- Chodź, kochana, żaden sługus nie powinien się wtrącać się w sprawy swojej pani. Dość już czekaliśmy na tę okazję.

Errieralda skrzywiła się. Znała ten ton i wiedziała, co zaraz nastąpi. Młoda, niedoświadczona dziewczyna nie potrafiła przeciwstawić się męskiej presji. Nic dziwnego. Pannienki z dobrych domów uczone są grzecznych manier, salonowej konwersacji i uległości.

A potem będzie cierpiała.

Wysunęła się z ukrycia, dając znak Torowi i Azzizowi, aby pozostali w cieniu.

- Puść ją natychmiast! - krzyknęła. Starła się, aby brzmiało to przekonująco. Błysk noża w ręku stanowił dodatkowy argument.

- Kim jesteś, do kroćset? - zapytał Stephen.

Ignorując jego pytanie, zwróciła się bezpośrednio do Lucindy:

- Proszę się dobrze zastanowić, panienko, zanim zdecyduje się pani na towarzystwo tego dżentelmena. Podejrzewam, że nie jest godzien zaufania, jakim miała pani nieostrożność go obdarzyć. Radziłbym pani wybrać bezpieczniejsze rozwiązanie i wrócić do domu. - W tym momencie znieruchomiała, albowiem rozjuszony Stephen rzucił się w jej stronę, zaciskając pięści. Osadziła go w miejscu, kierując koniec noża w sam środek wymyślnego węzła krawata. - Radziłbym nie rozpowiadać nikomu o celu tej nocnej eskapady. Proszę ją złożyć na karb szaleństwa lub kieliszka czegoś mocniejszego i zapamiętać, że jak puś-

cisz parę z ust o tym, co tu miało miejsce, źle skończysz
- ostrzegła ostrym tonem.

- Czy to groźba?

- Z całą pewnością.

Jednak Stephen dobrze wiedział, jak sobie radzić w takich sytuacjach. Błyskawicznie ugodził kantem dłoni Emeraldę w szczękę. Trafił jednak nie na byle kogo, bo w zamian otrzymał precyzyjnie wymierzony cios w skroń, zadany rękojeścią noża. Zaiste, była to mistrzowska riposta. Niedoszły kochanek Lucindy osunął się na ziemię. Uczynił to nie bez gracji jak na tak wysokiego mężczyznę, skonstataowała ironicznie Emeraldę. Z satysfakcją stwierdziła, że Stephen stracił przytomność. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie dołożyć mu w drugą skroń, by dłużej poleżał sobie na brudnej ziemi, uznała jednak, że nie należy przesadzać. Popchnęła go tylko butem, by sprawdzić, czy aby nie dochodzi zbyt szybko do zmysłów, a potem spojrzała na nieszczęsną panienkę.

Lucy w zdumieniu przypatrywała się tej scenie. Emeraldę uznała, że powinna jakoś wyjaśnić swoje postępowanie.

- Miałem już dość jego pytań.

- Zabił go pan?

- Nie. Zraniłem tylko jego dumę. Podobnie jak on zranił pani dumę, jak przypuszczam.

- Okazał się inny, niż myślałam. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby pan się nie pojawił, panie...

- Kingston.

W Emeraldzie zamarło serce, gdy poczuła dotyk drobnych, zimnych palców dziewczyny na swojej dłoni.

- Panie Kingston.

Młody głos brzmiał tak żałośnie... Gdy Emeraldę pró-

bową uwalniać dłonie z uścisku Lucy, dziewczyna zaczęła płakać, na początku cicho, potem głośno, aż jej płacz wywabił ludzi z pobliskiej tawerny. Emeraldą znalazła się w trudnym położeniu. Nie mogła sobie pozwolić na dalszą zwłokę, gdyż świt był tuż-tuż. Nie potrafiła jednak tak po prostu pozostawić nieszczęsnej panienki bez pomocy.

- Ile masz lat? - zapytała obcesowo, dając znak Azzizowi, aby przyprowadził dorożkę.

- Siedemnaście. Za trzy miesiące skończę osiemnaście. Jestem panu wdzięczna za pomoc. Gdyby pan się nie pojawił. ... - Łzy spływały jej po policzkach i wsiąkały w żółty jedwab sukni.

O mój Boże, pomyślała Emeraldą. Sama miała dwadzieścia jeden lat, co wydawało się jej wiekiem nieskończenie bardziej zaawansowanym. Zanim ukończyła siedemnaście, pokonała pod żaglami szmat świata z Karaibów do Holenderskich Indii Zachodnich, a śmierć co rusz zagłębiała jej w oczy. Zanim ukończyła siedemnaście lat, dawno już obrabowano ją z naiwnej wiary, że świat jest dobry, a ludzie są sobie życzliwi. Zanim ukończyła siedemnaście lat, poznała wszelkie mroki tego świata, widziała wszelkie słabości i całą ohydę ludzkiej natury. Zanim ukończyła siedemnaście lat...

Natomiast Lucinda... Lucy... salonowa panienka...

Od tego wszystkiego rozboleła ją głowa. Anglia jest jak ciepłarnia, doszła do wniosku, a jej mieszkańcy są odizolowani od rzeczywistości, wychuchani, wypieszczeni, niezahartowani, bo uładowane życie odsuwa od nich wszelkie trudności. Dlatego tak łatwo ich zranić. Albo złamać, zmusić do niechcianych czynów, jak tę dziewczynę. Bo przecież, zdezorientowana i załęknioma, uległaby Stephenowi... Tak,

z całą pewnością Anglicy są nieprzygotowani do pokonywania niespodziewanych trudności, nie potrafią sobie radzić w sytuacjach nietypowych, są naiwni, łatwo nimi manipulować, wykorzystać. Zaiste, są jak cieplarniane rośliny, które bujnie rosną za szkłem, lecz każdy zimny podmuch stanowi dla nich śmiertelne zagrożenie.

- Gdyby pan się nie pojawił... - zaczęła znów Lucy. - Brat ostrzegął mnie przed hrabią Westleigh... mówił, abym się trzymała od niego z daleka... nalegał, bym z nim nawet nie rozmawiała. - Jej szloch powoli cichł. Nie obawiała się już niczego, więc rozkleiła się. - Myślę, że interesował mnie, bo był owocem zakazanym. - Spojrzała w dół na wciąż pozabawionego zmysłów niedoszłego męża czy raczej gwałtociela. - Wcale mi go nie żal, szkoda tylko jego kamizelki - zachichotała nieoczekiwanie. - Zwróciłam na niego uwagę, bo jest elegancki i ma smak do strojów. Na marginesie, jestem lady Lucinda Wellingham. Młodsza siostra księcia Carisbrooka.

Emeralda opanowała odruch zdziwienia. Siostra Carisbrooka? Co teraz? Przez głowę przemknęła jej myśl, aby skorzystać z okazji i użyć dziewczyny w charakterze zakładniczki, lecz natychmiast ją odrzuciła. Po pierwsze, trudno byłoby wytrzymać dłuższy czas z taką płaczką, po drugie, Lucy przypominała jej złotego retrievera, którego miała kiedyś w St Clair. Uosobienie wdzięczności i bezgranicznego oddania.

Nie, ta panienka powinna jak najszybciej wrócić do brata, zdecydowała. Być może, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, księżę wciąż jeszcze jest na balu u lorda Henshawa. Może to okazja, aby pod nieobecność gospodarza dostać się do środka jego londyńskiego domu? Nie zamierzała ry-

zykować, że natknie się na niego osobiście, byłaby to niepotrzebna brawura, a już na pewno nie w tym przebraniu i nie w oświetlonej rezydencji.

- Czy zna pan mojego brata, panie Kingston? Będzie mu bardzo zależało, by odwdzińczyć się panu za stracony czas i za kłopot. Jestem pewna, że pan go polubi, bo jest równie sprawny w walce jak pan, a...

Emeralda ruchem ręki powstrzymała tyradę Lucy i z ulgą powitała ciszę. Musiała się zastanowić, jak postąpić. Czy byłoby podejrzane, gdyby po prostu podrzuciła zbłąkaną panienkę na próg domu? Prawdopodobnie tak. Należało odegrać komedię przywrócenia lady Lucindy na łono rodziny. Toro mógłby poprowadzić powóz Wellinghamów i zostawić go pod rezydencją, by zajęła się nim służba. Ona z Azzizem mogli podążać za powozem dorożką, do której wsiadłby później Toro.

Rozwiązanie ryzykowne, ale nie było innego wyjścia. Na oczach gapiów, którzy zdążyli się już zgromadzić wokół nich, Emeraldą pomogła rannemu woźnicy zająć miejsce na stopniach powozu i z ulgą zatrasnęła drzwiczki za Lucindą.

Świeca na kominku w bibliotece dopalała się. Kończyła się kolejna noc. Asher z ulgą rozwiązał krawat i rzucił go na stół. Za chwilę wyładował tam również jego żakiet.

Spojrzał w lustro nad dębową obudową kominka.
Ciemność.

Z nieprzyjemnym grymasem sięgnął po brandy. Obracał w dłoni kieliszek, wreszcie pociągnął długi łyk. Miał poczucie winy, bo obiecał sobie poprzedniego dnia, że przestanie pić w samotności.

Jeszcze jedna złamana obietnica.

Zaśmiał się, widząc absurd całej sytuacji, ale śmiech ten był pozbawiony wesołości. Dopijając resztę trunku, jaka pozostała w butelce, myślał o lady Emmie Seaton tańczącej w jego ramionach.

Przyjemnie pachniała. Nie był to zapach perfum ani kosmetyków. Zapach czystości. Silny, porywający świeżością i energią. Miała niezwykle oczy. Turkusowe, tak by określił ich barwę. Zmarszczył brwi, gdyż powróciło wrażenie, jakiego doznał na jej widok.

Znał ją.

Skąd mógł ją znać? Miała niezwykle twarz. Ślad biegnący poprzez prawą brew w górę do nasady włosów był dziwny. Gdyby miał zgadywać, skąd się tam wziął, byłby skłonny uznać, że to pozostałość po draśnięciu nożem. Jak to możliwe? Nie, bardziej prawdopodobne, że skaleczyła się gałęzią podczas przejażdżki konnej lub podczas spaceru potknęła się i skaleczyła o ostry kamień. Podobało mu się, że nie usiłowała zamaskować tej blizny.

Zaalarmował go dzwonek u drzwi wejściowych. Spojrzał na zegarek. Piąta nad ranem. Na pewno nikt ze znajomych nie pojawiłby się o tej porze, na dodatek bez zaproszenia. Wziął świecę i ruszył do głównego wejścia. Usłyszał cichy szloch siostry.

- Mój Boże, Lucy? - Nie mógł uwierzyć, że to ona, dopóki nie rzuciła mu się w ramiona. - Co się stało? Dlaczego jeszcze nie jesteś w łóżku? Przecież opuściłaś Derrick House dwie godziny temu...

- Ja... Stephen... spotkaliśmy się... w pewnym miejscu... niedaleko portu. Powiedział, że się pobierzemy, ale zamiast tego...

- Stephen Eaton?

- Mówił, że mnie kocha i że... jeśli przyjadę do niego po balu dziś wieczorem, to porozmawiamy o naszych uczuciach. Lecz miejsce, gdzie chciał, abym z nim została, było podejrzane, a potem omal nie zabił Burtona...

- Co takiego?!

Asher zmusił się do zachowania spokoju. Na wymówki przyjdzie czas później. Nie okazując gniewu, prędzej uzyska odpowiedzi na swoje pytania.

- Jak dostałaś się do domu?

Był zadowolony, że siostra nie zauważyła złości, która narastała w nim, w miarę jak dowiadywał się dalszych szczegółów tej niewiarygodnej historii.

- Pojawił się jakiś człowiek i nożem unieszkodliwił Eatona. Zapakował nas do powozu, jego woźnica przywiózł nas prosto do domu. Niejaki pan Kingston. Nie zna ciebie, gdyż go o to pytałam, i mówił z takim dziwnym akcentem.

- Gdzie on jest teraz?

- Jechał za nami w wynajętej dorożce, powiedział jednak, że się nie zatrzyma, choć próbowałam go przekonać, żeby to zrobił. Powiedział coś o innych zobowiązaniach i obiecał przysłać wiadomość, w jaki sposób będzie można się z nim skontaktować.

Asher porozumiał się wzrokiem z lokajem, dając mu do zrozumienia, że ktoś powinien udać się w ślad za dorożką. Szantaż był lukratywnym interesem i książę wolał być przygotowany na taką okoliczność. Ciągłe coś czegoś od niego chciał i nie mógł sobie wyobrazić, by ten Kingston miał być wyjątkiem. Mimo wszystko sprowadził Lucindę bezpiecznie do domu i za to jest mu winien dożygonną wdzięczność.

Przywołał pokojówkę, która pojawiła się na klatce schodowej, i kazał jej zaprowadzić siostrę do łóżka. Z ulgą zauważył, że Lucy posłusznie poszła na górę, a jej płacz wkrótce ucichł.

Peters powrócił po dwudziestu minutach z zaskakującymi informacjami.

- Ten dżentelmen udał się do mieszkania zajmowanego przez hrabinę Haversham, Wasza Wysokość. Wsiadł z doróżki i odesłał ją, zanim wszedł do domu. Miał klucz do drzwi wejściowych, bo poczekałem, żeby zobaczyć, w jaki sposób dostanie się do środka. Zostawiłem na miejscu Gibbona, żeby śledził go dalej, gdyby opuścił dom hrabiny.

- Bardzo dobrze.

Asher odprawił lokaja i wrócił do biblioteki. Emma Seaton i hrabina Haversham. Co o nich wiedział?

Zarówno kuzynka, jak i ciotka były nowicjuszkami w Londynie. Miriam przebywała tu od roku, Emma od zaledwie kilku tygodni. Ich suknie miały za sobą czasy świetności, z pewnością hrabina i lady Seaton martwiły się topniejącymi funduszami. Miriam nie posiadała ani powozu, ani koni.

Czyżby dla podreperowania finansów trzymały lokatora? A może Emma Seaton ma męża?

I jeszcze jedna zagadka. Młody człowiek, który ratuje siostrę bogatego księcia i nie oczekuje ani wynagrodzenia, ani podziękowania... Tajemniczy dobroczyńca, który unika podziękowań za coś, co z całą pewnością było szlachetnym uczynkiem. Rezygnuje z wdzięczności i ewentualnej protekcji wpływowego arystokraty... To się po prostu nie zdarza!

Stanowczo coś tu nie pasowało. Instynktownie wyczuwał jakieś związane z tym niebezpieczeństwo. Z zacisnął palce na cienkiej podstawie kieliszka. Z trudem panował nad rosnącym rozdrażnieniem. Brał pod uwagę różne możliwości, budował wszelkie możliwe scenariusze. Znał życie od podszewki, wiedział, jak wiele pokrętnych ścieżek wydeptują ludzie, by osiągnąć ukryte przed innymi cele. I jak często te ścieżki wiodą do zła.

Emeralda rozsunała zasłony w swej sypialni na trzecim piętrze. Po przeciwnej stronie ulicy stał wciąż nieznamy osobnik. Nie miała wątpliwości, skąd się tam wziął.

To sprawa księcia Carisbrooka.

To on kazał ją śledzić, a ona tego nie przewidziała. Głupi, niewybaczalny błąd, pomyślała, uderzając się w głowę i brzydko klnąc.

Powinna była odesłać dorożkę na sąsiedniej ulicy i niepostrzeżenie wślizgnąć się do domu. Tak właśnie zrobiłaby na Jamajce, dlatego więc poniechała tego środka ostrożności w Londynie? Z wielkim żalem zdejmowała męskie przebranie i położyła się na łóżku, z którego usunęła najpierw koce. Była szczęśliwa, że może zamknąć oczy i skupić się na ostatnich wydarzeniach.

Co za dzień! Niczego nie osiągnęła, nie wiedziała nawet, kiedy będzie miała okazję nawiązać następny kontakt z Asherem Wellinghamem.

Powinien to być bliski kontakt.

Pamiętała dotyk jego palców, gdy badał jej puls. Niewinny dotyk, który przyprawił ją o przyspieszone bicie serca.

Ot, wybryk pamięci i zbieg okoliczności... W końcu od

pięciu lat każdej nocy kładła się spać, mając pod powiekami wyryty obraz tych aksamitnych, brązowych oczu i mocno zarysowanych rysów twarzy.

Wciąż ten sam sen.

Ten sam moment.

Ten sam początek.

Tak dobrze znany, że nawet wyrwana ze snu w środku nocy mogłaby opowiedzieć go minuta po minucie. Dźwięki, zapach, świecące prosto w oczy słońce i wiatr wiejący w plecy od strony cieśniny oddzielającej wyspy Turks i Caicos. I tysiące jardów kwadratowych płótna wypełnionego silną bryzą.

Objęła dłońmi głowę, starając się skoncentrować na odgłosach Londynu i na cieniu, który rzucała na sufit lampa ustawiona na nocnym stoliku. Nie będzie myślała o Asherze Wellinghamie. Musi wybić go sobie z głowy. Jednak postanowienie nadważyło jej postanowienie.

Pomyślała o burdelach, które ciągnęły się wzdłuż portowych uliczek Kingston Town, i przyszło jej do głowy, jak by to było wsunąć dłonie w kruczoczarne włosy Ashera, a potem zanurzyć je pod jego cienką lnianą koszulę. Pod wpływem tych myśli zrobiło się jej gorąco. Niespokojnie przewracała się w pościeli, której dotyk drażnił niemiłe jej rozpaloną skórę.

Otworzyła szeroko oczy. Boże, o czym ona myśli? Zadrzała na wspomnienie rzeczywistości.

Asher Wellingham.

Jej wróg.

Wróg jej ojca.

Gniew i gorycz wzięły w niej górę. Sięgnęła po okrycie. Nie zaśnie tej nocy. Dołożyła drewna do ognia na

kominku, a potem sięgnęła po książkę ze stosu leżącego obok fotela. Były to „Satyry” Juwenalisa, w oryginale, po łacinie.

Nawiedziło ją wspomnienie o Beau, jak uczył ją trudnej odmiany czasowników łacińskich z książek oprawnych w gruby aksamit. Z książek, z których i jego uczono, kiedy był dzieckiem.

Uśmiechnęła się do siebie.

Kiedyś był człowiekiem cierpliwym. I dobrym ojcem.

Nie był aniołem, ale nie zasługiwał na zemstę księcia Carisbrooka. Wyważoną na zimno odpłatę, cios zadany w momencie, gdy uszkodzona podczas sztormu w Zatoce Meksykańskiej „Mariposa” wracała do domu. Asher Wellingham dogonił ją trzy razy większym okrętem wojennym i zniszczył z wojskową precyzją. Najpierw zbombardował maszty, potem podziurawił przód kadłuba.

Azziz opowiadał jej o tym, gdy udało mu się wrócić na Jamajkę na pokładzie klipera z Baltimore, który wyłowił go z morza. Angielski książę nie pozwolił jej ojcu wyskoczyć do morza, tylko zmusił do pojedynku na pokładzie dziobowym tonącego statku.

Po minucie było po wszystkim. Wystarczyła mu jedna minuta, by ugodzić ojca w żołądek.

Jej ojciec żył z miecza i od miecza zginął, lecz był czas, kiedy ważniejsze dla niego były literatura, poezja klasyczna i muzyka.

Gdy była z nimi ich matka! Wtedy rodzina stanowiła całość. Ich domem było St Clair, a „Mariposa” należała do kogoś innego.

To przeszłość. Dawno miniona bezpowrotnie utracona. A jednak wciąż żywa, Wciąż nie wypuszczała Emmy ze

swego uścisku. Kazała jej pogrążyć się we wspomnieniach. I w zwodniczych nadziejach.

Od tamtej pory trwa ustawiczna walka.

Pieczołowicie odstawiła książkę na półkę. Tak, walka, pomyślała. A walka to czyn, to działanie i dziś, i jutro. Musi zdystansować się od bolesnych wspomnień, bo odrywają myśli od tego, co dziś i jutro. Trzeba zaplanować strategię i zebrać siły do działania.

Trzeba odzyskać laskę i wrócić na Jamajkę.

Plan jest prosty, a jeśli się powiedzie, życie wróci do normy. Musi się powieść, bo życie musi wrócić do normy. Ruby, Miriam i St Clair. Dom. Słowo to odnowiło stłumione tęsknoty. Zatańczyły przed nią bursztynowe ogniki, rozsielane przez tęczówki oczu Ashera Wellinghama. Mamiły, intrygowały, kusiły... jak zakazany owoc.

Otrząsnęła się z tych wizji, usiadła na fotelu przed kominkiem i zaczęła obserwować cienie płomieni tańczące po pokoju.

Rozdział trzeci

Asher Wellingham pojawił się w Haversham House z samego rana, śladem dostarczonego wcześniej przez posłańca listu. Przyszedł sam.

Salonik, w którym Emeraldą i Miriam postanowiły przyjąć gościa, został naprędce uporządkowany i wypełniony resztkami sprzętów, jakie pozostały w domu, aby nie rzucały się w oczy puste miejsca po meblach wystawionych dwa miesiące wcześniej na licytację w Yorku. Udało się to zorganizować bez rozgłosu i w tajemnicy, i całe szczęście, bo zdobyte w ten sposób pieniądze nie przynosiły chwały ani hrabinie, ani jej kuzynce. Prawdę powiedziawszy, gdyby sprawa wyszła na jaw, okryłyby się hańbą należną bankrutom, a ich i tak wątpliwa pozycja towarzyska ległaby ostatecznie w gruzach. Takich ludzi nie tylko się nie zaprasza, takich ludzi się nie dostrzega.

Do tego jednak szczęśliwie nie doszło, a pieniądze, niezależnie od źródła pochodzenia, zawsze można zamienić na żywność. Dla żebraków tylko to powinno mieć znaczenie. Dobrze chociaż, że wciąż jeszcze miały srebrną zastawę do herbaty, umieszczoną obecnie na stoliku pod ścianą.

Tego ranka Emeralda miała na sobie swą drugą pod względem jakości suknię z jasnoniebieskiego aksamitu, obramowaną przy szyi koronką i z dodatkową halką wszytą pod przykrótką spódnicę, aby ją nieco przedłużyć. Na głowę włożyła tego samego koloru czepek, którego koronkowe wiązanie drażniło skórę szyi. Gdyby udało się jej przyrządzić mikstury, których przepisy miała jeszcze z domu, mogłaby złagodzić swędzenie podrażnionego naskórka, ale nazwy na butelkach w londyńskich aptekach były nie do rozszyfrowania, nie chciała więc ryzykować stosowania nieznanymi substancji.

Nie do rozszyfrowania!

Wszystko było tutaj właśnie takie. Nazwy lekarstw, miejsc, pogoda, ludzie, książę Carisbrook.

- Hrabino, lady Emmo, witam panie. - Asher Wellingham odchrząknął na wstępie. - Przybywam z dość delikatną misją.

Emeralda uchwyciła w jego oczach coś na kształt niepewności, ale wrażenie to wkrótce uleciało i pojawiła się w nich lepiej jej znana chłodna wytworność.

- Witamy Waszą Wysokość - odparła z rezerwą Miriam.
- Pana słowa, książę, brzmią nad wyraz intrygująco i tajemniczo.

- Już wyjaśniam... To znaczy chciałbym zapytać, czy byłaby możliwa rozmowa z młodym mężczyzną, który z paniami mieszka.

- Młodym mężczyzną? - zdziwiła się Miriam.

- Tak, chodzi mi o młodego dżentelmena, który wczorajszej nocy udzielił pomocy mojej siostrze. Wysłałem służącego jego śladem, gdyż młodzieniec ten nie chciał do nas wstąpić, aby otrzymać należne podziękowanie, i dowie-

działem się, że około piątej nad ranem, po odesłaniu do-
rożki, wszedł do tego właśnie domu.

Zdumienie Miriam nie miało granic. Emeraldą poczuła,
że musi ingerować, coś wyjaśnić, no i przerwać nieznośną
ciszę, jaka zapadła po słowach księcia.

- Może księżę ma na myśli Liama, ciociu? - pośpieszy-
ła z podpowiedzią. Miała nadzieję, że Miriam zrozumie,
milczała jednak bezradnie, co zmusiło Emmę do brnięcia
w kolejne kłamstwa. - Tak, to musiał być Liam. Mój kuzyn.
Spędził u nas dwa dni i właśnie dziś wyjechał na wieś, ale
przekażę mu, że był pan tu, aby mu podziękować. A teraz
- stwierdziła, jakby uważała sprawę za zakończoną - czy
napije się pan herbaty?

Spojrzenie, którym obrzucił ją księżę, było tak zimne, że
zamarło w niej serce. Gdy ponownie otworzył usta, nawet
nie starał się ukryć rozdrażnienia.

- Moja siostra twierdzi, że ów pan Kingston mówił
z rzadko spotykanym akcentem, lady Emmo. Czyżby to
był ten sam akcent, z jakim pani mówi?

- Tak, Wasza Wysokość - ucięła nieskora do dodatko-
wych wyjaśnień.

Gdy odgarnął włosy z twarzy, zauważyła, że u prawej ręki bra-
kuje mu dwóch ostatnich palców, ostały się tylko kikuty.

Działania mojej rodziny sprowokowały go do bez-
względności, pomyślała.

Nie, nie powinna żałować człowieka, który polował na
jej ojca, a potem zadał mu śmiertelny cios ostrzem szpady.
Nie tylko ten cios, jak mówiono. Więcej niż było konieczne,
aby zgodnie z prawem pozbawić go życia.

Zgodnie z prawem?

Tu leży pies pogrzebany. Słyszała o nienawiści Ashera

Wellinghama do jej ojca z różnych ust, prócz ust samego księcia. Życie nauczyło ją, że rzadko coś jest tylko białe albo tylko czarne.

Szarość też ma różne odcienie.

Marzenia ojca. Zniknięcie matki. Jej dzieciństwo zagubione między pogonią za łatwym zarobkiem a przesiąkniętymi oparami rumu tawernami Kingston Town.

Musi zachować ostrożność. Nie wolno jej wyjść z narzuconej sobie roli, inaczej Wellingham ją rozpozna. Rozpozna i zdemaskuje, a wtedy Ruby już na zawsze pozostanie pod opieką zakonnic.

Ruby. Serce ścisnęło się w niej z żalu na wspomnienie małej przyrodniej siostrzyczki, którą tuliła w ramionach stanowcza i wspaniała siostra Margaret. Ile to już czasu upłynęło? Ponad trzy miesiące. Tyle trwała podróż do Anglii i polowanie na Carisbrooka. Bez mapki nie zapewni jej ani domu, ani utrzymania. Pługawe spelunki portowych ulic Kingston Town nie są bezpiecznym miejscem dla zagubionego i przerażonego ośmioletniego dziecka.

Poskromiła niecierpliwość i starała się uchwycić wątek rozmowy prowadzonej przez ciotkę, pilnie obserwując siedzącego naprzeciw niej księcia.

Tego poranka miał na sobie jasne spodnie i brązowy żakiet. Siedząc z nogą na nodze, sprawiał wrażenie człowieka o niekwestionowanym autorytecie, nawykłego do posłuchu. Ta jego pewność siebie robiła wrażenie na Emeraldzie, przez lata żyjącej z ojcem, któremu właśnie autorytetu w oczach córki tak bardzo brakowało.

Tak też nie wolno myśleć, zganiła się. Niemal chorobliwe niezdecydowanie było u Beau wynikiem jego hamletycznej natury, nadmiernie skłonnej do introspekcji i obse-

syjnego ważenia za i przeciw. Zaowocowało to tym, że brak mu było życiowej busoli. Jeśli jednak po długich wahaniach podejmował podejrzane decyzje, to mimo wszystko stała za tym chęć zapewnienia bytu swoim córkom. Chciał, by miały dom. Dom, który zniszczył Asher Wellingham, kiedy żądny zemsty wrócił na Karaiby.

Żądza zemsty.

Jego zemsta.

A teraz jej zemsta.

Więc jaka jest między nimi różnica? Gdzie przebiega cienka granica między złem a dobrem? Czy istnieje ona obiektywnie, i tylko należy ją rozpoznać, czy też jest to pojęcie umowne i sami tę granicę wyznaczamy pod wpływem okoliczności? Manipulujemy nią wiedzeni strachem, nienawiścią, zazdrością, chciwością... lub też dobrem innych czy kierującą nami ideą... Zawsze jednak byłby to nasz subiektywny wybór, nie zaś wypełnianie nadrzędnego porządku, ustalonego dla ludzi moralnego ładu.

Czy taki ład w ogóle istnieje?

Pokręciła głową i zabrała się do nalewania herbaty. Książkę wstał, aby odebrać od niej filizankę. Ich ręce spotkały się i wszystko uległo spowolnieniu.

Czas.

Oddech.

Obawa.

Jej serce zaczęło walić jak młot, oblał ją żywy płomień. Uchwyciła się oparcia sofy, by nie osunąć się... w ramiona Wellinghama. Na zawsze.

Co się z nią dzieje? Zachowuje się jak głupawa londyńska debiutantka. Skąd te kompromitujące rumieńce? Musi natychmiast wziąć się w garść.

- Proszę wybaczyć - odezwała się, widząc, że książe zauważył jej słabość. - Nie doszłam jeszcze do siebie po wczorajszym wypadku na balu... - Zawiesiła głos, gdy odstawił na bok filiżankę z herbatą, jak gdyby przygotowywał się do ponownej interwencji.

Nie doszłam do siebie?

Czy do tej pory kiedykolwiek tak się roztkliwiała nad sobą? W słabym świetle poranka nagle ujrzała siebie jego oczami i dostrzegła takie cechy jak wrażliwość, delikatność, kobiecość. Omal nie wybuchnęła śmiechem. Jak łatwo sprawić, aby mężczyźni myśleli o nas to, co chcemy, żeby myśleli. Jak łatwo udawać słabość. Wzięła do ręki wachlarz i zaczęła chłodzić rozpalone policzki. W ten sposób zyskała na czasie i na nowo oceniła sytuację.

Asher Wellingham był obecnie starszy i bardziej bezwzględny, a lodowata przenikliwość jego spojrzenia mogła peszyć. Nawet tu, w zaciszu londyńskiego salonu, dawało się w nim wyczuć człowieka niebezpiecznego, wojownika, którego z trudem maskował elegancki ubiór. Człowieka, który nie zna ograniczeń. Gotowego uderzyć, gdyby tylko zrobiła fałszywy krok. Boże, przecież już zrobiła fałszywy krok, a stało się to ostatniej nocy, gdy tak bardzo śpieszyło się jej do domu. Teraz z niepokojem śledziła księcia, jak ją obserwował.

Jak to możliwe, że mnie nie rozpoznaje?

Wypiła łyk herbaty. Słodki napar podniósł ją na duchu. Przywołała na pomoc wszystkie swoje aktorskie umiejętności, by udawać kogoś, kim nie była. Przytknęła dłoń do ust i zamarkowała ziewnięcie. Powiodło się.

Asher obserwował Emmę Seaton z coraz większą konsternacją. Nie mógł zrozumieć tej kobiety. Nic, co się z nią wiązało, nie miało sensu. Jej dłonie były wciąż ukryte w tych samych rękawiczkach, co ostatniej nocy. Było to tym bardziej zaskakujące, że obecnie rękawiczki te były po prostu brudne. Chociaż blizna nad łukiem brwiowym wciąż była niezamaskowana, wielki siniak na żuchwie pokrywała grubą warstwą różu, pod którym miał się stać mniej widoczny. Zależy dla kogo.

- Czy pani się uderzyła?

- Tak, o framugę drzwi. Miriam pokryła mi policzki różem i mam nadzieję, że siniac nie jest zbyt... zbyt widoczny.

Przesunęła dłonią po obolałym miejscu, czym go wzruszyła. Żadna kobieta nie pokazałaby się w tak starej i znoszonej sukni jak ta, którą miała na sobie lady Seaton. Włosy były równie niestarannie uczesane jak wczoraj. A jednak siniak na twarzy wprawiał ją w zakłopotanie? Wszystko, co wiązało się z tą dziwną panną, nie miało sensu.

Absolutnie wszystko.

Ciągle nosiła rękawiczki. Mówiła z takim samym akcentem, jak tajemniczy i nieobecny pan Kingston. Była przerażona i... i taka delikatna.

Rozejrzał się po pokoju i uderzyły go inne szczegóły. Umeblowanie było tak samo wysłużone jak suknia Emmy, ale na półce między oknami stało ponad sto tomów oprawnych w skórę i kosztownych książek Kingslake. Wordsworth. Byron. Platon. Przeważnie po angielsku, zdarzały się jednak egzemplarze noszące arabskie inskrypcje. Kto, do diabła, tu je czytał? Daniel Defoe stał w towarzystwie Johna Locke'a. Non-konformistyczni autorzy, krytykujący panujący establishment, z podtekstami zapowiadającymi coś jeszcze ciemniejszego.

Gdy te książki mogły należeć do Liama Kingstona? Już miał zapytać o to hrabinę, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych i wkrótce w salonie pojawiła się jego siostra z towarzyszącą jej pokojówką.

- Przepraszam za najście, lady Haversham, ale musiałam przyjść. Jestem lady Lucinda Wellingham i zostałam poinformowana, że pan Kingston po tym, jak udzielił mi pomocy ostatniej nocy, wrócił do tego domu. Chciałabym mu podziękować.

Asher podszedł do siostry.

- Pan Liam Kingston wyjechał, Lucindo. Do...? - Zawiesił głos.

- Do domu - skwapliwie podpowiedziała Miriam, która, pokonawszy swoje wątpliwości, przyłączyła się do spirali kłamstw wywołanych przez bratanicę.

- Ale znów się tu pojawi? - nie ustępowała Lucy.

- Nie sądzę. Na pewno nie. - Emeraldą odzyskała panowanie nad sobą, gdy upewniła się, że Lucy Wellingham jej nie rozpoznaje. - Jest żonaty, a jego żona pochodzi z Ameryki. Z Bostonu. Wiem, że pragnie tam wrócić, jak tylko przyjdzie na świat ich czwarte dziecko.

- Żonaty, czwórka dzieci? - Lucinda była wyraźnie zbita z tropu. - Przecież nie wyglądał tak staro.

- Ludzie zawsze mu to mówią. Prawda, ciociu? - Ucieszyła się, gdy ciotka potwierdziła jej słowa energicznym ruchem głowy. - Widocznie w ciemności nie przyjrzała mu się pani dość dokładnie.

Książę Carisbrook przysłuchiwał się tej rozmowie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, natomiast jego siostra była szczerą i spontaniczną. W żadnym razie nie zamierzała po prostu pozostawić całej tej sprawy.

- Asher, w przyszłym tygodniu jedziemy do Falder. Czy moglibyśmy zaprosić tam hrabinę i jej kuzynkę? W ramach rewanżu.

Emeraldzie żywiej zabiło serce.

- Tak, moja droga - powiedział książę obojętnie.

Trudno byłoby doszukać się jakiegokolwiek zachęty w takiej odpowiedzi, lecz Emeralda dostrzegła nadarzającą się sposobność i zamierzała z niej skorzystać.

- Byłybyśmy szczęśliwe, mogąc odwiedzić panią w jej posiadłości, lady Lucindo. Prawdę powiedziawszy, to dla nas wielki zaszczyt.

Te dwa zdania wystarczyły, by droga do Falder stanęła otworem. Książę, bez uczynienia okropnego nietaktu, wręcz grubiaństwa, nie mógł się już wycofać. To się nazywa nieoczekiwany łut szczęścia. Emeraldzie nie przeszkadzało, że książę nie okazywał żadnego entuzjazmu z powodu okazji goszczenia jej pod swym dachem. Nie przejmowała się tym. Jedna noc wystarczy. Więcej jej to przecież nie zajmie.

- Pani kuzyn, Liam Kingston, też będzie mile widziany - dodała Lucinda - gdyż gorąco pragnę mu osobiście podziękować.

Uchwyciła ramię brata, chcąc go skłonić, aby ją poparł, więc Asher Wellingham skłonił głowę w kierunku Emmy.

- Ależ naturalnie, lady Seaton, proszę go przywieźć z sobą, ponieważ człowiek, który tak sprawnie wyeliminował hrabiego Westleigh, dowiózł moją siostrę do domu i nie otrzymał podziękowania, zasługuje na podziw.

Emeraldzie przemknęła przez głowę myśl, że w tym, co powiedział, był jakiś podtekst, ale nie mogła mieć pewno-

ści, bo księżę szybko umknął wzrokiem, wziął siostrę za rękę i zaczął się uprzejmie żegnać.

Słyszając turkot oddalającego się powozu, Miriam uśmiechnęła się.

- Sądzę, że poszło nam bardzo dobrze, a ty co myślisz?

Emeralda podeszła do okna i rozejrzała się po najbliższej okolicy.

Bardzo dobrze?

Zastanawiała się, czy ciotce nie przydałyby się nowe okulary. Uśmiechnęła się do siebie i delikatnie pogładziła obolałą żuchwę.

- Co wiesz o hrabinie Haversham, Jack?

Sięgając po cygaro, Asher odchylił się do tyłu w fotelu w bibliotece w swoim domu. Ostatniej nocy zdołał zamknąć oczy tylko na godzinę, jednak czuł się odprężony po wypitej brandy i rozkoszował się panującą wokół ciszą. Na chwilę zapomniał o tym wszystkim, co go ostatnio tak irytowało.

- Jej mąż, Matthew, umarł na atak serca pięć lat temu. Powiadano, że pozostały po nim znaczne długi karciane.

- Więc hrabina sprzedała meble, aby spłacić wierzycieli?

- Co takiego?

- Sprzedała meble. Byłem w Haversham House na Park Street dziś rano i widziałem trzy fotele oraz stół w jednym pokoju i niewiele więcej w innych.

Jacka wyraźnie to zaintrygowało.

- To wyjaśnia, dlaczego pokazują się w takich sukniach, a także dlaczego kuzynka hrabiny ma na głowie tak po amatorsku wykonane fryzury. Najpewniej sama

je sobie robi. Tony Formison powiedział mi dziś coś, co brzmi nieprawdopodobnie. Twierdzi mianowicie, że lady Emma wcale nie przyjechała do Londynu z prowincji, lecz przyплыnęła na jednym ze statków należących do jego ojca. Kilka miesięcy temu, wraz z dwoma ciemnoskórymi służącymi i skrzyniami, które wyglądały na bardzo ciężkie.

Asher roześmiał się. Czyżby to były książki, które widział w salonie? A więc należały do niej?

- Czy Formison był w dokach, gdy schodziła na ląd?

- Tak. Twierdzi, że mógłby przysiąc, iż miała dłuższe włosy.

- Dłuższe?

- Do pasa, jak twierdzi Tony. Zupełnie niepodobne do obecnych. - Wstał i sięgnął po kapelusz leżący na bocznym stoliku. Przyjrzał się etykietce na butelce. - Już dawno powinienem być w domu, ale ty zawsze masz świetną brandy, Asher. Ta skąd pochodzi?

- Z Charente we Francji.

- Z twojej ostatniej podróży?

- Tak. Poślę ci parę butelek, ale w zamian wypytaj w moim imieniu Formisona, skąd wypłynął statek, którym przybyła Emma do Londynu. Z jakiego portu i kiedy. - Gdy Jack wysoko uniósł brwi na znak zdziwienia, dodał: - Wypytaj go dyskretnie, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Nie życzę sobie żadnych problemów.

- Problemów dla Emmy Seaton czy dla ciebie? Wyglądało na to, że na balu u mnie wpadła ci w oko.

- Widzisz to, czego nie ma, Jack. Tylko wyciągnąłem ręce i pochwyciłem tę damę, gdy padała w moim kierunku. Trochę lekkomyślnie, muszę dodać, gdyż nie mogła mieć

pewności, że mam w tym jakąś wprawę. Zanim dosięgła podłogi, miała otwarte oczy. Była w tym kalkulacja.

- Chcesz powiedzieć, że zrobiła to celowo? - spytał Jack ze śmiechem.

- Wątpię, czy kiedykolwiek tego się dowiem, ale gdybym przyjmował zakłady, oceniłbym, że ktoś, kto tak właśnie twierdzi, ponosi minimalne ryzyko. - Żartobliwa mina znikła z jego twarzy. - Poza tym jestem za stary, żeby dać się nabrać na triki niezbyt bystrej wiejskiej gąski.

- Masz trzydzieści jeden lat i daleko ci jeszcze do starości, a łady Emma jest... inna niż pozostałe... zagadkowa. I z całą pewnością określenie „niezbyt bystra” zupełnie do niej nie pasuje, nie przypomina też w niczym „wiejskiej gąski”. Zresztą doskonale sam o tym wiesz, nie rozumiem więc, po co ta filipika przeciwko niej... Ale cóż, skoro nie jesteś nią zainteresowany, to ja tak, i to z całą pewnością.

- W żadnym wypadku! - Asher był równie mocno zaskoczony ujawnioną przez siebie emocją, jak Jack. Aby zatrzeć wrażenie, wręczył przyjacielowi zakorkowaną butelkę z resztką smakowitej brandy. - Weź to na drogę - niemal wymamrotał.

Był bardzo z siebie niezadowolony, gdy za Jackiem zamknęły się drzwi.

Emma Seaton.

Kim właściwie była? Po raz pierwszy od dłuższego czasu zainteresowanie jakąś kobietą rozproszyło apatię, która go ogarnęła po śmierci Melanie.

Melanie.

Jego żona.

Dotknął pierścionka, który nosił na najmniejszym palcu lewej ręki. Szafiry oprawne w złoto, kształtem przypomi-

nające oczy, których już nigdy nie zobaczy. Jej ślubny pierścionek. Spojrzał na brakujące palce drugiej ręki.

Po rzeczach dobrych nastają złe.

Przypomniawszy sobie swój powrót do Anglii po przeszło czterech miesiącach pobytu w niewoli. Czas ten odarł go z wszelkiej niewinności. Zmienił się. Stwardniał. Mógł to odczytać w twarzach brata, matki i ciotki. Nawet jego impulsywna siostra bała się go niekiedy.

Przesunął ręką po włosach i skrzywił się. Wypita brandy skłania go do introspekcji, a Emma Seaton dotknęła w nim takich miejsc, o których sądził, że już dawno są martwe.

Wszystko przez te jej oczy, orzekł. I ten schrypnięty tembr głosu, gdy porzuca wysokie, płaczliwe tony. Sprawia wrażenie słabej i kruchej, ale gdy ją dźwigał na balu, czuł, że jej ciało jest silne, i to tym rodzajem siły, której źródłem są ćwiczenia fizyczne lub ciężka praca.

Był pewny, że wypadek na balu był zainscenizowany. Usiłował sobie przypomnieć, kto jeszcze stał obok niego. Lance Armitage i ojciec Jacka, John Derrick, obaj starsi panowie, odpowiedzialni i cieszący się solidną reputacją. Nie, to on był celem. A teraz zaprosił Emmę do Falder.

Zrobiła to specjalnie? To taki trik, wpadanie na wybranego mężczyznę?

Nie, to niemożliwe. Szukał dziury w całym. Na litość boską, ta kobieta boi się własnego cienia i jest przerażająco nieporadna. Jest też biedna jak mysz kościelna.

No właśnie, biedna jak mysz kościelna... A może pan-na Seaton poluje na majątek Carisbrooków? Łowczyni majątków, która obmyśliła sobie metodę, jak złapać bogatego męża. Mdleć w jego ramionach... Sposób stary jak świat. Od śmierci Melanie niezliczone kobiety zarzucały na niego

sieci, a każda robiła to po swojemu. Czyżby Emma przyłączyła się do tego połowu?

Podniósł się z fotela, wziął z półki nad kominkiem lichter i otworzył drzwi do pokoju muzycznego. Fortepian Melanie stał w smudze księżycowej poświaty, połyskując białą klawiaturę. Podeszedł bliżej, nacisnął jeden klawisz. Dźwięk rozdarł ciszę panującą w domu i długo wibrował w powietrzu, zanim wybrzmiał w ciemności.

Skończył się tak samo jak ja, pomyślał. Zaraz jednak odrzucił tę myśl. Jest głową rodziny Carisbrooków, wszyscy jej członkowie zależą od niego. Jeśli popełni błąd...? Nie, nie wolno mu nawet o tym myśleć. Ostrożnie opuścił nakrywą klawiatury. Spod grubej warstwy kurzu prześwitywała wspaniała orzechowa intarsja, która układała się w inicjały zmarłej żony.

Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz.

Jutro poleci gospodyni, aby nakazała służbie ponownie posprzątać pokój muzyczny. Jakiś czas temu zakazał tu wszystkim wstępu. Żona byłaby zmartwiona, że jej drogo-cenny fortepian jest w takim stanie.

Ciągle coś go trzymało w tym pokoju, coś nieuchwytnego, co wciąż zaprzętało jego umysł.

To coś było związane z Emmą Seaton. Jej turkusowymi oczami, blizną, śmiechem rozbrzmiewającym na tle szumu morza.

Morze?

Czyżby tracił rozum? Podeszedł do okna. Na zewnątrz panowała noc. Było ciemno i zimno. Chmura zasłoniła księżyc. Poczł ból w nodze. Źle zrosnięte fragmenty kości dawały się we znaki.

Fragmenty.

Czasami było to wszystko, co z niego pozostało. Nie trwała mozaika strat i żalu.

Mój Boże, szepnął w ciemności. Staję się sentymentalny jak matka. Zdmuchnął świecę i postanowił poszukać jakiegoś pocieszenia w bibliotece. Przynajmniej do świtu, kiedy wreszcie będzie mógł zasnąć.

Azziz wrócił do domu przy Park Street tuż przed północą. Emeraldą miała nadzieję, że tym razem zachował należytą ostrożność i upewnił się, iż nie jest śledzony.

- Emmie, słyszałem w dokach, że McIlverray jest w drodze do Londynu.

- A zatem wie o lasce, dlaczego bowiem miałyby tu przybywać?

Wiadomość była wielce niepokojąca, stawiała całą sprawę w zupełnie nowym świetle. Karl McIlverray, oficer pokładowy jej ojca, był równie zdeprawowany jak inteligentny, i otaczała go banda ślepo mu wiernych ludzi. Każda informacja krążąca po Kingston Town docierała do jego uszu, poza tym był z jej ojcem wystarczająco długo, żeby zerknąć tu i tam, a potem dodać dwa do dwóch. Na pewno dobrze wiedział, co jest we wnętrzu laski.

Niech to wszyscy diabli! Sprawa się komplikowała. Dlaczego ojciec nie złożył skarbu w skrytce bankowej, gdzie byłby łatwiej osiągalny!

Czas uciekał.

- Kiedy tu się zjawi?

- Tydzień, może nawet dziesięć dni. Jeśli dopisze nam szczęście, sztormy na Atlantyku mogą opóźnić przybycie statku. Postawię ludzi na straży, żebyśmy dostrzegli jego bandziorów, zanim oni nas znajdą.

- A ty?

- My z Torem udamy się do Falder. Zaszycemy się w okolicy i będziemy mieć baczenie na rozwój sytuacji.

Emeralda nie była pewna, czy to był dobry plan, gdyż na prowincji obaj będą się rzucali w oczy, ale jeśli miał wejść do gry McIlverray, byłoby dobrze, gdyby szybko mogła wezwać ich na pomoc. Wyobraziła sobie, jak wyglądałoby spotkanie arystokratycznej rodziny Carisbrooków z Torem lub Azzizem. Na tę myśl zakłatało w niej serce. A jeśli ktoś niewinny zostanie ranny z jej powodu? Nie chciała nawet o tym myśleć.

Nie może zabawić w Falder zbyt długo. Musi szybko znaleźć się na pokładzie statku płynącego na Jamajkę i zrobić to tak, żeby Karl McIlverray był powiadomiony o jej ruchach. Nagle nawiedziła ją kolejna niepokojąca myśl.

- A co, jeśli laska jest w Londynie?

Azziz zmarszczył czoło.

- Nie było jej tu, kiedy przeszukiwaliśmy dom miesiąc temu.

- Mógł ją przywieźć od tamtej pory. Wciąż kuleje.

- Widziałaś, żeby publicznie używał laski?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - I nie sądzę, żeby to się miało zmienić. Za każdym razem, gdy byłam w jego towarzystwie, starał się, żeby jego ułomność była niedostrzegalna. Laska zwracałaby uwagę na to, co usilnie stara się ukryć.

Prywatność. Azyl. Czwała, że te sprawy miały wielkie znaczenie dla tajemniczego księcia Carisbrooka, co bardzo podnosiło ją na duchu.

- Obie z Miriam już wkrótce wyjedziemy do Falder i pod osłoną nocy na pewno zdołam przeszukać dom.

- Coś mi się wydaje, że książę Carisbrook nie należy do ludzi, których można łatwo oszukać.

- Co o nim myślisz?

- Jest twardy. Niebezpieczny. Bezwzględny. Błyskawicznie potrafi na wylot przejrzeć każde kłamstwo czy podstęp.

-A zatem będę musiała opuścić Falder, zanim się zorientuje.

- Uważaj, Emmie. Boję się, że go nie doceniasz.

- Zaczynasz mówić jak Miriam. - Z uśmiechem położyła dłoń na ramieniu Azziza. Ile to razy w swoim życiu zależała od niego. Co by było, gdyby miała go utracić? Gdyby zdarzyło się coś strasznego?

Odpędziła obawy, ale ogarnął ją smutek Kiedy ostatnio mogła sobie pozwolić na chwilę beztroski?

Nie mogła sobie przypomnieć.

Śmierć ojca, starość Miriam, z dnia na dzień rosące długi. Nie miała swobody ruchów, przyszłość stała pod znakiem zapytania. Jaki los czekał w Londynie ludzi, którym zabraknie pieniędzy? Bała się nawet o tym myśleć.

Przytułek.

Miejsce dla łgarzy i wydrwigroszy.

Łgarzy. Sama do nich należała. Gdyby odnalazła mapę, mogłaby kupić dom. Nie jakąś okazałą siedzibę, ale schronienie, w którym dałoby się zamieszkać i żyć w spokoju. Takie jak St Clair. Zamknęła oczy. Ogarnęła ją rozpacz, gdyż wiedziała, że stare miejsce nie istnieje, poszło z dymem z powodu nienawiści, jaką żywił do jej ojca McIlverray. Nienawiści niezupełnie pozbawionej podstaw, gdyż Beau naobiecował mu znacznie więcej, niż mógł mu dostarczyć.

Westchnęła ciężko. Beau każdemu obiecywał więcej, niż mógł dać, a teraz ona musi to wszystko prostować. Gdyby nie było to takie skomplikowane, mogłoby być nawet śmieszne. Kto ma rację, a kto się myli? Co jest dobre, a co złe? Pamiętała, jak Beau interpretował prawo, i była przekonana, że interpretacja Ashera Wellinghamama nie byłaby podobna choćby w drobnym ułamku. Olbrzymie bogactwo i racje moralne dawały łatwą przewagę nad kimś, kto stał pod lufą pistoletu i musiał mówić to, co mierzący z pistoletu chciał usłyszeć.

Kłamstwo i mistyfikacja.

To wszystko, co jej pozostało, gdyż prawda umierała w obliczu twardej rzeczywistości.

Azziz wyjął nóż ze skórzanej pochwy przymocowanej do łydki i owinał go nasączoną oliwą szmatką. Zauważyła to.

Zrozumiała, że stoi w obliczu realnego niebezpieczeństwa. To nie była przygoda, lecz matnia, a spotkanie z McIlverrayem niepokoiło ją bardziej, niż pragnęłyby to okazać Azzizowi.

Czyżby się starzała?

Dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa za pół roku. Łapała się na tym, że przygląda się innym kobietom w jej wieku, gdy spacerują po ulicach u boku męża, w otoczeniu dzieci.

Usiłowała sobie przypomnieć wygląd matki, dotyk jej ręki, brzmienie jej głosu, lecz bezskutecznie.

Nic a nic. Pustka w pamięci napełniała ją melancholią. Aby ją pokonać, zaczęła rozmowę na temat wydarzenia, które miało nastąpić następnego wieczoru.

- Wielebny George Leary, biskup Kingseat, wydaje jutro

przyjęcie, na które powinnam pójść. Lady Flora okazała mi tyle przyjaźni... - zająknęła się.

- Czy Carisbrook też tam będzie?

- Myślę, że tak.

- Miriam mówi, że jest tobą zainteresowany. Gdyby dowiedział się...

-Wiem.

Przerwała Azzizowi, zanim pogłębił temat. Była zadowolona, gdy wyszedł z pokoju do znajdującej się na partezie kuchni, aby wziąć sobie coś do jedzenia.

scandalous

Rozdział czwarty

Asher spotkał ponownie Emmę Seaton na przyjęciu wydanym przez biskupa Learyego. Był to, jak podejrzewał, wynik zamięłowania żony biskupa do swatania. Gdyby nie żywił wielkiej sympatii do gospodarzy, mógłby mieć do nich o to pretensję. Pamiętał jednak, że George Leary należał do grona najlepszych przyjaciół jego ojca, a Flora Leary, jego żona, wyróżniała się wśród znanych mu kobiet niespotykaną wrażliwością.

Nie mogąc liczyć na towarzystwo gospodyni, zmuszonej do zajmowania się pozostałymi gośćmi, Emma Seaton zachowywała się nieco nerwowo. Asher zauważył, że koronka ozdabiająca jej rękawiczkę była bardzo niewprawnie zacerowana, a suknia, którą miała na sobie, wyglądała na przynajmniej o jeden rozmiar za dużą. Trudno też było opisać jej kolor - chyba brąz, ale niejednolicie wypłowiały. Jak się wydaje, Emmie wcale to nie przeszkadzało. Ta jej nonszalancja w pokoju pełnym elegancko ubranych dam wzbudziła jego sympatię. Siniak na policzku był już tylko ledwie widoczny.

- Lady Emmo, pięknie pani wygląda.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. - Zsunęła niżej rękaw, aby ukryć porwaną koronkę, i upiła orszady. - Byłam przekonana, że lady Flora, zapraszając mnie, miała na myśli spotkanie w niewielkim gronie.

Spojrzał dookoła. W salonie było czterdzieści, najwyżej pięćdziesiąt osób.

- W Falder do skromnej kolacji może zasiadać trzy razy tyle - zauważył.

Zaczerwieniła się. Nie świadczyło to o zakłopotaniu, co mógł wyczytać z jej wzroku, gdy ich oczy się spotkały, lecz o podekscytowaniu.

Miała oczy przejrzyste jak woda morska.

Turkusowe tęczówki otaczała jasna obwódka koloru akwamarynu, lepiej dziś widoczna w intensywnym sztucznym oświetleniu niż wczoraj rano w naturalnym świetle bladego poranka.

- Moja rodzina wiodła bardzo spokojny i niewystawny żywot. Musi pan wiedzieć, że ojciec był człowiekiem bardzo religijnym, dlatego czas poświęcony na życie towarzyskie uważał za ukradziony modlitwie.

- Rozumiem, człowiek bogobojny.

Skinęła głową, zaczęła bawić się wachlarzem.

- Reszta rodziny była równie bogobojna - dodała.

- Jest pani katoliczką?

- Słucham?

- Katoliczką. Pytam o pani wyznanie.

- O tak, oczywiście.

- A do którego kościoła chodzi pani w Londynie?

Wachlarz wypadł jej z rąk. Gdy książę schylił się, żeby go podnieść, Emma zrobiła to samo, odsłaniając piersi.

Nie miała nic pod suknią. Żadnego gorsetu, żadnej ko-

szuli. Asherowi mignęły przed oczami dwie kształtne piersi zakończone różowymi brodawkami i zaraz znikły, gdy Emma się wyprostowała.

Doznał wstrząsu, jakiego nie doświadczał od lat. Ogarnęła go żądza, którą chciałby zaspokoić zaraz, tutaj. Boże, znajdowali się w domu biskupa, a stojąca obok niego kobieta była kompletnie naga pod źle dopasowaną suknią. Nie mógł w to uwierzyć. Zrobiło mu się gorąco, zaczął go uwierać krawat na szyi. Z niechęcią powitał zbliżającą się do nich Charlotte Withers, kobietę, której towarzystwo tak mu nigdyś odpowiadało.

- Wasza Wysokość, całe wieki nie widziałam pana w Londynie - wołała z daleka. - Słyszałam, że pan przyjechał, mówiono mi o pana obecności na balu u Jacka Henshawa. To było przedwczoraj, prawda? Po całym Londynie krążą plotki, jak to księżę Carisbrook dał się nabrać na trik z omdleniem w wykonaniu jakiejś wiejskiej panienki.

- Nie trik, lecz faktyczne zdarzenie, i nie omdlenie, lecz upadek - sprostował i postąpił krok do przodu, zadowolony z rumieńca, który wykwitł na policzkach Charlotte, gdy zorientowała się, kto stoi obok niego.

- Lady Emma! Nie zauważyłam pani. Przepraszam, jeśli dotknęły panią moje nierozważne uwagi. Czy już wszystko w porządku po tym wypadku?

- Tak, i bardzo dziękuję za troskę. - Jej odpowiedź nie zawierała ani szczypty ironii.

- Pani akcent zaciekawia mnie - zauważyła Charlotte, szybko odzyskując równowagę. - Skąd właściwie pani pochodzi?

- Moja matka była Francuzką.

Asher skrzywił się. Znowu wymijająca odpowiedź na jakże proste pytanie.

- A więc to pani ojciec jest spokrewniony z hrabiną Haversham?

- Był. Zmarł w ubiegłym roku na grypę. Był to bardzo groźny przypadek grypy, jak stwierdził doktor. Biedny ojciec cierpiał bardzo długo, zanim ostatecznie infekcja go pokonała. Miał straszne skoki gorączki. Modliłam się nocami do Boga, żeby nie dał mi oglądać takich cierpień w przyszłości.

- To zrozumiałe.

Charlotte zaczęła rozglądać się na boki w poszukiwaniu ciekawszego towarzystwa w osobie Percy'ego Daviesa, który pojawił się w pobliżu. Asher, w duszy zadowolony ze zręcznego uniku Emmy Seaton, postanowił jednak podnieść nieco poprzeczkę.

- Charlotte Withers jest znaną plotkarką i osobą niesłychanie wścibską. Gdyby powierzyła jej pani jakieś sekrety, jestem pewny, że następnego dnia z rana byłyby już znane w całym mieście.

Krew odpłynęła z policzków Emeraldy. Uśmiech towarzyszący słowom księcia zaalarmował ją.

Czy to możliwe, że próbował ją ostrzec? Przez sekundę miała chęć uchwycić dłoń Wellinghama i udawać, że z wdzięcznością przyjmuje jego pomoc, tak potrzebną tu, w Londynie, gdzie walki są toczone za pomocą słów i zręcznych niedomówień. Gdzie ludzie mówią jedno, a myślą drugie, a ona ich nie rozumie. Na tym polega jej kłopot. Przyjechała do Anglii kompletnie różna od tych ludzi i fatalnie nieprzygotowana. Objawiało się to w jej akcencie, w ubiorze, w sposobie chodzenia, poruszania się, siadania.

Litość.

Widziała ją wypisaną na przystojnej twarzy księcia i w spojrzeniu, jakim obrzucił porwaną koronkę przy jej rękawicze i źle dopasowaną suknię. Litość dla kobiety, która, w porównaniu z innymi wyrafinowanymi pięknosciami, takimi chociażby jak lady Charlotte, wprost fatalnie radziła sobie w życiu. Wzięła się w garść, postanowiła zebrać wszystkie siły.

- Sekrety?

- Moje źródła informują mnie, że przybyła pani nie ze wsi, lecz z Jamajki.

Roześmiała się, zadowolona, że jej śmiech brzmi tak bez trosko i dźwięcznie.

-I nie mylą się. Wróciłam do Anglii po uporządkowaniu spraw majątkowych ojca, gdy umarł.

- Czy pani ojciec był uczonym?

Uczonym? Boże, o co mu chodzi? I co to za źródła, na które się powołuje? Była szczęśliwa, że nawinał się lord Henshaw.

- Lady Emmo, lepiej się już pani czuje?

- Tak, o wiele lepiej. Bardzo dziękuję.

Jacy oni wszyscy uprzejmi, pomyślała. Lecz ile jest podtekstów w każdym ich pytaniu.

- Słyszałeś, Asher, o przygodzie Stephena Eatona poprzedniej nocy? W pobliżu doków napadli go jacyś złoczyńcy i nabili mu olbrzymiego guza na głowie. Poszukuje ich miejscowa policja. Ludzie sarkają, że porządny człowiek nie może już poruszać się po Londynie bez narażania się na napaść. Podobno go okradziono.

- Tak twierdzi?

- Tak, choć z drugiej strony nie mogę się nadziwić, co

on miał do roboty w tej części Londynu w godzinę po wyjściu od mnie z balu. Zabrali mu zegarek i pistolet, a także zdjęli z palca pierścionek stanowiący cenną pamiątkę rodzinną. Diamenty, o ile sobie przypominam. Według jego matki, Stephen planuje spędzić kilka miesięcy za granicą, aby odzyskać równowagę po tym napadzie. Widziałem się z nią dziś rano.

- Dobry plan. Mam nadzieję, że nie będzie się śpieszył z powrotem. Jeśli spotkasz jego rodziców, przekaż im pozdrowienia ode mnie i powiedz, że o niego pytałem. - Słowom tym brakowało choćby pozoru serdeczności.

- Zrobię, jak mówisz. Czy twoja siostra wie o jego przygodzie?

- Moja siostra?

- Lucinda. Tańczyła z nim na wielu przyjęciach. Myślę, że być może łączyła ich jakaś szczególna przyjaźń... - Zawiesił głos. Emeralda była pewna, że książę domyślił się, o co chodzi, zresztą aluzja była nad wyraz przejrzysta, ale Jack doszedł do wniosku, że nie czas i miejsce, aby kontynuować tę rozmowę. Rzucił przelotne spojrzenie w kierunku Charlotte Withers i zmienił temat. - Moja starsza siostra wybiera się z wizytą do Annabelle Graveson w przyszłym miesiącu. Asher, jak ona się czuje?

- Bardzo dobrze. - Książę wyraźnie złagodniał. Dopił zawartość kieliszka i zwrócił się do Emeraldy: - Lady Emmo, spotka pani Gravesonów w najbliższy weekend w Falder.

- Czy to krewni Waszej Wysokości?

- Nie. Annabelle poślubiła przyjaciela mojego ojca. Przed śmiercią prosił mnie, abym zajął się sprawami majątkowymi żony i syna.

Jack Henshaw skwapliwie włączył się w konwersację:

- Stary książę był wielkim filantropem, z tej to więc przyczyny Asher odziedziczył po nim całą gromadę potrzebujących.

Książę pozostawił bez komentarza uwagę przyjaciela, ale Emeraldą wyczuła, że nie był zadowolony z takiego podsumowania tematu. Interesujące, pomyślała, jak na człowieka, który głosił, że nie obchodzi go świat.

Rozglądając się po pokoju, zauważyła atrakcyjną, ciemnowłosą kobietę, która bacznie obserwowała księcia Carisbrooka. On nie dał po sobie poznać, że wie, iż jest obserwowany. Pochylił się do Emeraldy, aby jego słowa nie dotarły do nikogo poza nią.

- Wygląda na to, że Eaton rozpowiada o napadzie, by ukryć swoją winę. Jednak możliwe jest jeszcze inne wytłumaczenie. Jak uczciwy jest pani kuzyn?

- Tak uczciwy jak ja. Dziesięcioro przykazań było chlebem powszednim naszego dzieciństwa.

Poczuła skurecz żołądka.

- Nigdy pani nie kłamie?

- Ojciec wpajał nam, czym jest prawda i uczciwość i jak wiele w życiu znaczą.

Zdrętwiała, gdy sięgnął po medalion wiszący na długim łańcuszku na jej szyi.

- Czy to pamiątka rodzinna?

- Należał do mojej matki - odpowiedziała cicho i schowała złotą ozdobę za dekolt sukni.

- Która była Francuzką?

- Słucham? - Spojrzała na niego nieprzytomnie.

- Mówiła pani, że pani matka pochodziła z Francji.

Twarz Ashera była teraz tak blisko, że z łatwością mogłaby dotknąć jego policzka.

- Tak mówiłam? Ależ oczywiście, tak. Ponieważ to prawda.

Dobry Boże, ma już dosyć tych kłamstw. Poczwała, jak poca się jej dłonie.

- Czy pani matka pochodzi z południa czy z północy Francji? - zapytał po francusku.

Nie zrozumiała. Mówił chyba coś o północy i południu, ale nie miała pojęcia co.

- *Oui* - przytaknęła, używając jednego z dziesięciu znanych jej francuskich słów, gdy jednak ujrzała wesołość na twarzy Ashera, wiedziała już, że palnęła głupstwo.

- Uczciwość miała dla pani matki takie samo znaczenie, jakie ma dla pani?

- Tak, Wasza Wysokość.

- Godne podziwu. - Utkwił uporczywe spojrzenie w jej sukni.

-Dziękuję, Wasza Wysokość... - Pod wpływem tego spojrzenia poczuła, jak ściaga się skóra brodawek jej piersi. Powinna była włożyć bieliznę, ale tak swobodnie czuła się bez niej.

- Rzadko można spotkać kobietę o tak solidnym kręgosłupie moralnym - wycedził.

Zarumieniła się.

- Potraktuję to jak komplement, Wasza Wysokość - powiedziała po prostu.

Wybuchnął śmiechem tak głośnym, że na chwilę umilkły rozmowy w ich sąsiedztwie. Emma napotkała wzrok gospodyni, lady Flory, która natychmiast posłała jej serdeczny uśmiech. Emeraldą zauważyła, że zielonooka piękność, stojąca obok pana domu, nie jest ani w części tak przyjacielska jak pytanie, które zadała:

- Słyszałam, że pana najnowszy statek jest gotowy do wodowania w Londynie, Wasza Wysokość. Jaką nazwę otrzyma?

- „Melanie”.

Pokój wypełniło niewytłumaczalne napięcie.

Kto to jest ta Melanie, zastanawiała się Emerald, i kim była dla Ashera Wellinghama? Kimś ważnym, bez wątpienia.

Ciekawe, co się z nią dzieje?

Biskup podniósł kieliszek.

- Za pomyślność „Melanie”! Niech długo pływa po morzach i oceanach i będzie równie piękna jak jej imienniczka.

Imienniczka? Zainteresowanie Emeraldy osobą nieznaną Melanie wzrosło, gdy zobaczyła, że Asher przyjął słowa biskupa Leary’ego z wdzięcznością. Po spełnieniu toastu jego twarz wyglądała jednak o dobrych pięć lat starzej. Przybrała twardy, nieobecny wyraz.

Z jakiegoś powodu Emeraldę opanował głęboki smutek. Odetchnęła z ulgą, gdy rozpoczęły się tańce. Potrzebowała odmiany nastroju, aby odzyskać równowagę.

Pół godziny później stała przy filarze odgradzającym wyjście na balkon. Asher Wellingham znajdował się po przeciwległej stronie pokoju w towarzystwie pięknej zielonookiej kobiety, wspartej na jego ramieniu. Z tej odległości jej staranna fryzura miała dokładnie ten sam odcień co jego włosy. Pomyślała o swoich włosach i podniosła rękę, aby przygładzić krótkie, niesforne kosmyki.

Dwie kobiety za jej plecami rozmawiały o księciu. Zaczęła przysłuchiwać się ich rozmowie.

- Co zrobić, żeby popatrzył w naszą stronę, Claire. Tylko raz. Czy byłoby niestosowne, gdybym podniosła kieliszek i uśmiechnęła się do niego?

- Nie zrobisz tego. Wyobraź sobie, co mógłby o nas pomyśleć.

- Krażą plotki, że w przyszłym miesiącu wybiera się do Indii. Miejmy nadzieję, że w drodze nie spotka ducha tego pirata, Beau Sandforda.

Głośny okrzyk podniecenia, jakim zareagowała Claire, zwrócił uwagę księcia. Emefalda zastygła w oczekiwaniu. Była zaskoczona, słysząc nazwisko swego ojca. Zaniepokoiła się, widząc, że obiekt zainteresowania obu panien zbliża się do niej.

- Lady Emmo, czy nie przespacerowałyby się pani w moim towarzystwie?

- Przespacerowała, z panem?

Ze zdziwienia zapomniała nadać głosowi tak dobrze wyćwiczone wysokie brzmienie.

- Na balkon. Myślę, że to dobre miejsce, aby porozmawiać. Mam coś dla pani.

Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż jak prośba. Udała, że nie widzi oferowanego jej ramienia. Miała nadzieję, że książę nie zauważył wyrazu uwielbienia, jaki zagościł na twarzach otaczających ją młodych kobiet. Jego arogancja była już i tak powszechnie znana.

Emeraldę ucieszył spokój panujący na balkonie. W pobliżu drzwi wiodących do pokoju stała grupa gości. Minęła ich i zatrzymała się przy balustradzie, czekając, aż książę odezwie się pierwszy.

- Lucy dała mi list dla pani i jak tylko panią tu ujrzałem, posłałem służącego do domu, aby mi go dostarczył. - Wy-

jął z kieszeni zapieczętowaną kopertę. - List jest dla pani kuzyna, Liama Kingstona. List dziękczynny, jak się domyślałam, ale Lucy jest młoda i uczuciowa, więc jeśli treść jest momentami przesadzona... - Zamilkł.

Wyciągnęła rękę po list. Dotyk jego palców był nieunikniony. Zadrżała. Nawet tu, w publicznym miejscu i w tak banalnej sytuacji, czuła się zagrożona. Miała nadzieję, że na jej twarzy nie ukazał się taki sam wyraz, jaki spostrzegła u owych afektowanych kobiet w pokoju. Schowała kopertę do torebki.

- Gdyby pan Kingston zdecydował się na odpowiedź, byłbym mu bardzo wdzięczny. Siedemnastoletnia dziewczyna może być skłonna do przesady, sama pani rozumie, dlatego chciałbym, żeby ta sprawa została ostatecznie zakończona.

Masz ci go. Poczucie odpowiedzialności i kontrola. Jakie to musi być ważne dla takiego człowieka jak Asher Wellingham, który rzadko pozostawia sprawy swojemu biegowi.

Co by to było, gdyby teraz jednak pozostawił je swojemu biegowi? - zapytał cichy głosik w jej głowie. Szumiało jej w skroniach. Odwróciła się od księcia, żeby odzyskać równowagę. Jego następne słowa dosłyszała jak przez mgłę:

- Czy byłoby możliwe, żeby dała mi pani jego adres? Gdybym akurat przebywał w tych rejonach świata, gdzie pani kuzyn, mógłbym do niego wstąpić, żeby mu osobiście podziękować.

Boże!

Jaki mu podać adres? Nie miała pojęcia o żadnym adresie w Ameryce. Przyszedł jej do głowy szczęśliwy pomysł. Może Azziz ma jakieś kontakty...

- Napiszę go panu i prześlę.

- Będzie pani w Falder za dwa dni. Zaczekam do tej chwili.

Dobiegły ich dźwięki ostatniego walca przed kolacją.

- Jak to się dzieje? Odnoszę wrażenie, że panią znam, lady Emmo. Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

- Czy Wasza Wysokość był kiedyś w Cheshire?

Z ulgą przyjęła jego uśmiech i towarzyszący mu przeczący ruch głowy.

- Nie, ale nie kojarzy mi się pani wcale z Anglią...

Desperacko pragnąc nie dopuścić do tego, żeby przypomniał sobie, skąd ją zna, położyła mu rękę na ramieniu i poprosiła do tańca. Nie przeszkadzało jej, że był mocno zdziwiony taką bezpośredniością, a tak naprawdę skandalicznym brakiem manier.

fego ciało przywarło do jej ciała i odnalazło rytm muzyki znacznie łatwiej niż ona. Wsparta na nim tylko na tę jedną chwilę, zamknęła oczy.

Marzyła.

Marzyła, że jest wytworną damą, a księżę choć trochę ją lubi. Marzyła, że wszystko między nimi wygląda inaczej i że to, co o niej wie, jest prawdą.

Asher czuł ciężar jej ciała, więc przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej. Od czasów Melanie nikogo nie prosił do tańca.

Prawdę powiedziawszy, Emmy Seaton też nie prosił do tańca, sama go zaciągnęła na parkiet, ale dzięki temu miał ją w ramionach. Czuł na szyi jej ciepły oddech. Blisko. Nieoczekiwanie blisko. Czy obojętne jej były plotki?

Zaalarmowało go zainteresowanie, które dostrzegł na twarzach otaczających ich ludzi, i odsunął się od niej. Odległość między nimi zrobiła się bardziej przyzwoita.

- Lady Emmo, jest pani nowa w Londynie. Jeśli zależy pani na dobrej reputacji, powinna pani raczej unikać mojego towarzystwa przy kolacji.

- Dlaczego, Wasza Wysokość? Panny, które przed chwilą stały obok mnie w pokoju, zastanawiały się, pod jakim pretekstem nawiązać z panem znajomość, a wyglądały dość niewinnie.

Wybuchnął śmiechem.

- Panny dość niewinne? Doprawdy, ciekawe określenie, lady Emmo.

- No tak, Wasza Wysokość. Jak to inaczej określić? Coś by tam chciały, coś się w nich burzy, lecz nie bardzo wiedzą co. Poza tym taktycznie nieporadne, nieumiejętność podjęcia działania, pozostały tylko ochota, piski i chichoty. Więc panny dość niewinne, nieprawdaż, milordzie?

Patrzył na nią rozbawiony do ostateczności. Tak celnej i dowcipnej definicji debiutantek nigdy jeszcze nie słyszał. Zarazem jednak w tej wypowiedzi było coś dziwnego. Wyrafinowana uszczypliwość, choć pozbawiona jadu, delikatna ironia, precyzyjna ocena. Tak mogłaby się wyrazić dojrziała dama, która ocenia swe młodziutki następczynię z perspektywy swych doświadczeń nabytych przez lata. No tak, tyle że lady Emma jest niewiele starsza od owych chichotek... I jeszcze coś. Doskonałe zdania, świetna kompozycja, a zarazem słowa Emmy zabrzmiały zupełnie inaczej, niż to zwykle działo się na salonach. Jakby wypowiedziała je kobieta wykształcona, lecz zupełnie inaczej wychowana i ukształtowana niż te wszystkie damy wokół.

- Do jakiej szkoły pani chodziła, lady Emmo?
- Do klasztornej. Dlaczego pan pyta?
- Ponieważ pani słownictwo jest... zaskakujące.

- Zaskakujące? Nie wiem, milordzie, jak mam to rozumieć. - Emeraldą wyczuła w nim jakieś nowe emocje, których nie potrafiła określić.

- Och, z całym uszanowaniem, jak najprzyjaźniej. - Spojrzył na nią uważnie. - Czy ma już pani jakieś oferty?

- Oferty? O jakie oferty pan pyta?

- Mażeńskie. Czy nie po to przyjechała pani do Londynu?

- Och...-Zbladła.

- Nie wiedziała pani, że właśnie trwa sezon? Czas, w którym mężczyźni wybierają żony spośród tegorocznych debutantek.

- Tacy mężczyźni jak pan? - odparowała, starając się zachować obojętność.

- Jeśli już znane są pani krążące plotki, powinna pani wiedzieć, że nauczyłem się całkiem skutecznie unikać świętego stanu mańskiego.

- Rozumiem.

Nagle przyszło jej do głowy niemiłe odczucie, że robi z niej idiotkę.

- Wasza Wysokość będzie zatem zadowolony, gdy się dowie, że ja też nie rozglądam się za mężem.

- Doprawdy? - Uniósł brew. - A zatem po co pani tu przyjechała, lady Emmo?

Dwie rzeczy uderzyły ją w tym samym momencie. Rozbrajający uśmiech i szorstki tembr jego głosu. Mrowie przeszło jej po plecach na wspomnienie młodszego Ashera Wellinghama, który stał na rufie swojego okrętu, podniecony bitwą na pełnym morzu, ale na tyle opanowany, by cofnąć szpadę, której ostry koniec był wymierzony w jej gardło, kiedy zorientował się, że godzi nie w chłopca, lecz

w dziewczynę. Teraz w sali balowej eleganckiego angielskiego domu zdała sobie sprawę, że znała go tylko połowicznie.

Książę Carisbrook był szlachetnym człowiekiem, który respektował kodeks angielskiej arystokracji, nakazujący, by dżentelmen nigdy nie zranił kobiety. Nawet jeśli posługiwała się bronią z taką samą wprawą jak każdy mężczyzna na pokładzie „Mariposy”.

- Jestem tu po to, żeby zadbać o los mojej ciotki. Jest stara i samotna. Oprócz mnie nie ma nikogo.

- I głuchota pani w tym nie przeszkadza?

- O czym pan mówi?

- Głuchota. Upośledzenie słuchu. Potrafi pani spać całą noc i nie słyszeć, co się dzieje w domu.

Jakaś ledwie dostrzegalna iskra w jego oczach złagodziała ostrość zniewagi.

- Ot, na przykład pani kuzyn, Liam Kingston, jest takim nocnym markiem, że nawet ktoś cierpiący na bezsenność nie mógłby mu dorównać.

Mimo wszystko roześmiała się.

- Wyszło to na dobre pańskiej siostrze.

- Rzeczywiście.

- Pomyślny zbieg okoliczności. Ale, ale, dlaczego pani kuzyn wcześniej śledził nasz powóz?

- Nie rozumiem.

- Woźnica zauważył jakiś pojazd, który podążał jego śladem. Twierdzi, że to była dorożka, a ja wiem, że pani ciotka nie ma własnego powozu.

Milczała. Boże, jak on to wszystko umiejętnie poskładał w całość.

- Pański woźnica mógł się pomylić. Liam niedawno

przybył do Londynu, nie widzę więc powodu, dla którego miałby śledzić pana siostrę.

- Nie widzi pani? No to może śledził mnie.

- A co mój kuzyn mógłby mieć do pana?

- To samo pytanie zadaję sobie od kilku dni - stwierdził głosem wypranym z emocji.

-I znalazł pan odpowiedź?

- Nie, lady Emmo.

Odchylił się do tyłu. Światło odbite od jego zegarka roz-
błysło tęczą na posadzce. Niebezpieczny i podstępny. I do-
brze wychowany. Czy może być bardziej pociągająca kom-
binacja?

-Mój kuzyn jest zamożnym, szanowanym, żonatym mężczyzną...

- Skoro pani tak twierdzi.

- ...który dorobił się majątku na bawełnie - kontynu-
owała, nie zważając na wątpliwości, jakim dawał wyraz.
Nie miałby powodu do szantażu, jeśli to pan chce zasuge-
rować - postawiła kropkę nad i.

- Nic nie sugeruję.

- Albo porwania - ciągnęła niezrażona.

Nagle zrozumiała i ugryzła się w język. Po mistrzowsku
została zmuszana do odkrycia kart. Przywołała na pomoc
cały swój kunszt aktorski.

- Wasza Wysokość raczy sobie ze mnie dworować - stwier-
dziła ze sztucznie przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Z całą pewnością - odrzekł w tej samej konwencji,
kłaniając się jej uprzejmie, gdyż właśnie ucichła muzyka.

- Choć wątpię, czy jest pani taka pusta, za jaką pragnie pa-
ni uchodzić.

Emeralda drgnęła, słysząc tę uwagę. Jaki olbrzymi dy-

stans dzielił go od pozostałych ludzi, jak wyróżniał się na ich tle.

Przekrocz tę linię, a będziesz zgubiona, pomyślała.

Nie powinna go lekceważyć z powodu brakujących palców i chromej nogi. Nie może sobie pozwolić na obniżenie gardy.

Kolację podano na stole ustawionym przez całą długość salonu. Asher przyłączył się wraz z Emmą do przyjaciół gospodarzy, Jacka Henshawa i Charlotte Withers, siedzących przy jednym z mniejszych stolików rozstawionych w pokoju. Po nałożeniu na talerz Emmie i sobie, księżę usiadł obok niej. Tematem rozmowy była muzyka.

- Czy pani gra na jakimś instrumencie, lady Emmo? - zagadnęła Flora Leary.

- Niestety nie. - Ustna harmonijka na pewno nie należała do instrumentów, które zaakceptowałyby żona biskupa.

- A może pani śpiewa?

- Również nie. - Niech Bóg broni, aby miała stanąć przed tym tłumem i zaśpiewać jedną z tych sprośnych piosenek, których nauczyła się, siedząc jako dziecko na kolanach marynarzy, którzy na oczy nie widzieli nawet w części tak eleganckiego salonu jak ten. - Mój ojciec należał do ludzi, którzy wierzyli, że muzyka jest wymysłem szatana. Był człowiekiem o silnych przekonaniach religijnych, nigdy nie kwestionował prawd i nakazów wiary.

- Niełatwo żyć z takim człowiekiem - włączył się do rozmowy Asher.

W jego głosie wyczuwała zamaskowaną groźbę.

- Czy jest pani szczególnie utalentowana w jakimś kierunku?

Zastanawiała się, jakie osiągnięcia byłyby godne uznania w tym towarzystwie.

- Jeżdżę niezłe konno, a także pochlebiam sobie, że wspaniale przygotowuję posiłki.

Przy stole zapanowała konsternacja, która uzmysłowiła Emmie, jak wielki popełniła błąd.

- Zapewne ma pani na myśli planowanie menu, lady Emmo? Bardzo odpowiedzialne zajęcie. Pamiętam, że moja matka pasjami lubiła dobierać wina do mięs. Przed każdym przyjęciem poświęcała temu mnóstwo uwagi. Czy to miała pani na myśli, moja droga?

Życzliwa i uprzejma lady Flora ułatwiła jej wyjście z kłopotliwej sytuacji, z czego Emeralda oczywiście skwapliwie skorzystała.

- Tak, właśnie o to mi chodziło.

Lady Charlotte pochyliła się ku Asherowi Wellinghamowi, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Brat Waszej Wysokości, Taris, był koneserem win. Co u niego? Czy jego wzrok się poprawił?

- Znacznie.

- Bardzo mnie to cieszy. Proszę mu powiedzieć, że o niego pytałam i gdyby był w Londynie w najbliższej przyszłości, z radością.

- Zrobię to.

Emeralda wyczuła, że coś jest nie tak. Wiedziała, że Asher ma brata Tarisa, gdyż Miriam opowiadała jej o jego najbliższej rodzinie. Nie wspominała jednak, że ma on jakiś problem ze wzrokiem, a nieruchoma twarz księcia Carisbrooka, z jaką przyjął wzmiankę o bracie, była zastanawiająca.

Brat mający kłopoty ze wzrokiem i kobieta imieniem Melanie, piękna i nieobecna w jego życiu. Miał sporo sekretów i doskonale potrafił ukrywać uczucia.

Dyscyplinę i samokontrolę znamionowała głęboka zmarszczka wyryta między oczami, szpecąca nieco tę przystojną, męską twarz. Wyczuwało się w nim jakiś smutek. Nawet tu, w wytwornym świecie londyńskiego towarzystwa, nie potrafił się odprężyć jak inni, tylko ciągle rozglądał się na boki.

Nieustannie miał się na baczności.

Była pewna, że gdyby ktoś zaszedł go niespodzianie od tyłu, wyciągnąłby niewielki nóż, który ukrywał w fałdach zakietu. I użyłby go umiejętnie. Uśmiechnęła się. Ta mieszanka była pociągająca. Książęce manieri i umiejętność walki wręcz.

Widziała to na własne oczy, wiedziała, do czego jest zdolny. Wiedziała także, że ci, którzy płaszczyli się przed jego tytułem i bogactwem, nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. Nigdy nie widzieli pokładu statku spływającego krwią podczas bitwy morskiej, nie na ich oczach pokonani opłakiwali śmierć towarzyszy broni.

To było jej udziałem.

I jego, przez krótki moment.

Moment, który wystarczył jej, aby nie bacząc, czy zachowuje się honorowo, czy nie, stracić go w dół, w kipiel ryczącego z wściekłości oceanu.

Asher rozkazał woźnicy, by pędził co koń wyskoczy ciemnymi ulicami Londynu. Otworzył okno powozu, rozkoszując się podmuchami wiatru i ciemnym niebem nad głową, upstrzonym gwiazdami. Co za nagła odmiana po

miesiącu nieustannych deszczów. Jego brat będzie zadowolony, gdyż obserwowanie nieba przez teleskop, sprowadzony dla niego specjalnie z Chin, było jego pasją. Skrzywił się. Jak długo jeszcze?

Wzrok Tarisa pogarszał się, musiał to przyznać sam przed sobą. Przeklinał Charlotte Withers za poruszenie tego tematu. Emma Seaton będzie pojutrze w Falder i stanowczo wolałby, żeby nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów tego problemu.

Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek o tym wiedział.

Chciał trzymać cały świat z dala od brata, dopóki stan jego wzroku nie wyjaśni się ostatecznie. Dopóki nie będzie pewne, czy kompletnie oślepie, czy będzie widział choć trochę.

Gdyby Taris nie przybył na Karaiby po otrzymaniu listu od porywaczy... Gdyby został w Anglii i pozostawił niebezpieczną misję uwolnienia brata innym! Nie, nie wolno mu tak myśleć. Taris przybył mu na ratunek i uwolnił go, ale zapłacił wysoką cenę za swoje poświęcenie. Asher nie mógł pozbyć się poczucia winy za kalectwo brata.

Boże, dopomóż, wyszeptał w tej niezwykłej chwili, kiedy człowiek czuje bliski kontakt ze Stwórcą. Jednak natrętnie powracająca wizja Emmy Seaton bez bielizny pod suknią kłóciła się z tym podniosłym nastrojem i na sekundę rozbawienie wyparło z serca księcia panujące tam zazwyczaj uczucie dojmującej samotności.

Delikatną skórę na jej prawej piersi zdobił niebieski tatuaż. Motylek. Mały, delikatny, nieoczekiwany.

Nie mógł pohamować ciekawości, uczucia, którego nie zaznał od lat. Jaką ulgę przynosi śmiech, nawet do samego siebie i w środku nocy!

Emma Seaton.

Miała kędzierzawe włosy, które bezskutecznie usiłowała poskromić licznymi spinkami. Na jej karku wiły się nieposłuszne kosmyki, wymykające się z sięgających zaledwie kołnierza ciasnych splotów. Rudoblond włosy i turkusowe oczy. I kształtne ciało.

Dobrze się bawił dzisiejszego wieczoru. Podobały mu się jej poczucie humoru i otwartość. Podobało mu się jej ogorzałe od słońca ciało pod za luźnym stanikiem sukni, ciało, które z taką przyjemnością obejmował w tańcu.

Jak wyglądałaby w sukni z jedwabnej satyny, uczesana przez najlepszego londyńskiego fryzjera?

Zaklął soczyście. Rzadko zdarzało mu się utrzymywać kochankę, czym różnił się od większości mężczyzn z wyższych sfer. Od czasu do czasu korzystał z usług kobiet, na których dyskrecji mógł polegać. Dziś wieczorem, przepełniony pożądaniem, pragnął czegoś więcej.

Przed oczami stanął mu widok dwóch różowo zakończonych piersi. Zegar mijanego właśnie Westminsteru wybił pierwszą nad uśpionym miastem. Uśmiechnął się w ciemnościach, gdy konie zwolniły na rogu Pall Mall i St James Square.

Po powrocie do domu Emeraldy otworzyła list od Lucy i stwierdziła, że zgodnie z przewidywaniami Ashera Wellinghama, był pełen młodzieńczej egzaltacji. Zapamiętała jego treść, gdyż mogło to się przydać w przyszłości, po czym wrzuciła go do ognia. Podeszła do okna, żeby spojrzeć w niebo.

Bezchmurne, cudowne niebo. Księżyc dopiero wzeszedł nad horyzontem. Jutro będzie padało, pomyślała, bo jasną

powierzchnię półksiężyca przesłaniał obłok mgły, a powietrze było przesycone wilgocią.

Gdzie był teraz książę Carisbrook? Zapewne w ramionach zielonookiej kobiety. Dlaczego ją to irytuje?

Asher Wellingham nic dla niej nie znaczy.

Zabawi w Falder kilka dni, może nawet tylko godzin, jeśli znajdzie to, czego szuka. I zaraz wyjedzie. Daleko stąd. Daleko od niego.

Czuła jego ramiona otaczające w tańcu jej talię. Delikatne dźwięki muzyki wirowały w przestrzeni między nimi. Pochyliła głowę, aby wciągnąć w nozdrza jego zapach.

Boże, otrząsnęła się z tych wspomnień. Co ta Anglia z niej robi? Stała się delikatna, zależna.

Jest przecież zaprawioną w walkach, nieodrodną córką swego ojca. Dotknęła palcami blizny przecinającej prawą brew i biegnącej pod grzywką w stronę nasady włosów. To sprawka Czarnego Jacka Porrita i jego ludzi u wybrzeża Baranquilli zimą 1819 roku. Nigdy nie będzie pasowała do tego towarzystwa i powinna stąd zniknąć, zanim pojawi się w Londynie pierwsza plotka o jej pochodzeniu.

Zdjęła suknię i ułożyła koce pod oknem wychodzącym na ulicę.

Dźwięk dzwonów rozproszył ciszę nocną. Druga. Układając się do snu, wyszeptwała imię siostry.

- Już wkrótce, Ruby. Wkrótce wrócę do domu. Obiecuję.

Rozdział piąty

Miriam i Emeraldal zbliżały się do Falder, właśnie gdy na chwilę przestało padać, a słońce zaświeciło nad przylądkiem Fleetness Point.

Falder.

Dla Emeraldy była to najpiękniejsza okolica, jaką kiedykolwiek widziała w życiu. Łagodne, zielone pagórki pokryte szachownicą zagajników i pól uprawnych. Wszystko tu było urzekające. Zachwycało ją odosobnienie tego miejsca. Siła jego spokoju. Uroda dolin opadających w stronę otwartego morza, głębokiego i zimnego. Czuła ostry smak soli, którą przynosił wiejący od morza wiatr. Słyszała samotne głosy mew.

Dom.

Falder wzywało ją tęskną, zawodzącą pieśnią. Westchnęła, widząc odbicie swej twarzy w szybie drzwi powozu. Czy kiedykolwiek przyzwyczai się do krótkich włosów?

- Jeśli właściciel Falder dowie się o nas czegoś więcej, wyrzuci nas w ciągu minuty. - Miriam bawiła się jedwabnym sznureczkiem małej torebki, którą mia-

ła przy sobie. - Jeśli masz zamiar w męskim przebraniu przeszukiwać nocą dom, pragnę cię ostrzec, że to niebezpieczne.

Wzdychając ciężko, Emeraldą szczelniej otuliła się pelearnką z grubej wełny.

- Wolałabyś, ciociu, żebym raczej przyłożyła mu nóż do gardła?

Dzisiaj, w świetle tego wszystkiego, co była zmuszona udawać, nie chciało się jej silić na uprzejmość.

- Zabiłabyś go?

- Oczywiście, że nie.

Sugestia ciotki zasmuciła ją. Czy Miriam naprawdę sądzi, że jej bratanica byłaby zdolna do podejrzenia gardła bezbronnemu mężczyźnie?

- Beau popełnił parę głupich błędów, Emeraldo. Moim zdaniem największy polegał na tym, że nie wysłał cię do Anglii, gdy opuściła was matka.

- Czasami myślę, że jesteś niesprawiedliwa dla mojego ojca. Przecież... - zaczęła, ale Miriam nie pozwoliła jej dokończyć.

- Miałaś sześć lat, a jego ciągle nie było w domu.

- Miałam Azziza i St Clair.

- No nie! Też mi coś! Chłopak ledwie mówiący po angielsku. To miał być odpowiedni dom?

- To był mój dom. - Ile razy już wcześniej rozmawiała na ten temat?

- Nazywasz to domem? Z tymi wszystkimi dziewczynami, które sprowadzał Beau i niemal każdej nocy urządzał pijacką orgię?

- Brakowało mu mojej matki.

- Raczej jej pieniędzy.

Emeralda uniosła brwi ze zdziwienia. To był watek, którego ciotka nigdy wcześniej nie poruszała.

- Pieniędzy? Moja matka miała pieniądze?

Miriam pobladła.

- Obiecałam bratu, że nigdy o tym nie wspomnę. Chciał, żebyś była wolna od ograniczeń i kaprysów wielkiego świata, i przyrzekłam mu milczenie. - Przeżegnała się. Emeraldą dostrzegła w jej oczach łzy. - Żądał zbyt wiele. Od wszystkich. Ode mnie też.

- Nawet nie pamiętam jej imienia. Czy możesz mi powiedzieć chociaż tyle?

- Evangeline.

Napotkała spojrzenie ciemnych oczu ciotki i nagle zakręciło się jej w głowie.

-Evangeline - powtórzyła szeptem. Delektowała się brzmieniem tego imienia. - Evangeline. Jak anioł?

Surowy wyraz twarzy Miriam zaskoczył ją.

- Życie z dala od Anglii było dla twojej matki trudne, a i Beau nie należał do najlepszych mężów. Był jednak twoim ojcem i moim bratem, a nie należy mówić źle o zmarłych. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Zapadło milczenie. Emeraldą wiedziała, że już nic więcej z ciotki nie wydobędzie.

Widok na Falder przechodził wszelkie oczekiwania. Budynek, stanowiący mieszaninę wszystkich możliwych stylów architektonicznych, stał na wzgórzu górującym nad rzeką, otoczonym rozległymi łąkami. Z niezliczoną ilością wieżyczek i daszków dominował nad krajobrazem i świadczył nie tylko o bogactwie właścicieli, lecz również o tych licznych generacjach Carisbrooków, które nadały mu obec-

ny, eklektyczny kształt. Rezydencja była po części feudalną szkocką baronią, po części gotyckim zamkiem, po części staroangielskim dworem.

Powóz podskakiwał na kocich łbach podjazdu. Emeraldalda rozglądała się, czy nie ma już zbyt wielu innych gości zaproszonych na weekend, gdyż zaczynała mieć dość tych wszystkich towarzyskich uprzejmości, do których była ostatnio zmuszona.

Przed wejściem do domu powitała ich cała armia służących, ludzi zachowujących się z powagą, co znamięnowało, że dobrze znali swoje obowiązki. Unikała kontaktu wzrokowego z kimkolwiek spośród nich, wychodząc z założenia, że bez trudu rozpoznają osobę, która udaje wielką panią, choć nią nie jest. W wyniku zbiegu różnych okoliczności nie odebrała starannego wychowania, ale nikt nie mógł kwestionować jej dobrego urodzenia. Beau, zanim został piratem, był angielskim arystokratą, więc tytuł lady całkiem słusznie się jej należał. Wzięła ciotkę pod ramię i ruszyła w górę po wejściowych schodach.

Asher Wellingham oczekiwał ich w niewielkim błękitnym salonie usytuowanym obok ganku. Przy nim stał wysoki mężczyzna.

- Czy miały panie przyjemną podróż? - zapytał z przesadną grzecznością.

- Tak, dziękuję bardzo.

Emeraldalda pomogła Miriam zająć miejsce w fotelu przy kominku i okryła wełnianym kocem jej kolana. Zmęczona ciotka wyglądała blado i staro. Siostra jej ojca. Jej jedyna krewna, poza Ruby Poczuała, że w obcym Falder jest jej bardzo droga. Stojąc za fotelem, opiekuńczym gestem i

otoczyła ręką ramiona ciotki. Asher Wellingham tłumaczył nieobecność matki, spowodowaną złym samopoczuciem, i przedstawił brata.

Taris Wellingham był w ciemnych okularach, jedną ręką przytrzymywał się brzegu wielkiej komody. Był tak samo czujny jak jego brat i miał tak samo kruczoczarne włosy. Spodziewała się, że usłyszy od niego jakieś słowa powitania, ale nie doczekała się.

- Taris miał wypadek na Karaibach. Proszę podejść do niego bliżej.

Emeralda nie mogła powstrzymać odruchu zdziwienia.

- Bardzo mi przykro... - powiedziała głośno, ale księżę nie dał jej dokończyć.

- Mój brat nie jest głuchy.

Zapanowała nieprzyjemna atmosfera. Miriam poruszyła się w fotelu, ale Emeraldą podeszła jeszcze bliżej i poddała się obserwacji parze zmaconych bielmem oczu. Miała wrażenie, że Taris dostrzegał więcej, niżby sobie życzyła.

- W pani głosie jest akcent, który świadczy o tym, że przybyła pani z daleka, lady Emmo.

Nie odezwała się, nie chcąc okłamywać człowieka tak mocno okaleczonego. Od jego czoła poprzez lewe oko biegła blizna kończąca się na policzku. Ślad po kuli! Żadne drobne draśnięcie. Czy on też był ofiarą jej ojca? Podejrzenie to bardzo ją zaniepokoiło, dlatego z ulgą przyjęła pojawienie się pokojówki, która zaczęła roznosić napoje.

Miriam wybrała lemoniadę, ale Emeraldą poprosiła o białe wino. Upiła spory łyk z kieliszka, by uspokoić nerwy. Stała wyprostowana, nie dbając o to, że ujawnia w pełni swój wysoki wzrost.

- Asher mówił nam, że pani kuzyn, Liam, ocalił naszą siostrę od zguby.

- Nie przesadzajmy z tą zgubą.

- Doprawdy? - W głosie Ashera Wellinghama dało się wyczuć rozdrażnienie.

- Pani kuzyn jest bohaterem, choć czuje dziwną niechęć by przyznać się do tego. Jakim statkiem udał się do Ameryki?

- „Cristobel” - odpowiedziała bez wahania, zadowolona że przed przyjazdem zdążyła sprawdzić, jaki statek wypłynął ostatnio do Nowego Świata. Zaraz jednak przyszła jej na myśl refleksja: co będzie, jeśli on sprawdził listę pasażerów i nie znalazł na niej Liama Kingstona i jego rodziny. Albo jeszcze gorzej, jeżeli odkryje, że była w biurze armatorą i dowiadywała się o statki do Ameryki?

Współwina i mataczenie.

Była pewna, że księżę tego nie wybaczy, miała też wrażenie, że jest wciągana w pułapkę.

Tylko tydzień, pomyślała. Ma siedem dni na znalezienie mapy i opuszczenie Falder. Jeśli będzie szybka, wszystko stanie się realne, ale jeśli nie...

- Pański dom jest piękny - powiedziała, oglądając pokój w którym się znajdowali, w poszukiwaniu tego, po co przy była do Falder. - Ile tu jest pokoi?

- Sto dwadzieścia siedem - odezwała się wchodząca właśnie do pokoju Lucinda. - Mamy dwie biblioteki i salę balową. Asher dopiero co dobudował nową salę do uprawiania szermierki we wschodnim skrzydle, które powstało trzy lata temu.

Emeralda pomyślała, że warto by zacząć poszukiwania od tego nowego skrzydła, chociaż amfilada salonów wi

doczna z pokoju, w którym się znajdowali, też wyglądała obiecująco. Dziś w nocy zacznie od tego miejsca, a potem będzie poszerzała pole poszukiwań zgodnie z przygotowanym wcześniej schematem, by żaden pokój nie został pominięty.

Dwie godziny później rozglądała się po przeznaczonej dla niej sypialni, której okna wychodziły na frontowy podjazd do domu. Miriam znajdowała się w sąsiednim pokoju i pod pretekstem bólu głowy położyła się do łóżka. Emerald miała nadzieję, że ciotka się nie przeziębila. A już nie daj Bóg, by rozchorowała się poważniej. Zbliżyła się do szerokich drzwi za suto marszczoną zasłoną z miękkiego materiału i odrygowała zasuwkę. Za drzwiami znajdował się obrosnięty bluszczem, zalany światłem słonecznym balkon. Wyszła na zewnątrz i zastygła w bezruchu. Wyraźnie dało się słyszeć przybój morskich fal rozbijających się na plaży. Gdy stanęła na palcach, w oddali, między dwoma zielonymi pagórkami, dostrzegła migoczącą w słońcu powierzchnię oceanu.

Ocean.

Jej ocean, ten błękitny i gorący, w którym skapane były Karaiby, i ten tutaj, zmieszany z szarą zielenią wód otaczających Fleetness Point.

Z dołu dobiegł ją hałas. Zza rogu domu wyjechał na grzbiecie olbrzymiego czarnego wierzchowca Asher Wellingham. Cofnęła się w głąb pokoju i obserwowała go, dopóki ciemna sylwetka nie stopiła się z jeszcze ciemniejszą linią drzew na horyzoncie.

Był człowiekiem, który najwyraźniej nie przystawał do ścisłych rygorów londyńskiego stylu życia, bardzo niebez-

piecznym, wręcz groźnym. Zmarszczyła brwi. Tak, to określenie nadzwyczaj pasowało do Ashera Wellinghama.

Był groźny.

Musi być bardzo, ale to bardzo ostrożna.

Do kolacji ubrał się na czarno i przyszedł z wilgotnym: włosami. Ich długość zastanawiała ją. Były za krótkie, *b*) je spleść w warkocz, i o wiele za długie jak na wymagania obowiązującej mody.

Gdy zasiedli do stołu, Emeraldą stwierdziła, że przeznaczono jej miejsce po lewej stronie Ashera. Miejsce pani domu u szczytu stołu zajmowała podczas nieobecności matki księcia jego siostra. Taris siedział na lewo od niej. Przy stole znajdowała się jeszcze pewna panie małżeńska oraz właściciele kilku majątków sąsiadujących z Falder. Miriam postanowiła nie opuszczać łóżka i poprosiła o przyniesienie posiłku do pokoju.

- Czy jest pani zadowolona ze swojego pokoju, lady Emma? - zapytała Lucy.

Podawano właśnie dymiące półmiski z mięsem - wołowinę, wieprzowinę i kurczaki. Emeraldą miała nadzieję, że nikt nie słyszał, jak zaburczało jej w żołądku na ten widok.

- Jest bardzo ładny, a z balkonu widać ocean.

Asher rzucił jej zaintrygowane spojrzenie, gdy wypowiedziała tę uwagę. Wyglądał na zmęczonego. Sporo pił. Emeraldą zauważyła znak, jaki dała Lucy stojącemu za nią lokajowi, aby przyniósł bratu karafkę z wodą, której ten zresztą nie tknął.

- Emma pochodzi z Jamajki - odezwał się.

- Byłem tam kiedyś, dawno temu. Czy zna pani rodzinę

de la Varis? - podchwycił sąsiad Carisbrooków, William Bennett.

- Raczej nie. Mój ojciec był inwalidą, więc żyliśmy w odosobnieniu. - Ponieważ kiedyś obawiała się, że zapłacze się w te wszystkie kłamstwa, postanowiła zapisywać je w pamiętniku, aby konsekwentnie trzymać się pierwotnej wersji. Spokojnie kontynuowała: - Ciotka i wuj mieszkali w bliskim sąsiedztwie i, naturalnie, miałam jeszcze kuzynę Liama.

- A co z pani matką?

- Och, była bardzo piękna. Na imię miała Evangeline. - Wymówiła nowo poznane imię matki z miłością. W oczach miała złotowłosą piękność stojącą u boku jej chorego ojca. Uśmiechnęła się. Zawsze zaludniała fantazję wymyślonymi postaciami, zwłaszcza kiedy matka wyjechała, a ojciec powrócił z inną kobietą i nalegał, żeby córka zwracała się do niej „mamo”.

Marzenia uratowały ich wszystkich. Sprawily, że byli prawdziwą rodziną. Nie musiała się dziś wysilać, żeby wymyślić piękną matkę, która jej nie opuściła.

- A zatem Liam jest mniej więcej w pani wieku? - dopytywała się Lucy. Była najbardziej dociekliwa ze wszystkich Carisbrooków.

- Nie, trochę starszy - odpowiedziała Emeralda nieco niepewnie, usiłując przypomnieć sobie dokładną liczbę dzieci, które przypisała nieistniejącemu kuzynowi. Czy będąc niewiele starszy od niej, mógłby być poczwórnym ojcem? Bo chyba o tylu potomkach Liama wspominała wcześniej.

- Czy on lubi czytać, lady Emmo? - nie ustępowała Lucy.

- Czytać? - Emeralda wyczuwała rosnące niebezpieczeństwo.

- Myślę, że moja siostra pyta o to w związku z księgozbiorem w salonie w domu pani ciotki.

- Tak, oczywiście. - Lucy z uśmiechem przytaknęła bratu.

- Nie podejrzewam, aby Miriam interesowała się arabską filozofią - dodał książkę.

- I myśli pan, że ja mogłabym się nią interesować? - zapytała z wymuszoną swobodą Emeraldą, choć po plecach przebiegł jej dreszcz niepewności. - Te książki należały do mojego ojca, Wasza Wysokość.

- Ach tak, naturalnie. Niepełnosprawnego uczonego?

Wyraźnie wyczuwała niewiarę księcia w jej wyjaśnieniu, dlatego z wielką ulgą powitała kolejną inicjatywę Lucindy:

- Bardzo bym chciała narysować pani portret, lady Emmo. Chyba mi pani nie odmówi?

Emeralda przyjrzała się jej zaniepokojona. Czy to żart? Zaczynała wkraczać na grząski grunt. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. A jeśli Lucy odnajdzie w jej rysach twarz Liama Kingstona?

- Czy jest tu wiele pani prac?

- Ta jest moja. - Lucy wskazała sporą akwarelę nad kominkiem, przedstawiającą zamek w Falder.

Emeralda wstrzymała oddech.

- Ma pani wielki talent. Sprzedaje pani swoje obrazy?

- Nie, ale kiedyś dałam jedną w prezencie Jackowi Henshawowi i jedną Saulowi Beauchampowi. To przyjaciele Ashera - wyjaśniła, widząc pytanie w oczach Emeraldy
- Nie zdobyłam się jeszcze na odwagę, aby zaprezentować!

moje prace szerszemu gronu, ale jeśli ma pani ochotę zobaczyć portrety, które wykonałam, z wielką przyjemnością je pani pokażę.

Portrety? Zapewne brata. Emeraldą miała ochotę drażnić ten temat jeszcze dłużej, ale pohamowała ciekawość, widząc irytację w oczach księcia.

Z dużą ulgą przyjęła więc moment, w którym służba zaczęła sprzątać talerze ze stołu i panie mogły przejść do salonu.

Taris siedział pod oknem z ręką na zimnej, twardej tafli szkła. Z miejsca, w którym stał, Asher widział niewyraźny zarys odbicia brata w szybie. Jak on widzi? Dzisiaj potknął się o stołek. Jeszcze rok temu byłby go dostrzegł.

- Lady Emma Seaton nie jest taka, za jaką pragnie uchodzić.

- Tak sądzisz? - Asher zeszywniał i czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Jest silniejsza, niż się wydaje. O wiele silniejsza. - Zamilkł na chwilę. - Opisz mi ją. Jak wygląda?

- Ma oczy koloru wody morskiej, niespotykane u kobiet krótkie włosy i nigdy nie zdejmuje rękawiczek.

- Dlaczego?

- Bóg jeden wie. Ja nie.

Taris uśmiechnął się.

- A twarz?

- Nic nie mogłeś zobaczyć?

- Mogłem usłyszeć, że jest piękna.

- Tak, jest piękna.

Nagły wybuch śmiechu Tarisa wprowadził Ashera w złość.

- A kiedy to ostatni raz zdarzyło ci się myśleć o kobiecie, że jest piękna?

Asher nie podjął tematu. Obrócił pierścionek z szafirem, który nosił na małym palcu lewej ręki, i skłął brata.

scandalous

Rozdział szósty

Emeralda włożyła czarne spodnie i czarny żakiet. W głębokiej kieszeni umieściła świecę, hubkę i krzesiwo. Było już po trzeciej nad ranem i od dobrej godziny nie dochodziły do jej uszu żadne odgłosy krzątania służby domowej.

Dobrze pamiętała rozkład pokoiów, w których była poprzedniego dnia, sprzyjającą okolicznością była też pełnia księżyca. Rozsunęła zasłony przy drzwiach balkonowych i wyszła na zewnątrz.

Noc.

Zawsze lubiła ciemności, nawet będąc dzieckiem. Wiejska cisza, panująca w Falder, była miłą odmianą po londyńskim zgiełku. Emeraldą zsunęła się po bluszczu z balkonu i pobiegła w kierunku biblioteki. Starła się stapać brzegiem trawnika, żeby nie pozostawiać na ścieżce śladów stóp. Zatrzymała się przed szerokimi drzwiami wiodącymi do wnętrza bezpośrednio z ogrodu. Włożyła wytrych do zamka i przekreśliła go. Mechanizm ustąpił. Drzwi stały otworem.

Trwało to minutę, nie dłużej.

Weszła do środka. Odczekała chwilę za aksamitnymi zasłonami, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności, po czym zapaliła świecę.

Otaczały ją półki wypełnione tysiącami oprawnych w skórę tomów, wydzielających ostre, piżmowy zapach. Podeszła do jednej z półek i przesunęła palcami po wytłoczonych w skórze tytułach stojących na niej książek: Milton, Szekspir, Webster, Donne i Johnson. Wielcy pisarze i wielkie idee. Zastanowiło ją, kto spośród Carisbrooków mógł czytać te książki, i doszła do wniosku, że chyba tylko Asher. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Uwagę Emeraldy zwróciła niska półka biegnąca wzdłuż jednej ze ścian. Były tam zwitki papierów wetknięte za drzwiczki szafek, w głębi znajdowała się niewielka wnęka, a w niej parasolki od deszczu i słońca, a także laski.

Serce waliło jej jak młot. Byłoby to takie łatwe? Wstrzymując oddech, przeglądała zgromadzone we wnęce przedmioty. Laska z kości słoniowej, inna z jakiegoś pachnącego drewna i trzecia, ręcznie wystrugana z jedwabistego kawałka brzozy. Laski jej ojca, tej, w której wnętrzu znajdowała się ukryta mapa, nie było. W dwóch kolejnych pokojach również.

Wiedziała, że kontynuowanie poszukiwań staje się ryzykowne. Słyszała już służbę kuchenną, zapewne niedługo w bibliotece pojawi się pokojówka, aby rozpalic ogień na kominku albo rozsunać zasłony. Nieoczekiwanie znalazła się w niewielkim salonie z rzędem okien na jednej ścianie i wówczas to zobaczyła.

Pierwsze nieśmiałe promienie słoneczne padały na wiszący na ścianie obraz. Portret księcia Carisbrooka i kobie-

ty. Melanie, księżnej Carisbrook, o czym świadczył podpis na ramie. Była piękna.

A więc to jej imię nosi statek, który czeka na wodowanie w Londynie. Żony Ashera. Rudowłosej piękności o oczach koloru nieba o północy. Emeraldą uważnie studiowała jej rysy.

Co się z nią stało? Gdzie jest teraz? Obraz był sygnowany datą sprzed dziesięciu lat, więc Melanie musiała być wówczas w obecnym wieku Emeraldy. Kto mógłby powiedzieć jej coś na ten temat? Może Lucinda. Oczywiście należało ją wypytywać bardzo ostrożnie. Dotknęła palcami grubej warstwy farby na brokatowej spódnicy i jeszcze raz przyjrzała się obrazowi. Asher Wellingham miał krótkie włosy i wyglądał młodo. Tak samo młodo jak żona, i sprawiał wrażenie zakochanego. Świadczył o tym i wyraz oczu, i gest ręki, którą przytrzymywał rękę księżnej Carisbrook, jakby nigdy nie chciał wypuścić jej z uścisku.

Na czwartym palcu lewej ręki, tym, który jest przeznaczony na obrączkę ślubną, Melanie Wellingham miała pierścionek z szafirem, ten sam, który Asher Wellingham nosił obecnie na najmniejszym palcu.

Dobiegł ją jakiś hałas z końca pokoju. Bezszelestnie opuściła salon.

Asher stał w drzwiach wiodących do małego salonu i widział, jak Emma Seaton gasi świecę i wymyka się przez otwarte okno ze zręcznością i wprawą wytrawnego włamywacza. Początkowo nawet myślał, że to jakiś złoczyńca, dopóki światło świecy nie uwydatniło jej szeroko rozstawionych kości policzkowych.

Co, do diabła, tu robiła? Wszedł do środka i stanął dokładnie w tym samym miejscu, w którym jeszcze przed

chwilą znajdowała się Emeraldą, przed obrazem wiszącym nad kominkiem. Serce zastygło w nim ze smutku.

Był to portret jego i Melanie, namalowany tuż po powrocie z podróży poślubnej do Szkocji. Boże. Od tamtej chwili upłynęło tyle lat, że teraz z trudnością rozpoznawał własną podobiznę. Przeklinając, odwrócił się od obrazu i podszedł do okna. Zdażył jeszcze ujrzeć czarnej cień na tle perłowego świtu, który znikł bez śladu za narożnikiem budynku. Gdyby nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłby.

Kim była?

Złodziejka? Czy jeszcze gorzej?

Nagle doznał olśnienia. W jaki sposób opisywała Lucinda Liama Kingstona? Wysoki, szczupły, mówiący z dziwnym akcentem.

Emma Seaton.

Do kroćset! Nie było żadnego Liama Kingstona. To ona. Przypomniał sobie, jak mocno zakłopotana była hrabina Haversham, gdy musiała potwierdzać opowieści Emmy o kuzynie. Teraz już rozumiał dlaczego.

Sytuacja rozbawiła go i już miał udać się do jej pokoju, by dokonać natychmiastowej konfrontacji, ale powstrzymała go jedna myśl.

Uratowała jego siostrę.

Rzykowała własne życie w obronie nieznajomej. Teraz rozumiał, skąd się wziął siniak na jej policzku i dlaczego była taka zmieszana. I ta mocno nieprawdopodobna historia, tłumacząca pochodzenie siniaka.

Ocaliła Lucinę od nieszczęścia i zrujnowanego życia, lecz niczego nie żądała w zamian.

Dlaczego?

Już on się dowie.

Jednak najpierw musi ustalić, czy lady Emma Seaton zagraża jego rodzinie. Zacznie od dzisiaj.

Książę Carisbrook wciąż jeszcze siedział przy stole, gdy Emeraldą późnym rankiem schodziła na śniadanie. Składając gazetę, poczekał, aż poprosi służącą o podanie kawy, po czym zaatakował:

- Mam nadzieję, że dobrze pani spała ostatniej nocy.

Zareagowała uśmiechem i sięgnęła po grzanekę.

- Rzeczywiście, Wasza Wysokość. To pewnie z powodu wiejskiego powietrza. - Ziewnęła szeroko.

- A łóżko jest wygodne?

- Bardzo.

- A w nocy nie zakłócały pani spokoju żadne hałasy?

Spojrzała z ukosa, chcąc wyczytać z jego twarzy, dokąd zmierzają te pytania.

- Nie, z całą pewnością nie. Mam dobry sen. Zасыpiam natychmiast, jak tylko przyłożę głowę do poduszki, i śpię bez przerwy aż do rana.

- Ma pani szczęście.

- Pan nie śpi dobrze?

- Nie.

Podniósł do ust filiżankę kawy i znad jej brzegu obserwował bacznie Emeraldę. Nie wytrzymała siły tego spojrzenia, odwróciła wzrok i zaczęła smarować grzanekę masłem. Niewątpliwie książę o coś ją podejrzewa, ale to wszystko. A dziś w nocy, wiedząc, że gospodarz cierpi na bezsenność, zachowa więcej ostrożności przy poszukiwaniach.

- Mam zamiar udać się na konny spacer po polach Falder. Miałyby pani ochotę mi towarzyszyć? Lucy ma zapa-

sowy strój do konnej jazdy, a znajdzie pani wszystko, co potrzebne w pokoju przy stajniach.

- Nie wiem. Już dawno nie siedziałam w siodle.

- Pojedziemy powoli, lady Emmo.

Emeralda zatrwożyła się. Pod pokrywką uprzejmości było w jego zachowaniu coś niepokojącego. Czuła, że jest to wściekłość trzymana na wodzy przez stalową siłę woli. Starła się utrzymać lekki ton rozmowy.

- Słyszałam od Lucindy, że pańska matka mieszka w Falder, ale jeszcze nie miałam okazji jej spotkać. Powiedziała mi też, że księżna wdowa nie cieszy się niestety dobrym zdrowiem.

Roześmiał się, pokazując białe zęby, kontrastujące z opalenizną twarzy.

- Tak jest istotnie. Lucinda zaskakuje mnie czasami wnikliwością swoich obserwacji, a także tym, że bardzo interesuje się innymi. Choćby pani kuzynem. - W oczach Ashera Wellinghama pojawił się nieodgadniony wyraz. - Tajemniczym Liamem Kingstonem. Według niej to człowiek honoru. Ktoś niezdolny do kłamstwa. To wielce pożądana cecha, nie sądzi pani?

- Bez wątpienia. - Miała nadzieję, że nie zauważył wahania w jej głosie.

- Bez wątpienia - powtórzył, sięgając srebrnym nożem po dżem.

Zauważyła, że prawie zawsze posługiwał się lewą ręką. Gdy pisał, palił, jadł. Tą ręką, która nie była okaleczona. Wróciła pamięcią do dnia, w którym weszli na pokład jego okrętu i przypomniała sobie, że wtedy był praworęczny. Z całą pewnością praworęczny. Doniosłość tego odkrycia wstrząsnęła nią. Kiedy zdarzył się ten wypadek? Boże, chy-

ba nie po tym, jak wypchnęła go za burtę? Niemożliwe, żeby właśnie wtedy.

- Moja rodzina jest dla mnie niezwykle ważna, lady Emmo. Do moich obowiązków, jako głowy rodziny, należy zapewnienie jej bezpieczeństwa.

- Rozumiem. - Jej serce biło ze zdwojoną szybkością.

- Cieszę się, że pani to rozumie.

Uśmiech towarzyszący jego słowom nie obejmował oczu.

- Dzień dobry.

Emeralda drgnęła. Pojawienie się Lucindy przyjęła jak wybawienie. Rozmowa z Asherem miała podtekst, którego nie rozumiała. Miała wrażenie, że książę jest na nią wściekły. Do głowy przysłała jej niepokojąca myśl. Czyżby widział ją ostatniej nocy? Co prawda słyszała jakiś hałas, gdy wychodziła z małego salonu przylegającego do biblioteki, ale była pewna, że gdyby ją wtedy zobaczył, nie siedziałyby już przy suto zastawionym stole. Ze wzrastającym zaniepokojeniem przyglądała się Lucy. Miała na sobie ciemnoniebieski strój do jazdy konnej i uśmiechała się beztrósco. Jakże to kontrastowało z jej nastrojem. Poczuli się zmęczona tą otwartością i niewinnością Lucindy.

To małostkowe i niegodne, pomyślała.

- Zjesz z nami śniadanie, Lucy? - zapytał Asher, podsuwając siostrze krzesło.

- Nie, już jadłam. Taris powiedział mi, że wybierasz się do wsi. Chętnie bym z tobą pojechała, bo chciałabym spędzić dzień z Rodneyem i Annabelle Gravesonami. Kiedy wyruszasz?

- Zaraz po śniadaniu.

Zimne spojrzenie, jakie rzucił Emeraldzie, pozwoliło jej

zrozumieć, że nie ma żadnego wyboru. Postanowiła nie sprzeciwiać się, wzruszyła tylko ramionami i zwróciła się do Lucy. Jeśli księżę Carisbrook zmierzał do konfrontacji, to lepiej, żeby doszło do tego poza Fałder.

- Pani brat wspomniał, że mogłaby pani użyczyć mi stroju do konnej jazdy.

- Oczywiście. Proszę pójść ze mną, to go znajdziemy. Mam coś w kolorze, który będzie pasował do pani włosów. Ciemnozielony. Czy nosi pani ten kolor? Zauważyłam, że woli pani pastele, ale prawdę powiedziawszy, sądzę, że może być pani lepiej w ciemniejszych odcieniach. Kolor pani włosów jest niezwykle. Ani blond, ani rudy. Jakie włosy miała pani matka?

Emeralda nawet nie próbowała odpowiadać na te wszystkie pytania. Wstała i podążyła za Lucy, zadowolona, że ma dobry pretekst, by opuścić księcia.

Godzinę później kierowali się do Thornfield. Po niepewnym początku Emeraldą przypomniła sobie dawne umiejętności i teraz naprawdę cieszyła się z poczucia wolności, jakie dawała jazda w siodle na końskim grzbiecie. Obok niej jechała Lucinda, która zabawiała ją opowiadaniem historyjek z dzieciństwa. Asher i Taris wysunęli się do przodu. Taris trzymał się nieco za plecami brata. Całą uwagę koncentrował na obserwowaniu ścieżki i uważnym wsłuchiwaniu się w dźwięk kopyt końskich. Lucy od czasu do czasu ostrzegała go przed jakąś pochyłością lub szczególnie głębokim rowem.

Asher nie interesował się bratem. Nie pomagał mu. Nie torował mu drogi. Ciekawe, co takiego robił Taris na Karabach, kiedy stracił wzrok.

Thornfield było piękne. Wioska rozłożyła się nad brzegiem morza. Na głównej ulicy stał rząd sklepów, a głębokowodny port, w którym stał przycumowany statek, otaczały solidne, murowane zabudowania.

Asher zeskoczył z konia i pomógł zsiąść siostrze. Emeraldalda zdążyła już przywiązać wodze swojego konia do służącego do tego celu palika i z zainteresowaniem przyglądała się statkowi.

- To pana?

- Nasz - sprostował. - Nazywa się „Nautilus”. Został zbudowany dla Wschodnich Linii. Pod koniec miesiąca wypłynie do Indii po ładunek jedwabiu, który mamy do odebrania w Kalkucie.

- Jest piękny. Jaka ma ładowność? - Ugryzła się w język, ale było już za późno. Brnęła więc dalej: - Liam zawsze interesował się statkami, i tak się jakoś stało, że część jego wiedzy spłynęła na mnie.

Zawróciła z drogi na nabrzeże i skierowała kroki do gospody, szczęśliwa, że szerokie rondo kapelusza ukryło tęskne spojrzenie, którym pieściła statek.

Żeby tak znowu móc postawić nogę na pokładzie i sunąć z wiatrem po otwartym morzu, czuć zapach soli, drzeć z podniecenia w oczekiwaniu przygody. Wspiąć się na olinowanie osiemdziesięciostopowego masztu i trwać w zawieszeniu nad błękitnym, niekończącym się horyzontem.

Z zamyślenia wyrwał ją głos mężczyzny, który biegł im naprzeciw.

- Miałem nadzieję, że zobaczę dziś Waszą Wysokość - rzekł, gdy już był całkiem blisko. - Ostatniej nocy było włamanie do „Nautilusa”, lecz, na ile zdążyłem się

zorientować, nic nie zginęło. Zamek u drzwi do główne kabiny został wyłamany, porozrzucano trochę papierów to wszystko.

- Czy ktoś coś zauważył?

- Nie, nic. Davies słyszał jakieś hałasy po północy, ale myślał, że to ja sprawdzam liny.

- No tak... Wyznacz podwójną wachtę na dzisiejszą noc - rozkazał Asher - i niech Silas sprowadzi z powrotem na pokład psa.

Emeralda znieruchomiała, czując na sobie wzrok księcia. Miała poczucie winy. Czyżby Azziz i Toro zdążyli już przeszukać statek? Było to bardzo możliwe. Postanowiła nawiązać z nimi łączność dzisiejszej nocy i powiadomić o nowych rozkazach Ashera Wellinghama dotyczących bezpieczeństwa żaglowca. Myśli te przerwało pojawienie się pięknie ubranej kobiety. Była po czterdziestce. Razem z nią szedł wpatrzony w Lucindę chłopiec.

- Nie miałam pojęcia, że przyjechałeś, Asherze.

Kobieta uśmiechała się przyjaźnie w oczekiwaniu na prezentację.

- Panie pozwolą, że je przedstawię: lady Emma Seaton lady Annabelle Graveson i jej syn, Rodney. Lady Emma przyjechała niedawno do Londynu do ciotki, hrabiny Haversham.

- Miriam Haversham? - Annabelle skupiła wzrok na medalionie wiszącym na szyi Emmy. Była bardzo blada ale teraz zbladła jeszcze bardziej. - Miriam Haversham jest pani ciotką? - Zaczęła nerwowo szarpać koronkę przy kołnierzyku sukni, przewróciła oczami i osunęła się w ramiona Ashera Wellinghama.

Ten to ma szczęście, pomyślała Emma.

Jakie to męczące znajdować się ciągle w otoczeniu omdlewających kobiet. Jednak omdlenie Annabelle wyglądało zupełnie inaczej niż to, które odegrała Emeralda na balu u Jacka Henshawa. Nie ulegało wątpliwości, że Annabelle Graveson była naprawdę chora. Jej twarz przybrała szarzieloną barwę, a czoło zrosił pot.

Mimo to Asher Wellingham wcale nie był zaniepokojony. Uniósł bez wysiłku nieprzytomną lady Annabelle i ruszył do gospody, gdzie czekało na nią miejsce na miękko wyściełanej ławce.

- Przynieście wodę i zajmijcie się nami - polecił właścicielowi gospody, który, nie tracąc czasu, zabrał się do spełnienia rozkazu księcia.

Rodney stał w nogach zaimprovizowanego posłania matki.

- Rano mówiła, że źle się czuje, ale nie wiedziałem, że aż tak źle.

Emeralda zauważyła, że Lucy opiekuńczym gestem położyła mu dłoń na ramieniu, by go pocieszyć.

Aż tak źle? Omal nie wybuchnęła śmiechem.

Tej kobiecie prawdopodobnie zrobiło się za gorąco albo miała za ciasno zasnurowany gorset na wąskiej jak osa tali. Zresztą już dochodziła do siebie. Myśli Emeraldy powędrowały w przeszłość. Przypomniała sobie, jak po bitwie na pokładzie „Mariposa” marynarze oparli o nadburcia statku w milczeniu opatrywali złamane kości. Lub gorzej.

Jednak to była Anglia, uzmysłowiła sobie, gdzie omdlenia należały do rytuału, a raczej do zestawu środków, którymi posługiwały się słabe kobiety.

Tymczasem Annabelle usiadła i otarła pot z czoła delikatną chusteczką, którą wyciągnęła zza rękawa sukni.

- O mój Boże - powtarzała, bezradnie rozglądając się wokół siebie. - Mówiłam rano Rodneyowi, że nie czuję się na tyle dobrze, aby wybrać się na przechadzkę do wsi. To chyba z powodu żołądka. Mam od jakiegoś czasu z tym kłopoty, na dodatek wczoraj kucharka ugotowała zupę, która, jak podejrzewam, musiała być zrobiona na nieświeżym mięsie lub zawierała niedogotowane grzyby. Rodney, jesteś tu?

- Jestem, mammo.

Nie ruszył się z miejsca.

Emeralda zauważyła, że zarówno Annabelle Graveson, jak i jej syn przypatrują się jej uważnie. Oboje mieli jednokowe niebieskie oczy.

Asher, jak zwykle, zajął się wszystkim. Zamówił jedzenie i wino, zadbał też o to, aby Taris zorientował się, że jego porcja stoi już przed nim.

Po chwili Emma spostrzegła, że wywołała zainteresowanie grupy mężczyzn, którzy siedzieli w drugim końcu gospody, jednak szybko przestali na nią spoglądać, bo zniechęciło ich gniewne spojrzenie księcia Carisbrooka.

Rozbawiło ją to. Jak łatwo byłoby wcielić się w rolę wyimagującej ochrony, słabej kobiety.

Jakie byłoby to proste!

Lucinda, Annabelle.... Pozwoliły mu objąć komendę i nawet nie zauważyły, z czego rezygnują.

- Czy na długo przyjechała pani do Falder, lady Emmo?
- zapytał Rodney Graveson.

- Na tydzień. Moja ciotka, hrabina Haversham, przyjechała ze mną, ale zaziębiła się i leży w łóżku. Przypuszczam, że ją znasz. Twoja matka zna ją na pewno.

- Mama rzadko obecnie opuszcza Thornfield, ale słysza-

łem, jak o niej mówiła. - Zaczerwienił się po korzonki jasnych włosów, ale nie odwrócił spojrzenia.

Spodobało jej się to. Przed laty ona także była chorobliwie nieśmiała. Rodney Graveson najpewniej był pokrewną duszą i desperacko łaknął przyjaźni. Zauważyła, że Annabelle obserwuje ją.

- O czym rozmawiasz z lady Emmą, Rodneyu? - Mówiła wysokim głosem. Jej policzki niemal odzyskały już normalną barwę.

- Pytał mnie, jak długo mam zamiar tu pozostać, lady Annabelle.

- Aha. I jak brzmi pani odpowiedź?

- Siedem dni.

- A zatem w przyszłą sobotę będzie pani mogła przyjechać do nas, do Longacres, na kolację. Asher panią przywiezie. Na szóstą, jeśli ta pora wam odpowiada.

Nie zaprosiła ani Lucindy, ani Tarisa, co Emeraldzie wydało się dziwne, no i nieuprzejme. Książę Carisbrook skwitował słowa Annabelle tak niedbałym skinieniem głowy, że Emeraldą wzięła, czy ma zamiar skorzystać z zaproszenia. Uścisk ręki Rodneya pod stołem wzruszył ją jednak do tego stopnia, że postanowiła pojechać, o ile to będzie możliwe.

Dwie godziny później Emeraldą i Asher pożegnali towarzystwo i ruszyli w drogę powrotną do Falder. Ona na grzbiecie Herkulesa, on na swym olbrzymim czarnym ogierze. Lucy została w Thornfield z Gravesonami, a Tarys postanowił rozegrać partię szachów ze spotkanym w gospodzie przyjacielem.

Pomyślała, że wszystko to mogło być wcześniej ukartowane, gdyż książę podejrzenie o chęć zaakceptował ta-

ki plan i wyruszył, jak tylko nadarzyła się pierwsza sposobność. Zastanawiała się, czy to wypada, żeby pojechała z nim sam na sam, ale odrzuciła wszelkie wątpliwości, gdyż dla niej było to bez znaczenia. Nie musiała dbać o reputację, przecież wkrótce, jak tylko znajdzie laskę, i tak opuści Anglię.

Przed nimi rozciągało się morze. Dotknęła językiem soli na wargach. Piasek w tej części plaży nie był drobny i biały, lecz gruby i szary, gdzieniegdzie leżały ławice kamieni. Piękny, odsunięty od światła brzeg morza. Serce Emeraldy przepełniła radość. Gdyby to był mój dom, nigdy bym stąd nie wyjechała, pomyślała.

Inaczej niż podczas śniadania Asher Wellingham zachowywał się spokojnie, nie atakował. Nie zabawiał jej też rozmową, nie objaśniał, gdzie są i jak nazywają się plaże, skały, pola.

To jego ziemia, pomyślała.

Nie ujawniał jednak swej miłości do Falder.

- Jak nazywa się ten półwysep widoczny w oddali? - zagadnęła, wskazując na oświetlony promieniami słońca długi pas łądu po ich lewej stronie.

- To Palec Eddingtona - odpowiedział książę. - Tę zatokę zaś mój prapradziad nazywał Zatoką Powrotu do Domu. To ostatni skrawek Falder widoczny ze statku wypływającego na pełne morze i zarazem pierwszy, który widzi się podczas powrotu. Prapradziad był marynarzem i kochał przygody. Nigdy długo nie usiedział w domu, zawsze ciągnęło go w daleki świat.

Zatrzymali się. Asher zsiadł z konia. Emeraldzie podobała się inwencja przodka księcia w nadawaniu nazw miejscom.

- Jak miał na imię? Prapradziad Waszej Wysokości?

- dodała, widząc zdziwione spojrzenie Ashera Wellinghama.

- Ashland. Mój ojciec zaś Ashborne, a jego ojciec Ashton. Wszystkie te imiona pochodzą od pierwotnego nazwiska naszej rodziny Ashalan. To taka tradycja.

- Tradycja - powtórzyła jak echo.

Na jej twarzy pojawił się tęskny wyraz. Była pewna, że musiał to zauważyć, dlatego zdziwiła się, widząc jego uśmiech.

Ten uśmiech sprawił, że wyglądał młodziej, prawie tak młodo jak na statku na wodach wokół wysp Turks, z wiatrem rozwiewającym włosy. Tak młodo jak na portrecie, który widziała w małym salonie, z ukochaną kobietą u boku.

Rozmarzyła się i na chwilę zapomniała o ostrożności. Serce jej waliło. Książę robił na niej wielkie wrażenie. Na niej, która całe swe życie spędziła wśród mężczyzn. Przy stojnych i niebezpiecznych, lecz żaden z nich mu nie dorównywał. Tylko jego aksamitne oczy i kruczoczarne włosy prześladowały ją w snach przez pięć długich lat. Tylko on mógł poszczycić się tyloma generacjami przodków żyjących niegdyś w rodowym gnieździe, które nie ustępowało wspaniałością królewskim siedzibom.

Odpowiedzialność i osadzenie w jednym miejscu.

Połączenie to przemawiało do niej jeszcze silniej, gdy patrzyła na oblana słońcem twarz księcia na tle krajobrazu rodzinnej ziemi, kryjącej korzenie, z których wyrastały kolejne pokolenia szlachetnego rodu.

Jej życie było natomiast zaprzeczeniem wszelkiej stałości. Jak to jest mieć dzieci, które biegają po tych samych polach, po których będą biegały ich dzieci i dzieci ich dzieci?

Tak, tradycja jest niewątpliwie czymś pięknym, zwłaszcza jeśli nigdy jej się nie miało.

Milczenie przedłużało się nieznośnie. Zsiadając przy pomocy Ashera z konia, *wciąż* trwała w niemym zachwycie. Czy on też to czuł? Jakże mógłby tego nie czuć? Nie mogła się nadziwić własnym myślom, a jeszcze bardziej tak intensywnemu oczekiwaniu na dotyk księcia. Cierpliwie czekała, aż uwiąże konie do gałęzi drzewa.

Zaskoczył ją od razu pierwszym pytaniem.

- Co pani robiła ostatniej nocy w błękitnym salonie, lady Emmo?

- Ostatniej nocy? - Miała nadzieję, że wahanie w jej głosie zostanie odczytane raczej jako skutek wyrwania jej z zadumy niż panicznego strachu, który ją opanował.

- Ostatniej nocy, gdy myszkowała pani po moim domu przebrana za kogoś podejrzanie podobnego do opisywanego przez moją siostrę osobnika nazwiskiem Liam Kingston.

- Książę był nadzwyczaj spokojny.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Mając za plecami nadmorski klif, nie miała odwrotu. Musi konsekwentnie zaprzeczać.

Wellingham zmienił kierunek ataku. Nieufność biła z twardych rysów jego twarzy.

- Czego pani ode mnie chce?

- Od pana? Niczego, Wasza Wysokość. Mogę bardzo prosto wytłumaczyć, co robiłam ostatniej nocy. Po śmierci ojca dzieje się ze mną coś dziwnego. Chodzi o noc. Mam koszmary senne, budzę się niespodzianie, zdarza się też, że chodzę po domu w środku nocy.

- Zapomniała pani dodać, że w takich chwilach prze- \ biera się pani za mężczyzną. Tylko że akurat jeśli cho-!

dzi o panią, to ja nie wierzę w podobną przypadłość.
 - Chwycił ją za nadgarstek. Znowu musiała się mieć na baczności, co niestety stawało się regułą w jego towarzystwie. - Czy jest pani złodziejką? - zapytał spokojnym głosem, od niechcienia przesuując kciukiem po delikatnej skórze Emeraldy.

- Nie! - Czuła jego ciepły oddech na swej szyi, co wprost ją paraliżowało.

- A zatem szpiegiem? Kto panią przysłał do Falder?
 - Zacisnął mocniej palce na jej nadgarstku, ale nie sprawiał jej bólu, panował nad sobą. Wiedziała, że musi czuć jej bijący puls.

- Nikt, milordzie. - Zaprzeczenie nie tak łatwo przeszło jej przez usta.

- Nie wierzę, ale jeśli ma pani jakieś kłopoty, to mogę pani pomóc.

Była to ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewała. Ledwie ją znał, a proponował pomoc. Poczucie odpowiedzialności? Wrażliwość na prośbę kolejnego suplikanta? Dodatkowy obowiązek na długiej liście dotychczasowych obowiązków? Duma nakazała jej pokręcić przecząco głową. W jego oczach dostrzegła błysk ulgi.

- Jest pani naszym gościem w Falder. Moja siostra byłaby rozczarowana, gdybym kazał się pani pakować przed zaplanowaną datą wyjazdu. Jeśli pani chodzi we śnie, lady Emmo, proszę uważać, gdyż następnym razem nie będę taki wyrozumiały. Czy wyrażam się jasno?

- Wystarczająco jasno.

- Cieszę się.

Znowu wędrował kciukiem po niebieskich żyłkach na jej nadgarstku. Emeraldzie zrobiło się gorąco. Spojrzała

w jego oczy i dostrzegła w nich kalkulację. Opanowało ją z wątpienie.

Czy te pieszczoty to tylko środek do celu? Czy świadomie przeplata groźby z obietnicami? Podziw z gniewem? Taka przebiegłość byłaby całkiem na miejscu na pokładzie „Mariposa”, za jej pomocą książkę osiągał bowiem zamierzony cel.

Bez najmniejszego wysiłku. Była nieodrodną córką swojego ojca, doceniała więc taki kunszt.

Podał jej wodze. Podprowadziła Herkulesa blisko wody. Powietrze było przesycone opalizującym słonym pyłem. Ta zatoka jest dzika i zimna. Nie do takich morskich wybrzeży była przyzwyczajona. Zadrżała, schylając się po muszlę. Gdy podniosła ją do ucha, usłyszała szmer, taki sam jak szmer muszli zbieranych na jej rodzinnym brzegu..

Na krótką chwilę straciła rozeznanie, gdzie jest. Poczowała się zagubiona, rzucona na pastwę stojącego obok niej człowieka, którego twarz była wilgotna od rozpryskującego się na niej pyłu wodnego. Gdyby miała więcej odwagi, pochyliłaby się do przodu i dotknęła tej twarzy, wyczułaby palcami zarys policzków i może zrozumiałaby to, czego teraz tylko się domyślała. Lecz nie była aż tak odważna. Nie teraz, nie tutaj. Złe miejsce, nie ta chwila.

Wiatr szarpał szerokie rondo jej kapelusza i obszerną spódnicę sukni do jazdy konnej. Nie nawykła do tak su tego stroju.

Nie rób tego. Nie rób. Nie rób.

Powtarzała to sobie w kółko, starając się nadać jakiś sens swoim poczynaniom. Próbowwała się cofnąć, by znaleźć się poza zasięgiem Ashera, poza niebezpieczeństwem, poza

pokusą. Gdy jednak poczuła jego palec na wrażliwej skórze dolnej wargi, zamknęła oczy i poddała się.

Teraz i tutaj.

Dobre miejsce, dobry czas.

Tylko ten jeden jedyny raz.

Tylko na ten krótki moment, w którym pocałowała delikatnie spoczywający na jej ustach palec.

- O Boże, co pan ze mną robi.

Oczy Ashera pociemniały, pochylił się, objął wargami jej usta. Jego niecierpliwość zdumiała ją. Świat przestał istnieć dla obojga. Byli tylko oni. Niżej przepływały strumyki wody, za ich plecami zieleniały łagodne angielskie pagórki, rozpływające się na linii horyzontu w szarości popołudnia. Ich ciała zwały się na całej długości i stanowiły idealną jedność.

Nic się nie liczyło.

Ani dziś, ani wczoraj, ani niepewne jutro.

Liczył się tylko on i ciepło jego skóry wystawionej na chłód deszczu i palącą gwałtowność pożądania, która ją pochłaniała. Nie zauważyła, jak zrzucił jej z głowy kapelusz i wsunął palce w pierścionki potarganych włosów. Wiedziała tylko jedno: że pragnie, że pożąda.

Pragnie męskiego dotyku. Jej kobiece ciało tego pragnie. Chce, aby niekończące się sny zmieniły się w rzeczywistość.

Więcej, więcej.

Wszystko, miała ochotę wyszeptać, wszystko...

Kiedy odsunął się od niej, chciała go przytrzymać i całować tak, jak on całował ją, ale nie dopuścił do tego, tylko przyciągnął ją do siebie, więc trwała z głową pod jego brodą, ściśle wpasowana w zagłębienia jego ciała.

- Emmo - wyszeptał.

Tylko tyle, nic więcej.

Gwałtowne bicie jego serca mówiło jej, że jest tak samo poruszony jak ona. Nie wszystko więc stało się za jej przyczyną, nie wszystkiemu jest winna ona. Mimo to nie śmiała spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam. To nie powinno się zdarzyć - powiedział schrypniętym głosem. - Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Nie powinienem... - zamilkł.

W powietrzu unosił się przenikliwy krzyk mewy.

Jest mu przykro? Skurczyła się w sobie. Przepraszam. Wszyscy mężczyźni, jakich znała, wzięliby to, co mu ofiarowała, i nie oglądaliby się na konsekwencje. Wszyscy, tylko nie Asher Wellingham. Nie on. Czowała się winna, ale nade wszystko zakłopotana.

Boże, co teraz? Uchwyt jego ręki zelżał, cofnęła się więc o krok, wzięła do ręki uzdę konia, niezadowolona, że musi skorzystać z pomocy księcia, by wsiąść na siodło, a zarazem zadowolona, że nie odzywał się do niej, gdy podawał jej kapelusz. Nie tłumaczył się już więcej. Nie usiłował nawet jechać tuż przy niej, gdy galopowali wzdłuż plaży, a potem w górę doliny, która wiodła do zamku w Falder.

W swoim pokoju oparła głowę o framugę drzwi, starając się wyrównać oddech po szalonym galopie. Gdy się to udało, otworzyła drzwi łączące jej pokój z pokojem Miriam. Ciotka siedziała w fotelu pod oknem i czytała książkę.

- Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Emeralda uśmiechnęła się z przymusem. Na pewno nie był to żaden duch. Wciąż czuła na ustach palące pocałunki Ashera.

Napełniła szklanke wodą, obserwując, jak ścieka po ściankach, po czym wypła zawartość jednym haustem.

- Już ci lepiej, ciociu?

- Będzie mi jeszcze lepiej, jak wreszcie znajdziesz tę laskę, Emeraldó.

Ostatnim słowom towarzyszył nagły atak kaszlu, co niepomiarne zmartwiło Emmę. Po dzisiejszym incydencie nie miała pewności, czy księżę Carisbrook będzie sobie życzył, aby pozostała do końca tygodnia, a tu jeszcze ta choroba ciotki.

Czy może być gorzej? Potrząsnęła głową, usiłując skoncentrować uwagę na tym, co mówiła Miriam.

- Carisbrook we wschodnim skrzydle ma pokój, w którym trzyma mapy. Zauważyłam to, kiedy wybrałam się dzisiaj na spacer do ogrodu różanego. Może już znalazł naszą mapę i tam ją przechowuje.

- Mówisz, że w pobliżu ogrodu różanego?

- Tak, przy mauzoleum rodziny Wellinghamów. Lokaj, który mi towarzyszył, powiedział, że ogród został założony dla uczczenia pamięci księżnej Carisbrook.

-Melanie Wellingham nie żyje i została pochowana w Falder?

- Nie wiedziałaś o tym? Tam jest też grób jej syna.

-Syna?

- Urodził się o czasie, lecz niestety martwy. Stało się to trzy lata przed jej śmiercią.

Śmierć i żałoba.

Rewelacje Miriam zmieniły wszystko. Księżę Carisbrook kochał żonę. I nadal ją kocha. Pierścień z szafirem na palcu, portret w bibliotece, ogród różany i niechęć Ashera Wellinghama do ponownego wstąpienia w zwią-

zek małżeński. Nagle wszystko ułożyło się w całość, nabrało sensu.

Była tylko króciutką boczną ścieżką na jego drodze życia. Nic dla niego nie znaczyła. Był księciem, którego włości rozciągały się na setki mil w każdym kierunku, a należące do niego statki przemierzały cały świat.

On nie jest dla niej.

Nigdy nie będzie dla niej.

Sięgnęła do kieszeni po muszlę, którą znalazła na plaży. Żeby tak znaleźć wreszcie tę mapę i wrócić do domu!

scandalous

Rozdział siódmy

Był pijany.

Wiedział o tym. Trudno mu było skupić wzrok na portrecie Melanie, przed którym siedział. Obraz to zbliżał się, to oddalał od niego. Nienawidził go. Nienawidził za związane z nim wspomnienia. Za to, że nie pozwalał mu zapomnieć o tym, co stracił.

Nie powinien był całować Emmy Seaton. Nie w takich okolicznościach. Och, gorąco jej pragnął, ale przecież doskonale wiedział, że jest w niej jakiś fałsz. Nie była osobą, za którą się podawała. Była oszustką, być może nawet złodziejką. Stanowiła zagrożenie dla jego rodziny. Dla niego również. Dla świata, który zbudował wokół siebie po powrocie do domu. Dla tej niewielkiej oazy spokoju w otaczającym i jego, i jego rodzinę chaosie. Powinien natychmiast wyrzucić stąd Emmę, dopóki jeszcze potrafi myśleć rozsądnie, dopóki nie zwiódą go na manowce jej turkusowe oczy, niebezpieczne jak śpiew syren, sprowadzających nieszczęście na nieostrożnych żeglarzy.

A jednak nie mógł. Po prostu nie potrafił. Siedział z głową opartą o ścianę i próbował dociec, dlaczego nie

potrafi się na to zdobyć. Na pewno nie powstrzymała go wyczuwalna w niej gotowość do poddania się jego pieszczotom i żądza, która go nagle ogarnęła, gdy dotknął ustami jej ust. Chodziło o coś zupełnie innego. O to coś, co nieoczekiwanie nawiedziło go, gdy trzymał ją w ramionach tam, na plaży. Było to poczucie bliskości, bezpieczeństwa i przynależności, które sprawiło, że ulotnił się przenikający go do szpiku kości chłód i wszystko zaczynało być możliwe.

- Spodziewałem się, że cię tu znajdę. I to pijanego.

Przygana w głosie Tarisa znakomicie korespondowała z jego własnymi myślami. Zamknął oczy. Whisky sprawiła, że pękła w nim jakaś tama. Wreszcie zdoła otworzyć się przed bratem.

- Dzisiaj, przy Emmie Seaton... zapomniałem o Melanie. Na krótką chwilę... zapomniałem o niej. - Raczej wyczuł, niż dostrzegł wrażenie, jakie słowa te wywarły na Tarisie, ale wyznanie to przyniosło mu dziwną ulgę. To, co wypowiedziane na głos, traciło swoją destrukcyjną moc. Stawało się faktem, który należy rozważyć, ocenić. Asher bardzo potrzebował rozgrzeszenia.

- Jest piękną kobietą, a Melanie nie żyje od trzech lat. Dlaczego nie miałbyś jej podziwiać?

- Bo ona kłamie. Poprzedniej nocy była tu, w tym pokoju, i to przebrana za mężczyznę. Myślę, że ona i Liam Kingston to jedna osoba.

- Liam? Rycerz na białym koniu, który uratował Lucinę? Ten, który powalił Stephena Eatona? To nasza lady Emma?

- Tak, to nasza lady Emma... Dziwna, niepojęta kobieta. Inna od tych wszystkich panien na wydaniu i dam. Inaczej

myśli, inaczej mówi, kryje jakieś tajemnice. - Zadumał się na chwilę, a potem dodał: - Wyobraź sobie, że ma tatuaż na prawej piersi.

- Tatuaż? - zainteresował się Taris.

- Tak, mały niebieski motylek

- Niepojęte. Dama z tatuażem. - Rewelacja ta wywołała wybuch śmiechu Tarisa.

- Chcę, aby została w Falder. Chciałbym ją chronić... - Powiedział z powagą Asher. Taris już się nie śmiał. - Ktoś jej zagraża.

— Bracie, to wygląda na poważną sprawę. Ktoś zagraża lady Emmie, powiadasz? Wiesz coś bliżej? Domyślasz się czegoś?

Asher wstał i potknął się o niski stołek. Gdyby nie ściana, byłby runął jak długi. Oparł się o ścianę.

- Nie, niczego się nie domyślam. Ale wiem jedno - ona się boi. Widzę to w jej oczach... czasami... a właściwie często. .. i słyszę w jej głosie.

W sąsiednim pokoju odezwał się zegar. Asher policzył jego uderzenia. Trzecia. Jeszcze tylko dwie godziny do świtu i będzie mógł zasnąć. Dzisiaj wyczerpał już cały repertuar środków zapobiegających zamknięciu oczu i pogrążeniu się w drzemce.

Nie wolno mu zasnąć.

Aż do świtu, gdy głosy demonów ucichną, a pamięć przestanie podsuwać przerażające obrazy.

Nieporadnie zsunął się po ścianie i usiadł z podkurczonymi w obronnej pozie nogami. Wyciągnął przed siebie swą okaleczoną rękę i zaczął się jej przyglądać, jakby ujrzał ją po raz pierwszy.

- Czasami czuję te palce... tak jakbym je miał... czuję

dotykane nimi przedmioty. Wyobrażałem sobie, że przeniosły się tam, gdzie jest teraz Melanie, drobna część mojego ciała, która czeka, aż reszta za nią podąży... ale teraz... nie chcę za nimi podążać. - Odchylił głowę i powędrował oczami ku nieosłoniętemu zasłonami oknu, za którym widać było tylko nieprzeniknioną ciemność nocy. Zaczynał mu się plątać język. Nienawidził tego stanu.

- Melanie na pewno chciałyby, abyś był znowu szczęśliwy. Żebyś mógł się znowu śmiać i odczuwać radość jak dawniej.

- Myślisz? Pamiętam, jak kiedyś w Szkocji omal nie wpadła do rwącej rzeki. Uratowałem ją. Powiedziała, że gdyby coś mi się stało, nigdy nie przestałaby mnie opłakiwać. Tak długo... zawsze.

Taris nie odzywał się. Asher zauważył, że zdjął okulary i schował je do kieszeni. Był teraz zdany tylko na wyobraźnię. Tylko tyle pozostało jego bratu. Czasami nienawidził Beau Sandforda tak mocno, że aż go to samego przerażało. Za głębokie blizny, jakie miał na plecach. Za ślepotę Tarisa. Ten pirat prześladował go nawet po śmierci.

- Idź spać, Tarisie. Ja jeszcze posiedzę.

- Mogę posiedzieć z tobą.

- Nie trzeba.

Był szczęśliwy, że brat zostawił go samego z prześladowającymi go demonami.

Emeralda wracała do Falder po porannym spacerze. Wchodząc na frontowe schody, zauważyła światło palące się w małym salonie przylegającym do biblioteki. Jeśli Asher Wellingham już nie śpi, to nadarza się okazja, aby z nim porozmawiać o wczorajszym dniu, pomyślała. Nie powin-

na była go całować, nie powinna być z nim sam na sam. Nie mogła uwierzyć, że do tego dopuściła. Ona, zawsze taka przezorna w kontaktach z mężczyznami... No cóż, był jeszcze czas, by to zatrzymać, zanim zrobi coś, czego będzie żałować. To właśnie miała zamiar mu powiedzieć.

Otworzyła drzwi w tej samej chwili, gdy książę Carisbrook osunął się na podłogę. Obok niego leżała pusta butelka po whisky. Taris, który po jakimś czasie wrócił, by czuwać nad znękanym bratem, spał w fotelu niczym znużony strażnik na posterunku.

Spojrzała ponownie na Ashera. Była pod wrażeniem intensywności jego spojrzenia. Nie zrobił najmniejszego wysiłku, żeby się podnieść. Z przekrzywionym krawatem i dobowym zarostem na twarzy wyglądał jak ciemny, upadły anioł.

- Przepraszam - wyjąkała. - Zobaczyłam światło i pomyślałam, że nadarza się okazja, aby z panem porozmawiać. O wczorajszym dniu.

- Może przy innej okazji, lady Emmo - odpowiedział słabym głosem.

Z ulgą stwierdziła, że pobrzmiwa w nim nuta humoru.

- Dobrze się pan czuje?

Nie mogła tak po postu wyjść. Skierował oczy ku oknu, przez które wpadały promienie porannego słońca.

- Teraz już dobrze. - Podniósł się.

Ponieważ się zachwiał, odruchowo chciała mu pomóc, ale nie pozwolił na to. Złapał się za głowę, jakby się bał, że mu za chwilę pęknie. Widziała w swoim życiu wiele przypadków kaca. Wedle jej fachowej oceny ten był bardzo poważny.

- Nie spał pan całą noc?

Pokiwał głową, mrużąc oczy przed słonecznym światłem padającym z okna.

Nagle zrozumiała, że księżę nigdy nie śpi. Przypomniała sobie wszystkie przypadki, gdy spotykała go nad ranem na nogach kompletnie ubranego.

Po balu. Pierwszej nocy, gdy przeszukiwała Falder. Dziś. Za każdym razem z kieliszkiem w rękach i błędnym wzrokiem.

- Mój ojciec miał doskonały środek na przepicie.

Mocne postanowienie, z którym tu przyszła, żeby pomówić z nim o pewnych sprawach, ulotniło się, gdy zobaczyła, jak Asher Wellingham jest rozbity. Przyjął jej słowa z niedowierzaniem.

- Widzę, że to człowiek obdarzony licznymi talentami - stwierdził zgryźliwie.

Podszedł do śpiącego w fotelu brata i okrył go kocem, który zsunął się na podłogę. Taris nie poruszył się, nadal pogrążony w głębokim śnie.

O czym oni rozmawiali w środku nocy, zastanawiała się Emerald. Dlaczego nie położyli się do łóżek? Wspominali? Wymieniali jakieś sekrety? Rozmawiali o niej?

- Mogłaby pani przygotować mi ten środek?

.- Tak, oczywiście. Potrzebuję ziół, cukru i mleka.

- Znajdziemy to wszystko w kuchni. Chodźmy.

Otworzył drzwi i przepuścił ją przed sobą tak ostrożnie, żeby jej broń Boże nie dotknąć, choć, jak zauważyła, miał wielkie trudności z zachowaniem równowagi.

Kuchnia była ogromna i wyjątkowo dobrze urządzona. Kilkanaście osób obojga płci i w różnym wieku obierało jarzyny, myło, siekało, kroїło i gotowało. W powietrzu unosiła się woń wspaniałych dań już teraz przygotowywanych na

lunch. Z gromady pracujących wyszła im naprzeciw kobieta. Zbliżając się, wycierała ręce w fartuch kuchenny.

- Wasza Wysokość? - Była mocno zdziwiona. - Mam nadzieję, że nie ma pan żadnych zastrzeżeń do jedzenia...

- Nie mam, pani Tonner. Lady Emma potrzebuje paru składników, aby przygotować mi pewien napój. - Oczywiście nie wyjaśnił, jaki to ma być napój.

- Napój? - kucharka nie kryła rozbawienia. - Ma pani zamiar gotować, miłady?

- Chciałabym przygotować leczniczy napój z użyciem jajek, mleka, hizopu i korzenia mandragory, jeśli jest.

Oblicze pani Tonner rozjaśnił uśmiech. Sekretna receptura Beau była znana nie tylko w dzikich ostępach Jamajki. Emeraldą podążyła za kucharką do dobrze zaopatrzonej spiżarni, gdzie szybko znalazła wszystkie potrzebne składniki. Pokojówka przyniosła jej miseczkę i matówkę oraz olbrzymi kubek ozdobiony inicjałami Ashera Carisbrooka.

„A W”. Były to nie tylko inicjały Ashera, lecz także licznych jego przodków. Ashtona Wellinghama, Ashlanda Wellinghama, Ashbornea Wellinghama.

Emeralda podziękowała kucharce i zabrała się do roboty, nieco zmieszana tym, że Asher nie zamierzał wyjść, tylko się jej przyglądał. W kuchni zapanowała cisza jak makiem zasiał. Wszystkie uszy były nastawione na złowienie każdego słowa, które wymieniała z Asherem.

- Często pani to robiła?

Często, o wiele za często, pomyślała.

- Nie - powiedziała. - Tylko wtedy, gdy w kościele pojawiał się jakiś podchmielony parafianin. Poza tym...

Nie dokończyła, gdyż przed oczami stanął jej obraz Beau

opróżniającego szklanki z ową miksturą w coraz większych ilościach.

Jej ojciec nie wylewał za kołnierz, a pijany stawał się agresywny. Na szczęście napady złego humoru brały na siebie kobiety lekkich obyczajów, którymi się otaczał.

Przeważnie.

Cieszyło ją, że Asher był ulepiony z zupełnie innej gliny. Alkohol zmiękczał go, książkę stawał się rozmowniejszy i wrażliwszy.

- A jednak nauczyła się pani tego przepisu na pamięć?

- Jest bardzo prosty. Całość należy wypić duszkiem. -

Wręczyła kubek Jego Wysokości.

Powąchał zawartość, spojrzał pytająco na Emmę.

- To musi mieć taki zapach?

- Tak. - Miała wielką ochotę roześmiać się, widząc jego niedowierzanie. - Silny alkohol wymaga silnego antidotum.

Widząc, że Asher wcale nie ma ochoty wypić mikstury, wyjęła mu kubek z rąk i sama pociągnęła łyk.

- Proszę zobaczyć, to nie trucizna. W gruncie rzeczy jest nawet całkiem smaczne. - Powstrzymała odruch wstrętu.

- Smaczne? - zapytał, dopijając zawartość kubka do dna.

- Pani twierdzi, że to smaczne? - Zlizął z górnej wargi resztki napoju. - Proszę za mną, Emmo, coś pani pokażę.

Opuścili kuchnię. Przeprowadził ją krętym korytarzem, o którego istnieniu nie miała pojęcia, do oranżerii, z której wychodziło się na pięknie utrzymany rozległy ogród.

- Wkład mojej matki w rozbudowę domu - wyjaśnił, widząc jej zaskoczenie. - W naszej rodzinie wszystkie żony Wellinghamów poświęcają się jakiemuś hobby. Moja babka kochała konie, a prababka muzykę. Powiadają, że w za-

chodnim skrzydle można niekiedy usłyszeć w nocy jej fortepian. Duchy są czymś zwyczajnym w takim miejscu jak nasz dom. Chociaż dotąd nigdy żadnego nie spotkałem.

- A czym zajmowała się Melanie? - zapytała Emeraldą i przeraziła się, widząc jego reakcję.

- Także interesowała się muzyką i była dobrą żoną - powiedział po prostu, potem zerwał pomarańczową chryzantemę.

- Była piękna?

- Tak.

- To z jej powodu pan nie śpi?

Nie zareagował. Rzadko rozmawiał o Melanie, a jeśli już, to tylko z Tarisem. Nagle w świetle dnia, po nocy, w czasie której nie zmrużył oka, okazało się to nieoczekiwane łatwe. Sprawiała to Emma Seaton.

- Nie było mnie w domu, gdy umarła. Nie byłem też na jej pogrzebie. Nie powinienem był opuszczać Falder. - Zdumiał się ogromem udzielonych informacji i głębią udręczenia, jaką ujawnił. Gdyby był sam, uderzyłby pięścią o coś twardego i sięgnął po kolejną butelkę whisky. Lecz nie był sam.

- Mnie też nie było przy śmierci brata. Miał trzy lata.

- Współczuję pani. - Przyjrzał się jej uważnie. Po raz pierwszy, odkąd się poznali, odniósł wrażenie, że mówiła o kimś ze swojej rodziny, kto rzeczywiście istniał.

- Wszędzie go z sobą zabierałam. Miałam sześć lat, gdy... Opiekowałam się nim jak matka. Pierwszym słowem, które powiedział, było moje imię. Uczylałam go piosenek, o zmierzchu kołysałam w hamaku. Seplenił. Pamiętam to bardzo dobrze. Nie przypominam sobie jego twarzy.

- Jak umarł?

Nie odpowiedziała, lecz jej pobladła twarz świadczyła o tym, że okoliczności śmierci brata musiały być tragiczne. Zastanawiał się, jaki wniosek można by wyciągnąć z faktu, że wreszcie obdarzyła go zaufaniem.

- Jak dawno umarła pana żona? - przerwała milczenie.

- Trzy lata temu.

- Ludzie często mi powtarzali, że czas leczy rany. Myślałam, że nic nigdy nie będzie w stanie złagodzić mego bólu. Ale to prawda, że czas jest lekarstwem. Znieczula bolące miejsca. Pozostawia tylko wspomnienia. Dobre wspomnienia. Teraz, gdy myślę o małym Jamesie, pamiętam tylko to, że seplenił i miał kędzierzawe, jasne włosy. I uśmiecham się do tych wspomnień.

- Rzadko rozmawiam o Melanie.

- Powinien pan, gdyż to pomaga. Trzeba się dzielić zmarzniętymi i bólem. Nikt panu o tym nie mówił?

- To też jedna z nauk pani ojca?

Uśmiechnęła się. W jasnym świetle poranka doskonale widoczne były dołki w jej policzkach i ślady na uszach po przekłuciu. Musiała kiedyś nosić kolczyki, i to niejedną parę. Wyraźnie widział cały rząd dziurek w obu uszach. Wyobraził ją sobie w tych błyszczących ozdobach. Jak błyskawica przeleciał mu przed oczami taki obraz, ale zignorował to.

Wyciągnął rękę, by dotknąć tych drobnych dziureczek. Nie broniła mu. Wręcz przeciwnie, przytuliła się do niego.

Jest taka wrażliwa, pomyślał. Najdelikatniejsza pieszczota sprawia, że jej serce przyspiesza, a policzki pokrywają się rumieńcem podniecenia. Jakby się zachowywała, gdyby ją posiadał? Poczul, że sztywnieje z wrażenia na tę myśl. Odsunął się od niej.

Niech to wszyscy diabli! Po wczorajszym niefortunnym wydarzeniu znów zachowuje się jak żółtodziób. Ciekawe, czy lady Emma zauważyła, co się mu przydarzyło w jej obecności, i to już drugi raz w ciągu ostatnich dwóch dni.

Jęknął, słysząc głos matki. Spotkanie z nią w takiej chwili wcale mu się nie uśmiechało. Czuł się przyłapany na gorącym uczynku, co wydawało się dość zabawne, gdyż nie miał siedemnastu lat, lecz trzydzieści jeden. Starannie obciągnął poły żakietu i czekał. Księżna wdowa siedziała w fotelu na kółkach pchanym przez pokojówkę.

Szybkie spojrzenie rzucone Emmie wprowadziło go w dodatkowe zakłopotanie. Przyglądała mu się natarczywie i widać było, jak walczy o zachowanie powagi. Dobry Boże, pomyślał, ta dziewczyna poi mnie napojami, po których tracę ostrość widzenia i najwyraźniej wodzi mnie za nos.

Mina matki też nie była zachęcająca. Widział ją już nieraz, zawsze wtedy, gdy po śmierci Melanie w jego pobliżu pojawiała się jakaś godna uwagi kobieta, ale tym razem wyraźnie go to zirykowało.

- Wyglądasz okropnie, mój synu - powiedziała na powitanie księżna.
- Dzień dobry, mamo.
- Wyglądasz okropnie. Służba donosi mi, że od tygodnia nie zmrużyłeś oka, a przez ten czas wypijeś tyle whisky, ile normalnie wypijasz w ciągu miesiąca. - Jej głos załamał się.
- Zabijesz się takim zachowaniem. Martwię się, co się stanie z Falder i z całą rodziną.
- Jeśli do tego dojdzie, co jest raczej mało prawdopodobne, to Taris przejmie odpowiedzialność.

Była to okrutna odpowiedź, ale nie pierwszy raz rozmawiał z matką na ten temat i nie chciał znów o tym dyskutować, a szczególnie w obecności Emmy Seaton.

- Mało prawdopodobne? - nie ustępowała księżna, zaraz jednak utkwiła wzrok w Emeraldzie, w oczekiwaniu, że młoda dama zostanie jej przedstawiona. - Jest pani kuzynką hrabiny Haversham, prawda?

- Tak.

- Wiele lat temu miałam okazję poznać przelotnie jej rodzinę. Z której gałęzi się pani wywodzi?

- Z odległej, obawiam się.

Emma perfekcyjnie opanowała sztukę unikania odpowiedzi na pytania dotyczące jej przeszłości, stwierdził w myślach Asher, ale jego matka najwyraźniej tego nie zauważyła.

- Hrabina Haversham miała brata Beauvedere'a. Czy spotkała go pani kiedyś?

- Nie sądzę.

- Skoro tak, to jestem przekonana, że go pani nie spotkała. Nieraz zastanawiałam się, co się z nim stało, jak potoczyły się jego losy. Był mężczyzną, na którego nie sposób było nie zwrócić uwagi. Jego niebieskie oczy i niesłychane wprost powodzenie wśród kobiet przeszły do legendy. Ashborne zawsze mawiał, że nic z tego dobrego nie wyniknie... - Zachichotała. - Przepraszam. To z powodu mojego wieku tak ciągle powracam do przeszłości. Starość ma to do siebie, że pamięta się to, co wydarzyło się trzydzieści lat temu, a zapomina o tym, co było wczoraj. Zamiast zawracać pani głowę tymi historyjkami z przeszłości, powinnam była zapytać, czy odpowiednio panią przyjęto w Falder. Czy podoba się

pani pokój, który pani przeznaczono? Jest pani w żółtym pokoju, czy tak? Czy gra pani w wista?

- Nie za dobrze. - Emeraldę zbiła z tropu ta nagła zmiana tematu.

- Świetnie - roześmiała się księżna. - A zatem będzie pani moją przeciwniczką dziś wieczorem. Zgadza się pani? Zazwyczaj partneruje mi moja siostra, ale pojechała na tydzień do Londynu, żeby się spotkać z synem, który właśnie przyjechał z Ameryki. Będziesz miał z nim sporo do pogadania, Asher.

Nie zachwycała go ta perspektywa. Jeszcze jedna osoba, od której usłyszy, że się zmienił na gorsze, i udzieli cennych rad, jak na powrót stać się lepszym.

Miał nadzieję, że kuzyn zachowa swój krytycyzm dla siebie. Nagle poczuł się bardzo tym wszystkim zmęczony, jak zawsze zresztą.

To chyba skutek tej mikstury, którą przygotowała mu Emma, w połączeniu z brakiem snu, stwierdził. Postanowił dziś wieczorem pójść spać wcześniej, po wypiciu kieliszka mocnej brandy.

Poniewczasie pomyślał o bracie. Miał nadzieję, że żadna pokojówka nie obudziła Tarisa, który spał w fotelu przed portretem Melanie. Taris musiał w nocy wrócić do pokoju. Zastanowiło go to. Przecież nic nie słyszał. Sugerowałyby to, że on nad ranem się zdrzemnął. Ucieszył się. Oznaczałoby to, że może spać. Odczekał chwilę, aż pokojówka wywiezie matkę z ogrodu.

.- Czy ta mikstura, którą mi pani przygotowała, działa również nasennie? - Dosłownie kleiły mu się oczy.

- Tak, i to dość szybko - odrzekła ze śmiechem.

- Jak szybko?

Nie doczekał się odpowiedzi, gdyż powieki mu opadły i zasnął.

Spał bez mała dwadzieścia godzin. Obudził się dopiero następnego dnia rano. Emma Seaton siedziała obok niego i czytała książkę Mary Wollstonecraft, rewolucyjny traktat krytykujący restrykcyjny system edukacji kobiet. Obrazoburcze upodobania czytelnicze lady Emmy zmartwiły księcia.

- Nie śpi pan? - zapytała cicho i odłożyła książkę. - Wiem, że nie powinnam tu być, ale to ja zaserwowałam panu ten napój i martwiłam się, że być może źle zapamiętałam proporcje. Przyszłam sprawdzić, czy pan wciąż odycha.

- Właśnie tutaj? - Rozejrzał się po pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu.

- Proszę mi wierzyć, nie mam zamiaru szkodzić pana rodzinie. Lubię ich.

- Mnie jednak chce pani zaszkodzić, prawda? - Nagle wszystko zrozumiał. Wszystko ułożyło się w logiczną całość. To na niego wpadła na balu u Jacka, to na niego polowała na kolacji u biskupa. W rozmowie z Jackiem następnego dnia po kolacji dowiedział się, że lady Emma Seaton zwierzała się Florze Leary, że jest jego starą znajomą i byłaby zadowolona ze sposobności odświeżenia tej znajomości. Był przekonany, że na balu tylko udawała omdlenie.

Leżąc na wpół ubrany w łóżku, zdawał sobie jednak sprawę z tego, że to nie czas i nie miejsce na konfrontację. Należało zatem zmienić temat.

- Dorobiłaby się pani wielkiego majątku, lecząc swoim

specyfikiem rzeszę londyńskich nocnych marków. Traktowano by panią jak zbawcę.

- Jak się pan czuje?

- Lepiej.

- Nie słysząc tego w pana głosie.

- A co słysząc?

- Niepokój.

- A pani nie potrafi sobie wyobrazić, skąd się bierze?

- Podarowałam panu sen.

- Zwaliła mnie pani z nóg i Bóg wie, co pani robiła w tym czasie, kiedy miała pani nieskrępowany dostęp do mojego domu. Czego pani szuka? - Utkwił w niej natarczywe spojrzenie. - Pieniądzy? Sprawia pani wrażenie osoby, która na gwałt ich potrzebuje.

Wygląda jak pokaleczony niedźwiedź, pomyślała.

- Może nie mam najmodniejszych sukien w całym Londynie, ale zapewniam pana, że to nie z powodu braku funduszy, tylko po prostu ich nie pragnę.

- Nie chciałyby mieć pani nowej sukni?

- Wiem, że może się to panu wydawać nedorzecznoscia, ale nie wszystkie kobiety odczuwają potrzebę nadążania za najnowszą modą. Niektóre, tak jak ja na przykład, wolałyby raczej kupić książki.

Nie mógł pohamować śmiechu.

- Proszę korzystać z mojej biblioteki. Daję pani swobodę wyboru, może przekona się pani do innych pisarzy niż Mary Wollstonecraft.

Wyglądał znacznie młodziej z tymi śmiejącymi się oczami. Skapitulowała.

- Kiedy się pan lepiej poczuje, może zaczniemy dyskusję na temat praw kobiet.

- Może. - W jego głosie trudno byłoby doszukać się choćby cienia entuzjazmu.

Jego Wysokość nakrył głowę poduszką. W ten prosty sposób wykluczył jakąkolwiek możliwość dyskusji, a już o prawach kobiet w szczególności.

scandalous

Rozdział ósmy

Emeralda wybrała się na spacer nad morze, zanim jeszcze zbladły gwiazdy na niebie, nim obudziła się służba i nim Miriam mogła zauważyć jej nieobecność i ją skomentować. Ostatniej nocy spędziła wiele godzin na przeszukiwaniu Falder. Szperała w pokoju Ashera i przylegających do niego alkowach, węszyła w kuchniach, salonach i w bibliotece. Przeszukała pokój z mapami, o którym wspominała Miriam. Nic nie znalazła.

Czyżby pozbył się tej laski? Niemożliwe. Kamienie na rzeźbionej główce były zbyt cenne, żeby ją tak po prostu wyrzucić. Nawet ktoś naprawdę mało zorientowany nie mógł nie zauważyć, że jest to przedmiot wartościowy. A może została sprzedana? Czy dałoby się wypytać go w tej sprawie, nie wzbudzając podejrzeń i nie pomagając mu w odświeżeniu pamięci?

Woda w morzu była zimna, ale nie tak bardzo, jak się spodziewała.

Rozejrzała się. Rozważała, czy może sobie pozwolić na zdjęcie sukni i dopłynięcie do miejsca, w którym zaczyna się płycizna. Łąd za plecami Emmy był spowity szarością.

Panowała poranna cisza. Rząd wysokich, ciemnych sosen odgradzał plażę od odległego o pół mili wiejskiego domu. Zatokę z dwóch stron zamykały rumowiska skalne. Z tamtej strony nie było żadnego dostępu. Doszła do wniosku, że nikt nie powinien jej zaskoczyć.

Podjęła szybką decyzję i podeszła do rozłożystego krzaka na skraju plaży. Zrzuciła żakiet, suknię i buty. Z przyzwyczajenia nie zdjęła tylko jedwabnych rękawiczek. Lekka bryza wywołała gęsią skórkę na jej ciele. Roześmiała się radośnie. Czuła się wolna.

Pierwszy raz w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu, i zanurzyła się w wodzie.

Asher ujrzał ją z daleka. Samotna Afrodyta, z głową otoczoną aureolą złocistych loków. Nie było żadnych tajemnic przed jego wzrokiem. Długie, szczupłe nogi i ramiona, krągłe pośladki, wąska talia i falujące, pełne piersi. Kilkakrotnie spoglądała za siebie, zanim znikła pod powierzchnią wody, by się z niej za moment wynurzyć i znowu zniknąć w odmętach...

Serce zabiło mu szaleńczym rytmem. Spiał konia do galopu w kierunku plaży. Zeskoczył z siodła, w biegu zrzucił z siebie żakiet i buty. Boże, gdzie ona jest?

-Emma!

Okrzyk wyrażał namiętność, gniew, desperację, obawę. Serce biło mu tak gwałtownie, że niemal rozsadzało pierś, krew krążyła w żyłach jak rozpalona do czerwoności lawa, gotowa wybuchnąć w każdej chwili.

Wynurzyła się jakieś sześćdziesiąt jardów od miejsca, w którym ją ostatnio widział, i zaczęła się śmiać, co wy-

prowadziło go z równowagi. Zauważyła to. Jej śmiech się urwał.

- Z wody! Natychmiast! - Nie dbał o to, że się demaskuje. Pragnął jedynie, by była bezpieczna.

- Proszę odejść! - W głosie Emeraldy było przerażenie.
- Nie potrzebuję pomocy. - Upewniła się, że poza nim na brzegu nie ma nikogo. Jej policzki pałały jasnymi rumieńcami, mimo że przed chwilą wynurzyły się z zimnej morskiej wody.

Nie miała zamiaru go posłuchać.

- Jeśli pani natychmiast nie wyjdzie, wyniosę panią.

Zanurzyła się po szyję, zastanawiając się, co robić, gdyż Asher Wellingham stał na drodze do krzaka, przy którym zostawiła ubranie. Patrząc na niego, wiedziała, że wcale nie zamierza ułatwiać jej sytuacji.

Woda sięgała mu już powyżej kolan. Czy wejdzie głębiej? Czy podpłynie do niej i wyciągnie ją z wody, tak jak groził?

- Już dobrze. Proszę się odwrócić. - Jej pojednawczy ton wcale nie świadczył o tym, że miała zamiar się poddać. Gdy zobaczyła błysk jego białych zębów wyszczerzonych w uśmiechu, przez chwilę wahała się, czy nie rzucić mu wyzwania i nie sprawdzić, które z nich jest lepszym pływakiem. No tak, ale gdzie wobec tego mogłaby wyjść na brzeg? - Proszę się odwrócić - powtórzyła, widząc, że Asher nie ma zamiaru się ruszyć.

Była w kłopotcie, bo na wysokim brzegu za plecami Ashera dostrzegła ludzką postać, w tej chwili jeszcze w bezpiecznej odległości, ale zbliżającą się z każdą straconą sekundą. Asher zauważył jej niepokój, odwrócił się, żeby zbadać jego przyczynę.

- To Malcolm Howard z domu na wzgórzu - powiedział ze złośliwą satysfakcją.

Nie pozostało jej nic innego, jak dać nurka w głąb pierwszej nadchodzącej fali i razem z nią dopłynąć do brzegu. Gdy już się tam znalazła, wstała z ociąganiem. Asher rzucił w jej kierunku swój żakiet, uprzednio jednak dokładnie obejrzał jej nagą postać.

- Większość dżentelmenów przynajmniej odwróciłaby twarz - zauważyła z przekąsem.

Wkładała ręce w rękawy żakietu w taki sposób, żeby przy okazji pokazać jak najmniej gołego ciała. Na szczęście żakiet sięgał poniżej kolan.

- Większość pań miałaby na sobie bieliznę. - Spojrzał na nią przez ramię.

Zagwizdał i w tym momencie zza zarośli porastających wydmy wyłonił się jego olbrzymi, czarny ogier. Zgrabnie stapał po piaszczystej plaży.

Emeralda nerwowo zerknęła na wysoki brzeg, by upewnić się czy ich nikt nie obserwuje, ale nie dostrzegła niczyjej obecności.

- Malcolm zazwyczaj chodzi tędy do swego brata, którego dom jest za wzgórzem - poinformował rozbawiony Asher.

- Wiedział pan o tym?

- Wiedziałem.

Żadnej skruchy, żadnych przeprosin, żadnych wyrzutów sumienia. Lecz wyraz jego oczu zmienił się.

Asher wciągnął buty i zręcznie dosiadł konia. Wyciągnął do niej prawą rękę.

- Proszę, Emmo, zawiozę panią do domu.

Zanim zdążyła odrzucić propozycję, wciągnął ją na siod-

ło, nie zważając na ubrudzone piaskiem stopy i śliskie od wody morskiej ciało. Poczowała emanujące od księcia przyjemne ciepło. Opanował ją smutek i jakieś inne, trudne do zdefiniowania uczucie.

- Na padoku za wzgórzem jest stodoła. Weźmiemy pani ubranie i będzie pani mogła się tam ubrać.

- A pan będzie się temu przyglądał?

Jego głośny śmiech był zaraźliwy, jej też chciało się śmiać, ale nie pokazała tego po sobie. Ubrana w za duży męski żakiet, oddalona o mile od domu, czuła się bezpieczna. Przy Asherze Wellinghamie zawsze czuła się bezpieczna.

- Gdzie nauczyła się pani pływać?

- Na Jamajce.

Miała zamiar nie odzywać się do niego, by zrozumiał, że się na niego gniewa, ale uznała to za dziecinadę.

- Założę się, że to nie ojciec panią uczył.

- Nie, jeden ze służących.

- Mam nadzieję, że w czasie tych lekcji miał na sobie więcej ubrania niż pani w tej chwili.

- Było gorąco, a ja byłam dzieckiem.

- Bez wątpienia teraz jest pani kobietą.

Wolną rękę przesunął w dół po jej udzie. Wstrzymała oddech.

- Czy zachowała pani niewinność, Emmo?

- Słucham? - Nie mogła uwierzyć, że odważył się o to zapytać.

- Niewinność. To cecha kobiety, która nie miała przyjemności obcowania z mężczyzną. Jeśli tak, to z góry przeproszam za moją propozycję, lecz jeśli nie, to być może zainteresowałyby panią obopólnie korzystny romans.

- Romans?

Przesunął się do przodu w siodle. Poczwała twardego dotyk jego męskości.

- Pani chce czegoś ode mnie, a ja chcę czegoś od pani. Może moglibyśmy pogodzić nasze wzajemne oczekiwania, przez co oboje staniemy się szczęśliwsi.

Oddech Ashera łaskotał ją w szyję. Pod sobą czuła ciepło końskiego grzbietu, za plecami ciepło ciała Ashera Wellinghama. Miała wielką ochotę odchylić się i ulec jego niebezpiecznej propozycji. Jamajka nie była miejscem, gdzie stosunki damsko-męskie były tabu. Nakazy moralne, tak restrykcyjnie regulujące życie w Anglii, zostałyby tam uznane za absurdalne.

Powiedz „tak”, domagało się jej ciało. Żadnych więzi. Żadnych obietnic. Tylko prosty akt połączenia. Choćby w tej stodole. Teraz.

Inny głos sprzeciwiał się tej pokusie. Głos rozsądku kobiety, która spędziła życie wśród mężczyzn. Wiedziała, jak czerze są ich obietnice złożone pod wpływem pożądania.

Na litość boską, przecież to książę, który tylko pstrykanie palcami, a wszyscy spełniają jego zachcianki! Przywykł do tego, że żadna z dam czy wiejskich dziewcząt mu nie odmawia. Tacy mężczyźni nie proponują niczego kobiecie, którą podejrzewają, że chce ich okraść. Obserwowała Ashera Wellinghama w salach balowych Londynu, widziała spojrzenia kierowane ku niemu przez setki kobiet cieszących się lepszą od niej reputacją. Kobiet bogatszych, ładniejszych, noszących tytuły dorównujące jego książęcej godności. Było to wcześniej, zanim w ogóle pomyślała, że mieli z sobą coś wspólnego w przeszłości.

W głębi duszy pragnęła, by wyciągnął rękę i wziął to, czego nie miała odwagi mu zaproponować, tak bardzo

chciała, żeby nie czekał na jej decyzję. Jednak on tego nie zrobił. Dzentelmen.

- Nigdy nie... - Przeraziła się. Co mu powiedzieć? Że jest dziewicą? Że nigdy nie była z żadnym mężczyzną? Wziąwszy pod uwagę jej zachowanie, była pewna, że i tak nie uwierzy.

- Nigdy? - Złote plamki w jego oczach zgasły. - Zazwyczaj nie nagabuję kobiet tak otwarcie i chciałbym... - Też urwał w połowie zdania.

Ściągnął wodze, zeskoczył z siodła i zaczął prowadzić wierzchowca w kierunku ukrytej między wysokimi drzewami stodoły.

Nagabuję. •. Jakie nieeleganckie słowo na określenie jego propozycji, pomyślała. I tak wiele mówiące. Czyżby świadczyło o jego prawdziwej motywacji?

- Poczekam, aż się pani przebierze.

Pomagając jej zsiąść z konia, unikał kontaktu.

Jakie nienaganne zachowanie. Jakie maniery. Jaki kontrast w porównaniu z dopiero co złożoną propozycją. Z ubraniem pod pachą pośpieszyła do środka stodoły, zła na siebie, że się tak tym przejmuje.

Łatwo przyszło, łatwo poszło. Przypomniała sobie, że jej ojciec tak właśnie mawiał o kobietach przewijających się przez ich dom. Podniesiona na duchu, odpędziła powracające natrętnie wspomnienia i skończyła się ubierać. Trzęsącymi się rękami wiązała sznurowadła.

Do diaska! Dlaczego w towarzystwie Ashera Wellinghama zmienia się w ladacznicę? Przypomniała sobie spojrzenie, jakim lustrował jej nagie ciało, i zadrzała. O czym myślał? Na pewno zauważył motylka na jej piersi, jak również długą, postrzępioną bliznę na prawym udzie. Był zdziwio-

ny. Nie uszło to jej uwagi, gdy odbierała z jego rąk żakiet, by się nim okryć.

Nie tylko zdziwiony. Był także owym widokiem podniecony.

Westchnęła z rezygnacją i wyszła przed stodołę. Stał tyłem do wejścia. Bez żakietu, w rozpiętej koszuli. Czarne, lekko falujące włosy rozsypane na kołnierzyku były dłuższe z tyłu. Pod cienkim materiałem, z którego uszyto koszulę, wyraźnie rysowała się muskulatura. Ten człowiek nie prowadził siedzącego trybu życia. Gdy się obrócił, ujrzała w jego oczach to samo, co, jak się domyślała, można też było wyczytać w jej oczach.

Ostrożność.

- Dziękuję za żakiet.

Odebrał z jej rąk zmoczony wodą morską żakiet i przerzucił go niedbale przez łęk siodła.

- Proszę bardzo.

Ta cholerna angielska flegma, pomyślała z niesmakiem. Na Jamajce trudności usuwano na drodze sporów. Było to nadzwyczaj praktyczne. Wyrzucano z siebie wszystko, nie pozostawiając miejsca na dwuznaczność. Tutaj problemy nabrzmiewały pod powierzchnią uprzejmej fasady, podskórne ciśnienie nierozwiązanych sporów rzadko znajdowało ujście w słowach.

Chciał jej znowu pomóc dosiąść konia. Zapragnęła, aby raz jeszcze zaproponował romans, ale z zachowaniem przy najmniej jakichś pozorów uczucia. Serce jej się ścisnęło.

- Pójdę do domu, Wasza Wysokość. To już niedaleko.

Za nic w świecie ponownie nie usiądzie z nim na koniu. Nie chciała czuć jego uda przy swoich udach, jego oddechu na swojej szyi. Za nic w świecie.

Skłonił lekko głowę i ścisnął piętami boki wielkiego, czarnego ogiera. Odjechał, zanim zdobyła się na odwagę, by go zatrzymać.

O północy Emeraldą dała Azzizowi znak świecą, że chce się z nim spotkać, potem wyszła mu naprzeciw na drogę wiodącą z Falder w kierunku morza. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Spałaś z nim?
- O co ci chodzi?

Była pewna, że nawet w tych ciemnościach musi widzieć rumieniec na jej policzkach wywołany tym pytaniem.

- Czy spałaś z nim? Toro mówił mi, że widział, jak wychodziłaś dziś z morza razem z Asherem Wellinghamem. I że byłaś naga.

- Poszłam popływać. Spotkaliśmy się przypadkowo.
- Zabiję go.
- To była moja wina. Nie powinnam była wchodzić do wody bez ubrania, a on mnie nie dotknął. Był dżentelmem w każdym calu. - Oczywiście nie wspomniała o otrzymanej propozycji.
- Przyłóż w nocy nóż do gardła Carisbrookowi i zażądaj pergaminu, Emmie. Potem pobiegniemy nad morze i wypłyniemy na Jamajkę. Jeśli będziemy z tym dłużej zwlekać, stracimy i pieniądze, i możliwość powrotu do domu.

Brutalna racja argumentów Azziza przeraziła ją. Jeszcze miesiąc temu sama była skłonna tak samo argumentować, ale teraz...

- Sprzedam perły. To na jakiś czas zapewni nam środki. Azziz pokręcił głową.

- To jedyna rzecz, jaka ci pozostała po matce. Zawsze mówiłaś, że nigdy się z nimi nie rozstaniesz.

- Proszę cię, Azziz. Niech Toro weźmie perły i uda się z nimi do najlepszego jubilera w Londynie. Wiesz, gdzie są ukryte w domu Miriam. Dajcie mi jeszcze kilka dni.

Jeszcze kilka dni. Jeszcze jakieś pieśczęty? Jeszcze jakaś szansa?

Potrząsnęła głową, aby uwolnić się od widoku Ashera na koniu. Nie mogła przestać o nim myśleć bez obawy o swoją przyszłość.

- Mógłbym obrabować na drodze jakiegoś bogatego podróżnego. Wystarczyłoby.

- Nie! - przeraziła się. - Nie w Anglii. Tutaj wieszają za coś takiego. Lepiej sprzedać perły. To da nam trochę czasu.

- Gdybyś tak wpuściła mnie na godzinę do Carisbrooka...

- Nie.

- To do jego siostry. Mówią, że zależy mu na niej.

- Zostaw rodzinę w spokoju. Rozkazuję ci.

- Boże, zawsze byłaś taka uparta. Beau miał więcej wad niż ktokolwiek, ale był twoim ojcem. A Carisbrook zabił go z zimną krwią.

- Z zimną krwią? To było podczas bitwy morskiej.

- Emmie, masz zamiar usprawiedliwiać tego angielskiego księcia?

Odwrociła się, by spojrzeć na Falder. Światła domu kontrastowały z ciemnymi wzgórzami za domem.

- Mój ojciec szpadą wojował i od szpady zginął. Zanim tu przyjechałam, myślałam, że Asher Wellingham należy do ludzi tego samego pokroju. A teraz? Teraz myślę, że jest

człowiekiem honoru, nie gorszym od ciebie, i dlatego nie pozwolę go skrzywdzić.

Poczuła, jak Azziz kładzie swą olbrzymią rękę na jej ramieniu.

- Dziewczyno, jesteś taka sama jak twój ojciec, prawda? - powiedział miękko. - Jak myślisz, jaka byłaby reakcja księcia, gdyby dowiedział się, że w twoich żyłach płynie krew Sandforda?

- Wolę nie myśleć.

- Jeśli cię zdemaskuje, trudno będzie naprawić szkodę. Zaufaj mu, a skończysz jak twój ojciec. Co się stanie wówczas z Miriam i Ruby? Jeśli nie myślisz o sobie, to przynajmniej pomyśl o nich.

Zadrzała. Po raz pierwszy w życiu zdarzyło się jej spotkać mężczyznę, w którego obecności poczuła się kobieta, i który sprawił, że zaczęła sobie wyobrażać to wszystko, czego nigdy wcześniej nie brała nawet pod uwagę.

Naga pod jego żakietem chciała, aby wszedł za nią do stodoły i wziął jej dziewictwo. Miała dwadzieścia jeden lat i nigdy jeszcze nie była z mężczyzną. Czas najwyższy, by to nastąpiło. Falę pożądania, która ją ogarniała, przyjęła ze zdumieniem.

Na szczęście Azziz zrezygnował z dalszego przekonywania jej do swoich metod działania i oddalił się w kierunku drzew porastających grzbiet pagórków otaczających Falder.

W świetle księżyca wszystkie facjatki i wieżyczki na dachu domu odcinały się jasnym kolorem od ciemnego nieba. Skradając się wysypaną żwirem ścieżką za ogrodem, Emeraldalda dostrzegła czyjaś sylwetkę na tle wykuszowego okna.

Zatrzymała się i ukryła za krzewami rosnącymi na wprost nieoświetlonego firanką okna.

Asher stał tuż przy szybie i patrzył przed siebie. Za jego plecami na ścianie wnęki wisiał portret dawno zmarłej żony. Miał wrażenie, że go obserwuje i nie pozwala mu wyzbyć się smutku, który go przepełniał. Jakby nie przeszkadzało jej to bolesne spojrzenie jego oczu, spojrzenie rannego człowieka, z którego uchodzi krew, obojętnego na ten fakt i niepragnącego ratunku.

Melanie Wellingham, zmarła księżna Carisbrook.

Wszystko miało związek z nią, jego okaleczoną ręką i niewidomym bratem. Wszystko to przeplatało się z Falder, jego tysiącletnią historią, która takim brzemieniem go przygniatała.

Emeralda zrobiła krok do przodu i zatrzymała się. Co mogłaby mu powiedzieć?

Pocałuj mnie. Pokochaj mnie. Pozwól mi tu zostać. Tutaj. Na zawsze. Tu, gdzie od setek lat gromadzona jest pamięć o twoich przodkach, gdzie wspomnienia są takie ważne i dobre.

Lepsze niż moje. O wiele lepsze.

Statek na środku rozszalałego morza i zapowiedź kolejnego sztormu. Angielski okręt, pewnie trzymający się kursu, i Asher Wellingham ze szpadą w dłoni na pokładzie rufowym, a wraz z nim dwa tuziny ludzi. Naprzeciw łatwy cel. Powolna, ociężała, dobrze widoczna sylwetka na tle oświetlonego błyskawicami nieba.

Emeralda od razu zorientowała się, że ma do czynienia z człowiekiem zdecydowanym i doświadczonym, a jednak nie mogła się nadziwić, jak sprawnie przebijają się przez tłum żeglarzy, aby osiągnąć jej ojca. Świst

kuli z działa okrętowego i oto znalazł się na jej drodze, w zasięgu jej ostrza. Zaśmiał się, gdy skrzyżowała z nim swoją szpadę.

- Wybrałeś niewłaściwą drogę, chłopcze. Poddaj się, a zapewnię ci bezpieczny powrót do Anglii. Jesteś za młody, by oddawać życie za tę zbieraninę.

Chwyliła mocniej szpadę i zadała mu cios, który odparował po mistrzowsku. Bawił się nią. Zauważyła to, ale jednocześnie dostrzegła, że jej umiejętności w dziedzinie fechtunku zdumiały go. Ucieszyła się, gdy zdołała go zadziwić jeszcze bardziej, tnąc go w lewy rękaw. Na rozcięciu pokazała się krew. Jeśli miała umrzeć, to chciała drogo sprzedać swoje życie. Nagle wykonał zwód i jej zbrojne ramię zostało przygwożdżone do bezanmasztu.

- Rzuć szpadę, a oszczędzę cię. Nie zabijam dzieci. - Jego oddech mieszał się z jej przyśpieszonym oddechem. Dopiero w tym momencie ich spojrzenia skrzyżowały się w takiej bliskości. - Boże, jesteś dziewczyną!

Ze zmrużonymi oczami wodził palcem po jej drżących wargach. Jeszcze teraz, po latach, Emeraldy wciąż czuła ten dotyk, ciągle pamiętała, jak jej ciało stopniało pod jego wpływem.

Miał do czynienia z kobietą. Nie ulegało wątpliwości. Na środku oceanu, w zgiełku bitwy morskiej przesunęła językiem po jego słonym kciuku i oboje zastygli w olśnieniu.

Ujrzała to w jego tęczęwkach, otoczonych brązową, złotą połyskującą obwódką. Czar prysnął, gdy ojciec z morderczym okrzykiem rzucił się w ich stronę. Rękojeścią szpady walnęła Ashera Wellinghama w głowę, strącając go w kiel morską. Tylko tak mogła go uratować. Tam miał

przynajmniej szansę wyprowadzenia śmierci w pole. Wiedziała o tym po dziesięciu latach żeglowania z Beau.

- Dobry Boże - powiedziała na głos, żeby odpędzić wspomnienia. Przesunęła dłonią po rękojeści noża zatknętego za pasek.

Gdzie racja, a gdzie błąd?

Gdzie dobro, a gdzie zło?

Na pokładzie „Mariposa” była córką swojego ojca. Tutaj nic nie było takie jednoznaczne.

- Asher - wyszeptała jego imię, przytykając palce do drżących ust.

Dom. Rodzina. Odpowiedzialność. Obowiązek. W odróżnieniu od jej ojca księżę Carisbrook traktował te rzeczy poważnie, co budziło jej podziw. Wątpliwa moralność, która obowiązywała na Jamajce, miała tu niewielkie szanse.

Wycofała się do spowitego mrokiem ogrodu. Przeklinając ojca, schroniła się w sanktuarium swojego pokoju.

Asher przemierzał pokój tam i z powrotem. W oczach miał widok wyłaniającej się z morza Emmy. Jej nagie ciało lśniło od wody morskiej, bosa stopy zostawiały zagłębienia w piasku plaży.

Bez wątplenia była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Jego oczy powędrowały ku portretowi żony wiszącemu w płytkiej alkwie pokoju i po raz pierwszy nie potrafił przypomnieć sobie, jak wyglądała w rzeczywistości twarz Melanie. Jaki kolor miały jej oczy.

Zamiast tego wciąż powracał obraz Emmy Seaton wychodzącej mu naprzeciw z morza. Wytatuowany motylek na piersi był równie zadziwiający jak głęboka, kręta blizna

na prawym udzie. Miał dość blizn na własnym ciele, żeby nie rozpoznać śladu po ranie zadanej szpadą.

Skąd ona ją ma? Jak do tego doszło? I dlaczego nie zdjęła rękawiczek? Co pod nimi ukrywa?

Uniósł do ust szklanke z wodą.

Woda?

Dzisiaj nawet pije coś innego niż zazwyczaj. Emma Seaton zmieniła go. Więcej w nim życia. Na dzisiejszy objazd Falder też wyruszył z dawno nieodczuwanym entuzjazmem.

Co by się wydarzyło, gdyby podążył za nią do stodoły? Posiadłby Emmę bez zbędnych słów, nie bacząc na to, czy ktoś mógłby być w pobliżu, bez względu na konsekwencje. Sprawiliłyby to jej ogorzała od słońca skóra i turkusowe oczy. To jej wina, że stał się nieostrożny i lekkomyślny. Obudziła w nim mężczyznę, jakim był kiedyś. Mężczyznę, który pokochał, zaryzykował i stracił.

Boże, co się z nim dzieje? Musi to zatrzymać, gdyż lady Seaton zagraża wszystkiemu, w co wierzył.

Zasady. Porządek. Ostrożność. Rozwaga.

Chaos oznacza stratę. Spośród wszystkich mężczyzn na świecie akurat on powinien wiedzieć o tym najlepiej.

Otworzył kopertę zegarka.

Czwarta. Za oknem wzmagał się wiatr. Księżyc wznosił się wysoko na niebie. Asher spojrzał na leżący przed nim otwarty atlas i obwiodł palcem nieregularny zarys Jamajki. Dom Emmy. Miejsce, gdzie się wychowała. Jego wzrok powędrował dalej, na zachód, ku płyciznom otaczającym Jukatan.

Jego okręt wyłonił się z mgły i z wielką szybkością, cicho i bez ostrzeżenia runął na statek Sandforda. Zimny re-

wanż i zakończeniu. Myślał, że będzie odczuwał coś więcej, zatapiając ostrze szpady we wnętrznościach pirata, ale nic takiego nie miało miejsca. Dobry Boże. Po roku spędzonym w niewoli i kolejnym roku, w którym odzyskiwał siły, powinien był pozwolić sobie na odczuwanie czegoś więcej.

Wyciągnął przed siebie okaleczoną prawą rękę. Rzucił w powietrze przekleństwo. Kikuty brakujących palców odcinały się wyraźnie od tła rozjaśnionego światłem lampy. Nienawiść jątrzyła się w jego sercu nawet teraz.

Spojrzał na odbicie swojej sylwetki -w szybie okiennej. Uderzyła go pewna myśl. Jeszcze do niedawna był tak pewny kursu, który obrał w swym życiu... Do niedawna, bo teraz jasny cel utracił wyraźne kontury i inna rzeczywistość nabrała blasku.

Emma. Bez wysiłku wślizgnęła się do jego snu na jawie, do jego marzeń.

Przepędzi ją razem z jej sekretami. Ścisnął prawą pięść i zamknął oczy. Musi przewyciężyć swoje uczucia. To jedyna metoda obrony.

Lady Emma Seaton spędzi w Falder jeszcze tylko trzy dni, a potem zniknie. Postanowił unikać jej przez te trzy dni, jak tylko będzie to możliwe.

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia przy śniadaniu ograniczali rozmowę do niezbędnego minimum, posyłając sobie zdawkowe uśmiechy i wymieniając nic nieznaczące grzeczności.

- Odpowiada pani nasza kuchnia?
- Czy może mi pan podać dżem truskawkowy?

Pod powierzchnią tych uprzejmości kryło się napięcie. Obecność Tarisa i Lucy była Emeraldzie na rękę.

- Asher, wczoraj „Pod Czerwonym Lwem” spotkałem Malcolma Howarda. Mówił mi, że kapałeś się w zatoce - odezwał się Taris.

- Wziąłem Artemisa na przejażdżkę po plaży. Może o to mu chodziło.

W głosie i wzroku Ashera trudno byłoby zauważyć jakiegokolwiek emocje. Sięgnął poprzez stół po grzanekę.

Taris zmienił więc taktykę i spytał:

- Czy pani umie pływać, Emmo?
- Tak, umie - odpowiedział za nią Asher.

Jego ciemne oczy rzucały ostrzegawcze błyski. Tymczasem do rozmowy włączyła się Lucy, która nie zauważyła nic podejrzanego ani w dociekliwości Tarisa, ani w iryta-

cji, jaką wywoływały u Ashera pytania brata, przez co nieopatrnie znalazła się w samym środku pola walki.

- Koniecznie musisz mnie nauczyć pływać, Emmo. Od dawna o tym marzyłam. W czym się kąpiesz w morzu?

Emeralda zaczerwieniła się. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, skupiła się na krojeniu omletu na talerzu.

- Temperatura wody w Anglii jest znacznie niższa niż na Jamajce. Gdybym miała ryzykować kąpiel w tutejszych wodach, odważyłabym się zamoczyć tylko do kostek - odrzekła, gdy wreszcie udało się jej opanować przyspieszone bicie serca. Mówiąc to, nie śmiała nawet spojrzeć na Ashera.

Co innego jest kłamać w obecności osoby, która nie ma pojęcia, jak wygląda prawda, a co innego w obecności kogoś, kto prawdę zna. Asher był tutaj. Widział ją, dotykał jej, wodził palcami po nagiej skórze... Rumieniec nie znikał z twarzy Emerały, musiała wziąć kilka głębokich oddechów, by odzyskać równowagę.

Była na siebie zła za ten brak opanowania. Zagadkowe spojrzenie, które rzuciła jej Lucy, zwiększyło tylko skrępowanie. Dzień dopiero się zaczął, a jej już dłużył się niemiłosiernie. Była szczęśliwa, gdy Asher wstał wreszcie od stołu.

- Będę do wieczoru w Rochcliffe, Tarisie, i przyślę ci wiadomość, jeśli postanowię zostać tam na noc. Żegnam panie.

Nawet nie spojrzał w kierunku Emeraldy, tylko energicznym krokiem wymaszerował z jadalni. Światło słoneczne z najbliższego okna nadawało niebieskawy odcień jego czarnym włosom i uwydatniało zdecydowane rysy twarzy.

Emeralda położyła się na swym pościeliu przy oknie około dziesiątej. Wieczorem przez ponad godzinę gra-

ła z Tariesem w szachy w bibliotece. Nieobecność Ashera była darem niebios, bo pod pretekstem zwiedzania Falder mogła spędzić całe popołudnie na poszukiwaniu laski ojca. Niestety bezskutecznie.

Dobry Boże, westchnęła, układając się na kocach i spoglądając w niebo. Czas uciekał. Jeśli wkrótce nie odnajdzie tej mapy, szansa na kontynuowanie poszukiwań w Falder zostanie bezpowrotnie stracona, trudno się bowiem spodziewać, że w najbliższej przyszłości uzyska ponowne zaproszenie do siedziby Carisbrooków.

Gdzie mógł ją ukryć? Gdzie ona, na jego miejscu, by ją ukryła?

Gdyby Falder było mniejsze, poszukiwania nie sprawiłyby tak wiele trudności, ale z tymi niezliczonymi salonami, sypialniami, pomieszczeniami gospodarczymi, zakamarkami, wewnętrznymi korytarzami i tajemnymi przejściami stanowiło istny labirynt.

Oparła plecy na poduszkach, spod których wyjęła harmonijkę ustną, i zaczęła cichutko grać zapamiętaną z Jamajki melodię. Po całym dniu w muzyce szukała ukojenia nerwów i pocieszenia, którego tak potrzebowała w tym zimnym kraju. Azziz nauczył ją grać na harmonijce dziesięć lat temu, podczas dłużących się wacht na „Mariposie”. Od tamtej pory grała z pamięci wiele piosenek. Ruby często śpiewała i tańczyła przy jej akompaniamencie w klitce przy portowej ulicy w Kingston Town, w którym znalazły schronienie po pożarze St Clair. Wciąż prześladowało ją wspomnienie tego plugawego, okropnego mieszkania. Nie mogła zapomnieć życia w ustawicznym strachu, bez pięniędzy, w dojmującej tęsknocie za morzem.

Tu, w Falder, wszystko było łatwe i piękne. Dom, meb-

le, jedzenie, ludzie. Pieniądze łagodziły trudy życia, a duże pieniądze usuwały wszelkie trudności. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Uśmiech zastygł na jej twarzy, gdy z korytarza dobiegł ją odgłos zbliżających się kroków. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Przygładziła włosy, włożyła szlafrok i otworzyła.

W drzwiach stał Asher. Włosy miał w nieładzie, oczy podkrążone od picia. Jego szczękę pokrywał całodniowy zarost.

Starannie obciągnęła rękawy szlafroka.

- Muszę z panią porozmawiać.
- Tutaj? W tej chwili?
- To nie potrwa długo.
- Dobrze.

Nie była pewna, czy zaprosić go do środka, czy nie. Poznała już na tyle panujące w Anglii obyczaje, by nie mieć wątpliwości, że zaproszenie do pokoju nieżonatego mężczyzny byłoby czymś niesłychanym. Czy jednak zasady te obowiązywały również i wówczas, gdy owym mężczyzną był pan domu? No i odmowa mogłaby oznaczać, że kwestionuje czystość intencji Ashera.

Rozstrzygnął ten dylemat, odmawiając przekroczenia progu, mimo jej zapraszającego gestu.

- Nie, nie wejdę... - Był wyraźnie zmieszany. Milczał przez chwilę, a potem, ni stąd, ni zowąd, spytał: - Gdzie pani zrobiła ten tatuaż? Tego motylka?

- Na Jamajce.
- Czy to na Jamajce normalne? W przypadku córek bogobojnych ojców?
- Myślę, że oboje znamy odpowiedź na to pytanie.
- Oboje?

- Mój ojciec nie był taki, jak pan myśli.

- A zatem jaki?

W blasku świec dostrzegła złote ogniki w jego oczach.

- Doznał w życiu wielkiego zawodu. - Duma nie pozwoliła jej powiedzieć więcej.

Zastanawiała się, jak wymigać się od kolejnych pytań, ale ku jej uldze książę zmienił temat, powiedział bowiem:

- Taris wspominał mi, że gra pani dobrze w szachy. Rzadko do tej pory przegrywał. Gdzie się pani tego nauczyła?

- Na... - Ugryzła się w język. Niewiele brakowało, a tak po prostu by się wygadała. Gry w szachy też nauczyła się bowiem na „Mariposie”. - Nauczył mnie mój wujek. - Wstrzymała oddech.

- Wydawało mi się, że słyszałem muzykę dochodzącą z pani pokoju.

- Nie omylił się pan. - Wyciągnęła harmonijkę z kieszeni, z ciekawością obserwując reakcję Wellinghama.

Zdziwienie. Rozbawienie. Zainteresowanie.

- Moja rodzina panią lubi, lady Emmo. Taris i Lucinda wychwalają panią pod niebiosa. W przypadku mojego brata rzadko się zdarza, żeby był tak kimś oczarowany.

- W jakich okolicznościach utracił wzrok? - Zadała to pytanie bardzo spokojnym, ciepłym tonem, dlatego zaskoczył ją nieprzyjemny grymas na twarzy Ashera.

- Wskutek wypadku, który nie powinien był się zdarzyć. Gdyby nie... - Urwał. Opanował emocje, ale wciąż drżały mu mięśnie na policzkach.

- Nie myślę, żeby obwiniął Waszą Wysokość.

Uśmiechnął się, cofnął się nieco.

- Nie, on mnie nie obwinia.

Proste słowa, ale zabrzmiały jak krzyk rozpaczny.

- On nie, lecz pan sam się obwinia?

Nagle wszystko stało się jasne. Na przykład fakt, że nie pomagał Tarisowi w drodze do Thornfield. Nie robił tego nie dlatego, że był zły na brata za jego ułomność, lecz z poczucia winy.

Poczucie winy, choroba drażąca sumienie. Na samą myśl o tym robiło się jej słabo.

Taki skomplikowany człowiek i tak bardzo nieodporny na zranienie. Nie chciała mu okazywać litości, wiedząc, że z pewnością nie życzyłby sobie tego.

Jakby czytając w jej myślach, Asher zaczął się zbierać do odejścia.

- Jesteśmy jutro zaproszeni do Longacres na kolację z Gravesonami. Gdyby po tym, co zdarzyło się wczoraj, chciała pani odwołać naszą wizytę, nie będę miał pretensji.

- Nie, chciałabym tam pojechać.

- Jeśli będzie pani gotowa na piątą, zdążymy wrócić przed północą.

Usłyszał jakieś głosy dochodzące od strony klatki schodowej. Odwrócił się w tamtym kierunku i otulił szczelniej żakietem, gdyż na korytarzu dało się odczuć przeciąg, po czym odszedł.

Nie miała co na siebie włożyć, a do wyjazdu do Gravesonów były już tylko dwie godziny. Ze skrzywioną miną zdjęła z wieszaka ostatnią suknię, jaka jej pozostała. Nigdy nie zaprzętała sobie głowy stanem swojej garderoby, ale tę suknię trudno byłoby uznać za strój odpowiedni na jakąkolwiek uroczystą okazję, nie mówiąc już o obiedzie w towarzystwie księcia. Dałaby wiele za kreację, która nie tylko

leżałaby dobrze, lecz miała także jakiś zdecydowany kolor, nie zaś wypłówiały brąz.

A rękawiczki? Para z szarego jedwabiu, którą stale nosiła, była nie tylko poszarpana na nadgarstku, ale również przetarta na kciuku. Szwy na palcach były już tyle razy czerowane, że brakowało zapasu materiału na dalsze reperacje. Musiałyby zniekształcić fason.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Lucinda i z zatrokaną miną przyjrzała się sukni Emeraldy.

- Masz zamiar włożyć to dziś wieczorem? Muszę cię ostrzec. Annabelle przywiązuje wielką wagę do strojów.

- Boję się, że będzie mną mocno rozczarowana.

- Nie przywiązujesz znaczenia do ubioru?

- Mówisz jak twój brat.

- Asher komentował twoje stroje?

- Owszem, ale powiedziałam mu, że jestem bardziej zainteresowana książkami.

- To prawda? - Gdy Emeraldy zawahała się, Lucinda podeszła bliżej. - Wiedziałam, że to nie może być prawda. - Zatrzasnęła drzwi do garderoby. - Niczego odpowiedniego tam nie znajdziesz, Emmo. Mogę tak do ciebie mówić?

- Przyjaciele nazywają mnie Emmie.

- A zatem, Emmie, mam dla ciebie sukienkę w swoim pokoju. Zostawiła ją w Falder moja kuzynka. Jest podobnego wzrostu co ty, kolor też będzie ci odpowiadał.

- Nie miałyby mi za złe, gdybym włożyła jej suknię?

- Ani trochę. Nie jest zazdrosna, poza tym to najmiłsza osoba, jaką znam.

Godzinę później Emeraldy ledwie mogła się rozpoznać.

Stała przed sięgającym podłogi lustrem w pokoju Lucindy i wpatrywała się w swoje odbicie. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Jeszcze nigdy nie miała na sobie tak dobrze leżącej sukni. Już nie musiała się męczyć ze zwisającą talią, dodatkowymi zaszewkami, za krótkimi rękawami, uciskającym pod szyją kołnierzykiem lub zbyt głęboko wyciętym dekoltem.

Największa transformacja dokonała się jednak za sprawą koloru. Aksamitny granat, jak niebo o północy, ze srebrnoszarym połyskiem uwydatniał wcięcia figury i złoty odcień skóry Emeraldy. Nie wyglądała już mdło. Oczy nabrały blasku, a uczesane przez pokojówkę włosy po raz pierwszy nie były w nieładzie. Nawet uszy wyglądały inaczej, gdyż Lucy pożyczyła jej kolczyki z topazami, które kiedyś należały do jej babki.

- Wyglądasz cudownie! - wykrzyknęła, pomagając Emmie zapiąć kolczyki. - Ojej, masz więcej dziurek w uszach. Dlaczego?

- Taki jest zwyczaj na Jamajce.

- A rękawiczki? Czy tam nigdy nie zdejmuje się rękawiczek? - Lucy spoglądała swoimi błękitnymi oczami prosto w oczy Emeraldy.

- Nie. To mój zwyczaj. Lubię je nosić.

- Musisz zatem zrobić z tego swój znak szczególny. - Zaczęła grzebać w szufladzie komody, a po chwili wyciągnęła piękne, sięgające łokcia rękawiczki z białej koronki. - Proszę. - Zdziwiła się, że Emeraldka wcale nie zamierza od razu ich przymierzyć.

Jej zaś nie pozostawało nic innego, jak postąpić zgodnie z oczekiwaniem Lucy, dlatego zdjęła po chwili wahania sta-

re rękawiczki i szybko naciągnęła nowe. Rzuciła przy tym ukradkowe spojrzenie na Lucy.

Czy zauważyła?

Nie było wątpliwości.

- Oparzyłam się kiedyś - wyjaśniła, by uprzedzić wszelkie pytania. Była zdolna wyznać tylko tyle. Na szczęście rękawiczki były podbite kremową jedwabną podszewką, dzięki czemu czerwonawe blizny nie prześwitywały przez koronkę. Ogień pozostawił na rękach głębokie obrażenia, od których ludzie z litością lub wstrętem odwracali oczy. A przecież jej ręce paliły się nie dłużej niż minutę, zanim wpadła do morza. - Wolałabym, żebyś nikomu o tym nie opowiadała.

- Przyrzekam, nie zrobię tego.

Lucy zabrała się do porządkowania niepotrzebnych hałek i koszul.

- Czy to boli? - zapytała po chwili.

-Nie.

Emeralda zamyśliła się. Wróciła pamięcią do bitwy na wodach u wybrzeża Jamajki rok po pierwszym spotkaniu z Asherem Wellinghamem. Azziz znajdował się za jej plecami, a Solly Connors jeszcze dalej, pod nokiem rei. Poranną mgłą spowijającą „Mariposę” rozdarł nagły błysk, który pojawił się nie wiadomo skąd i urósł do przedziwnych rozmiarów. Głowa Sollyego przefrunęła obok niej, a jego ciało zawisło na dolnej linie, jak gdyby było niezależnym bytem i podjęło ostatni, instynktowny wysiłek w walce o przeżycie. Z dołu doszły ją ostrzegawcze okrzyki, ale było już za późno. Ognista kula wspięła się po maszcie i błyskawicznie ich ogarnęła. Chwilowe schronienie dała jej nasiąknięta wodą po nocnym desz-

czu płachta grota. Wyciągnęła ręce, aby się nią owinać jak całunem. Była ciężka. Nie zdołała jej złapać, nie miała najmniejszej szansy. Runęła do morza.

Gdy się ocknęła, wokół niej szalało piekło.

Po dobrym kwadransie jazdy powozem ujrzeli Thornfield. Emeraldę ucieszył ten widok. Asher prawie się do niej nie odzywał, nie komplementował jej sukni i fryzury. Zmaganie się z troskami jest przykre, pomyślała. Często też, szczególnie u kobiet i wrażliwych mężczyzn, dodatkowo owocuje poczuciem winy, którego szczerze nienawdziła. W innych okolicznościach pewnie współczułaby księciu jego duchowych cierpień, jednak tutaj, w narastających od strony przylądka Fleetness Point ciemnościach, miała ochotę dąsać się za ten karygodny brak zainteresowania jej osobą.

Z westchnieniem zmieniła pozycję i rozprostowała szeroką spódnicę sukni. Lucy prosiła, by o tym nie zapominać w czasie jazdy, gdyż suknia była uszyta z ciężkiego jedwabiu, tak bardzo podatnego na zagniecenia. W zapadającym zmierzchu jej srebrzysty połysk był wyraźniejszy. Wyglądało to tak, jakby mienił się na niej promień księżyca. Emeraldalda machinalnie przesłaniała to światło palcami, kątem oka przyglądając się Asherowi.

Siedział tak daleko od niej, jak tylko to było możliwe w ograniczonej przestrzeni powozu. Jego dłonie spoczywały bez ruchu na kolanach. Dzisiejszego wieczoru prawie na nią nie patrzył.

- Musimy zboczyć z drogi do portu, gdyż mój kreślarz w Londynie potrzebuje pewnych planów, które są na statku.

Już nie miała ochoty się dąsać.

- Wejdziemy na pokład pańskiego statku? - Starła się usilnie nadać głosowi obojętne brzmienie, ale przychodziło jej to z trudem.

- Jeśli pani chce, może pani zaczekać w powozie. Wejść tylko na moment, aby odnaleźć rysunki, i pojedziemy dalej. Annabelle zaprosiła nas na szóstą, a dopiero dochodzi wół do szóstej. Mamy dużo czasu.

- Chciałabym wejść na pokład. - Tym razem nie zdołała ukryć podniecenia.

- Proszę bardzo, choć muszę panią ostrzec, że jest tam ciasno i trudno się poruszać.

- Trudno? - Otworzyła wachlarz, aby ukryć wesołość. - Jestem pewna, że sobie poradzę, choć nie chciałabym sprawiać kłopotu...

Nie odpowiedział. Powóz skręcał do portu.

Łagodne kołysanie morza pod stopami było jak najdelikatniejsza pieszczota.

Zamknęła oczy, delektowała się i tym kołysaniem, i cudownym zapachem morza.

- Dobrze się pani czuje?

W jego głosie była troska. Po raz pierwszy tego wieczoru dotknął Emmy, podtrzymując ją za łokieć. Zakołysała się w jego stronę. Ciało zareagowało, zanim rozum zdążył ostrzec.

- Wszystko w porządku?

Była oszołomiona.

- Choroba morska czasami atakuje bardzo nieoczekiwanie - stwierdził.

- Nie, nic mi nie jest. - Najwyższym wysiłkiem woli od-

sunęła się od niego. Spojrzała dookoła. Na szczęście serce przestało już bić takim szaleńczym rytmem. - Piękny statek. - Dotknęła fału podtrzymującego dolny grot. Wszystko było takie znajome. Mogłaby z zamkniętymi oczami trzymować szot żagla.

- Ta lina pozwala spuścić żagiel. Bez niej nie można by go zwinąć.

Rozbawiło ją to wyjaśnienie, ubrane w takie proste słowa.

- Sporo pan żeglował?

- Kiedyś tak.

-A teraz już nie?

- Straciłem zainteresowanie - uciał, a potem dał jej znak, żeby podażyła za nim pod pokład. - Kajuta nawigatora jest tam - wskazał ręką. - Uwaga na stopnie.

Wszystkiemu zawiniła spódnica, doszła później do wniosku. W pośpiechu zapomniała ją unieść, przez co czubkiem pantofla zahaczyła o fałdy grubego jedwabiu i potknęła się. Asher pochwyił ją, tym razem mocniej. Czuła jego oddech na policzku, a dłoń na pośladku. Wprowadził ją do kajuty kapitańskiej, gdzie otoczyła ich ta niepowtarzalna atmosfera, na którą składały się łagodny odgłos chlupania wody o kadłub, zapach lamp naftowych i ostry aromat drewna tekowego.

Za plecami miała twarde drewniane wręgi kadłuba, przed sobą gorące ciało Ashera, naciskającego na nią coraz mocniej.

- Jak się pani to udaje? - zapytał miękko. - Jak pani to sprawia, że tak bardzo pani pragnę?

Uniosła rękę. Musnął ustami miejsce na przegubie powyżej rękawiczki. Zamarła w oczekiwaniu.

- Asher.

Nie mogła zdobyć się na nic więcej. Wsunęła palce w jego kruczoczarne włosy. Dobrze wiedziała, o czym mówił. Ona też odczuwała to pragnienie, które kłóciło się z wszelkim rozsądkiem i które popychało ją tam, gdzie nic się już nie liczyło.

Poza nim. Poza nią. Poza nimi.

Wykrzywionymi gniewnie ustami dotknął jej warg. Ręką, która wciąż tkwiła na jej pośladku, przygarnął ją do siebie tak silnie, że znalazła się między jego nogami. Jęknęła. Jego wczorajsza propozycja, a także wyobrażenia z tym związane, nie opuszczały jej przez całą noc. Nie mogła zdobyć się na to, żeby teraz powiedzieć „nie”, żeby odepchnąć go od siebie i kazać mu zostawić ją w spokoju. Wręcz przeciwnie, wtuliła się w jego objęcia i mocno przywarła do jego masywnej postaci, nie broniła się, gdy jego dłonie zamykały się na jej piersiach.

W ciemnym wnętrzu statku, wsłuchana w łagodne pluskanie wody obmywającej drewniany kadłub, nie potrafiła znaleźć słów, które mogłyby go powstrzymać. O, jakże łatwo jest kochać, gdy złe wspomnienia nie zatruwają pamięci. Dziewczyna, którą była na Jamajce, stała się kobietą, wystawioną w dalekiej Anglii na ciężką próbę.

Powiedz mi.

Pokaż mi.

Weź mnie.

- Emmo, pragnę cię.

Emeraldo.

Po raz pierwszy przeszkadzało jej, że używał imienia, które tak naprawdę nie było jej imieniem. Oczywiście Ashe-

ra były jak dwie ciemne sadzawki. Intensywność jego spojrzenia stała się nie do wytrzymania, gdy zsunął z jej ramię głęboko wyciętą suknię, pochylił głowę i językiem muskał brodawki piersi. Po chwili uniósł głowę i przypatrywał się zmarszczonym wskutek dotyku różowym obwódkom.

- Na kolacji u biskupa Learyego nie miała pani pod suknią bielizny, więc kiedy się pani schyliła... - Urwał gwałtownie.

Ona zaś doskonale zdawała sobie sprawę, że księżę panuje nad sobą resztkami sił. Nabyte maniere z trudem powstrzymywały jego potężną męską naturę przed...

Znów zaczął mówić:

- Nie będę krył, że od tamtej pory marzyłem, aby dotknąć pani piersi... - Delikatnie masował kciukiem brodawkę. - I je całować. - Dotknął wargami piegów, znajdujących się w zagłębieniu między piersiami. - Chciałem czuć smak pani opalanej skóry, skrytej pod suknią. - Zagłębił dłoń w jej dekolcie. - Co ty na to, Emmo? Pozwolisz mi?

Nie była w stanie wydobyć słowa. Czuła, że ją też unosi fala pożądania. Oddech księcia stawał się coraz szybszy, Przyjrzała się jego ustom. Były bardzo piękne, pełne i wyraźne wykrojone. Policzki pokrywał delikatny zarost, który gładziła teraz palcami...

Gdy musnął wargami jej usta, postanowiła już nie przeciwstawiać się pochłaniającej ją dzikiej, wszechogarniającej namiętności.

Jak najdalej. Jak najdalej od wszystkiego. Była kobietą. Otwartą, żywą, wolną. A on był słońcem i oceanem, błękitem nieba i ciepłem ziemi.

Znowu.

I na zawsze. Już na zawsze znajdzie schronienie przed sztormem w bezpiecznej przystani jego ciała.

Po pokładzie zadudniły czyjeś ciężkie kroki.

- Diabli nadali...

Księżę odsunął się od Emmy, która z jego pomocą szybko doprowadziła do porządku suknię.

Po schodkach schodził nieznany jej mężczyzna.

- Wasza Wysokość, wydawało mi się, że słyszałem, jak pan... - Zamilkł na widok Ashera i Emeraldy. - Nie chciałem bym przeszkadzać.

W głosie przybysza, w ocenie Emeraldy, nie było wcale zmieszania. Raczej rozbawienie.

- To Peter Drummond, stary przyjaciel, a także kapitan tego statku. Peter, poznaj lady Emmę Seaton.

- Bardzo mi przyjemnie - powiedział miękko, ogarniając spojrzeniem zmięty jedwab spódnicy Emeraldy. - Domyślałam się, że dostał pan ode mnie wiadomość?

- Wiadomość? - zdziwił się Asher.

- Z propozycją spotkania na statku. Myślałem, że dlatego...

- Przyszedłem po rysunki, które mam zabrać do Londynu. Jest jakiś problem?

-Chyba tak.

Emeralda zauważyła, że kapitan nie chce mówić w jej obecności, przeprosiła ich więc i wyszła na zalany księżycowym światłem pokład. Spod pokładu dochodził ją dźwięk rozmowy, ale znacznie głośniejsze było bicie jej serca.

Co to było? Znowu? A gdyby Peter Drummond nie przyszedł... ?

Nie mogła o tym myśleć. Nie chciała.

- Jestem córką pirata - szepnęła.

Córka pirata.

Przypomniała sobie, jak wyśmiewały się z niej dzieci w porcie Kingston Town, gdy „Mariposa” cumowała do brzegu, jak z ukosa przyglądali się jej rodzice tych dzieci.

Jej ojciec strachem utrzymywał wszystkich na dystans. Nigdy nie był uczciwy. Ona też nie jest uczciwa.

Tutaj.

Wobec Ashera.

Na moment pociemniało *jej* w oczach.

Uśmiechnęła się do księcia z przymusem, gdy pokazał się na pokładzie. Był odmieniony. Wyglądał na zmartwionego, poirytowanego, a w jego postawie było coś groźnego. W wieczornym słońcu włosy Ashera wydawały się jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj, w opalanej twarzy lśniły białą zębami, błyszcząły aksamitne oczy.

Był piękny.

Musiała to przyznać sama przed sobą. Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Odezwał się dopiero po przejechaniu dobrych paru mil. Jego głos w niczym nie przypominał tego cudownego głosu, którym do niej przemawiał w kajucie.

- Kim są ci ludzie, którzy ukrywają się w lesie?
- Nie wiem, o czym pan mówi...
- Ludzie, którzy przybyli z panią z Jamajki - przerwał jej bez ceregieli. - Czy teraz wie pani, o co pytam?
- Kto panu powiedział?
- Peter Drummond dzisiaj i Tony Formison kilka dni

temu. Jego ojciec jest właścicielem statku, na którym pani przyплыnęła, i doskonale pamięta, że zeszła pani na brzeg z Murzynem, Arabem i z czterema kuframi książek. Pamięta też, że miała pani o wiele dłuższe włosy niż teraz.

- Aha. - Zrozumiała, że nie ma sensu zaprzeczać. Postanowiła zmienić taktykę. Po trwającym mgnienie namyśle wybrała skrucę. - Oni mają baczyć, czy jestem bezpieczna.

- Bezpieczna? A kto pani zagraża? - Niby pytał, lecz doskonale znał odpowiedź, choć trudno mu było w nią uwierzyć. - No dobrze, chodzi im o pani bezpieczeństwo. Więc gdyby nas złapali w takiej sytuacji jak przed chwilą, co by się stało?

- Musieliby pana zabić.

Zaśmiał się z niedowierzaniem.

-I myśli pani, że zdołaliby to zrobić?

- Jestem pewna, że potrafi pan zadbać o siebie i umie się bronić, ale gdyby ich było dwóch, wtedy być może...

- Nieważne! - znów przerwał jej gwałtownie. - Kim oni są tak naprawdę?

- Moimi służącymi - zaryzykowała drobne kłamstwo. - Gdy wyjeżdżałam z Jamajki, uznałam, że samotna podróż może okazać się niebezpieczna. Dlatego pojechali ze mną do Londynu.

- A potem podążyli pani śladem aż tutaj?

- Tak. - Nawet dla Emeraldy zabrzmiało to niezbyt wiarygodnie.

- Dlaczego nie poprosiła pani, abym ich przyjął pod swój dach w Falder? Mogliby mieszkać w pomieszczeniach dla służby.

- Bardzo sobie cenią niezależność. Kiedy się przekorali, że jestem bezpieczna w pana domu, że jest pan dzente menem...

Przerwał jej znowu.

- Jak się pani z nimi kontaktuje?

- Daję im w nocy sygnały świeczką.

Tym razem była szczerą. Wiedziała, że kolejne kłamstwo może spowodować niepohamowany wybuch gniewu Ash^{ra}, a sytuacja była już wystarczająco groźna.

- Z okna pokoju?

- Tak.

- Czy powinienem się martwić, że mogą się okazać bardziej wprawni w myszkowaniu po moim domu niż pani - Widział, jak się zaczerwieniła się. Prawidłowo więc ocenił sytuację, był tego pewien. - Rozumiem. - Przyglądał włosy.

- Nie jest tak, jak pan myśli - zaczęła.

- To jak jest, Emmo? Proszę mi to wyjaśnić.

- Nie mogę - powiedziała po prostu. Odwróciła od niego głowę. Jej odbicie w szybie powozu było ledwie dostrzegalne. Jak miała mu wyjaśnić, kim naprawdę jest?

- Nie może pani, bo prawda wygląda tak, że jest pani oszustką, lady Emmo Seaton. Piękną oszustką, ale oszustką.

- Tak.

Przyznała się do tego, lecz nie miała zamiaru się tłumaczyć. Dziś wieczorem po prostu nie mogła powiedzieć nieprawdy. Jego pocałunki wciąż paliły jej usta ręce, szyję.

Lady oszustka.

Córka pirata.

Oba określenia były jak najbardziej prawdziwe. Nie miała żadnych kontrargumentów.

Była oszustką, a także stanie się złodziejką, jeśli tylko uda się jej odnaleźć tę przeklętą mapę. Poczuła w sercu ogromny żal. Pragnęła tylko jednego: poczuć znów ciepło warg Ashera na swoich wargach.

I znowu zaznać poczucia bezpieczeństwa, jakie jej oferował.

Tak naprawdę nigdy w swoim życiu nie czuła się w pełni bezpieczna. Na pewno od momentu, gdy opuściła ją matka, ale jakiś czas przedtem również.

Krew.

Przeciągły krzyk.

Odgłosy zaciekłych kłótni w ciepłym powietrzu Jamajki. Pochyliła głowę, aby dostrzec ulotny obraz czegoś nieuchwytnego. Nie udało się. Gdy ujrzała dom Gravesonów, ucieszyła się, bo mogła wreszcie opuścić ciasne wnętrze powozu.

Atmosfera przy kolacji była nie do wytrzymania.

Nie pomogło to, że Annabelle zadawała sobie niemało trudu, a jej syn, Rodney, świecił przykładem świetnych manier i sztuką prowadzenia konwersacji.

Asher unikał kontaktu wzrokowego z Emeraldą, a kiedy do niego dochodziło, widziała w jego oczach nieufność i rezerwę. Brakowało jej jego żartów i śmiechu. Brakowało okazji do przypadkowych dotknięć, które znowu przyprawiłyby ją o podniecający zawrót głowy.

Jaki to wszystko ma sens? Siedziała przy stole z nieznaną, owdowiałą kobietą i jej synem, próbując nadażyć za tym, o czym ten chłopak do niej mówił.

Strzelanie. Nigdy tego nie lubiła.

- Potrafię już trafić do celu oddalonego o dziesięć jardów. Często polujemy na polach należących do Falder - chwalił się.

- My, to znaczy kto?

- Pan Carisbrook i ja. Uczy mnie.

- Księżę Carisbrook cię uczy?

Asher zareagował na dźwięk swojego nazwiska.

- Czy jest w tym coś złego, lady Emmo? - zapytał lodowatym tonem, zupełnie jakby chciał jej zarzucić, że powątpiewa w jego umiejętności strzeleckie.

- Z całą pewnością nie, milordzie.

- Cieszmy się to. - Uśmiechnął się z przymusem.

Annabelle Graveson najwyraźniej nie dostrzegła żadnego napięcia. Pochyliła się do przodu i przykryła swoją dłońią dłoń Emeraldy. Na trzecim palcu miała pierścionek z brylantem wielkości sporego kamyka. Dom, biżuteria, ubrania, które nosiła, wszystko to mówiło o wielkim dostatku. Annabelle stała się bogatą kobietą po śmierci męża.

- Chciałabym sprezentować pani parę sukien, Emmo. Czy przyjmie pani ode mnie taki podarunek? - zapytała niepewnie.

- Parę sukien? - Emeraldy nie rozumiała powodu, dla którego miałyby otrzymać taki prezent.

- Na pani sezon w Londynie.

- Dziękuję, lady Annabelle, ale nie. - Pragnęła wyjaśnić dlaczego, ale nie mogła się na to zdobyć.

- Dlatego, że jestem dla pani obca? Mam nadzieję, że to się może zmienić. - Zacisnęła palce na dłoni Emeraldy.

Asher był równie zaskoczony propozycją Annabelle jak Emeraldalida.

- Lady Emma mieszka u hrabiny Haversham i niczego jej nie brak - wtrącił.

- Tak, naturalnie - zgodziła się pozornie przekonana Annabelle. - Oczywiście, że tak. A kiedy obchodzi pani urodziny, moja droga?

Pytanie było tak nieoczekiwane, że Emeraldalida zdumiona:

- Moje urodziny?

- Właśnie, urodziny. - Annabelle Graveson pokiwała głową.

- Trzeciego listopada.

Łzy wypełniły oczy Annabelle. Ocierała je chusteczką, opędzając się od syna, który chciał się nią zająć.

- Nie, Rodney, nic mi nie jest. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułam się lepiej.

Nie wyjaśniając, o co chodzi, zabrała się drżącymi rękami do krojenia tortu, nie bacząc na to, że go rujnuje.

- To niezwykli ludzie - rzuciła w przestrzeń Emeraldalida w drodze powrotnej do domu kilka godzin później. - Mili i niezwykli, to chciałam powiedzieć - kontynuowała niezrażona brakiem jakiegokolwiek odpowiedzi. - Annabelle była czymś zdenerwowana.

- Za to pani nie.

- Nie powiedziałabym.

- Proszę wymienić jeden powód pani obaw. - Gdy milczała uporczywie, książkę wybuchnął śmiechem. - Dziękuję, że przynajmniej pani nie kłamie.

- Nie okłamałam pana, kiedy opowiadałam o Jamesie.

- Wiem.

Wyjrzała za okno powozu. Chmury przesłaniające księżyc przypominały kędzierzawą główkę braciszka, gdy przypatrywała mu się, jak spał.

Dzisiaj te wspomnienia były takie bliskie. Może dlatego, że od dawna z nikim o nim nie rozmawiała. Asher Wellingham był dobrym słuchaczem.

Kim jeszcze był? Przyszłym kochankiem? Mężczyzną, któremu mogłaby bezgranicznie zaufać, którego mogłaby szanować i lubić?

Lubić? To niewiele jak na zawieruchę, która w niej szalała, ale wiszący nad nimi złowrogi cień jej ojca sprawiał, że nic poza tym nie byłoby możliwe.

Nic.

Zauważyła, jak książę ugniata palcami udo.

- Czy Wasza Wysokość ma laskę? - zadała ryzykowne pytanie.

- Laskę?

- Tak, do podpierania się. Gdyby zmniejszył pan nieco obciążenie nogi... - Momentalnie zaprzestał ugniatań, jednak Emma mówiła dalej: - Mój wuj miał laskę wystruganą z hebanu. Był ranny w kolano pod Waterloo i laska oddawała mu nieocenioną przysługę. - Boże, jak wiele aluzji może jeszcze bezpiecznie przemycić? Spróbuje czegoś nowego. Nabrała powietrza w płuca. - Kolekcjonowanie lasek to moje hobby, musi pan wiedzieć. - Nie zwracała uwagi na jego znudzoną minę. - Mam ich dwadzieścia, ze wszystkich stron świata, jeśli to pana zaciekawi.

- Fascynujące - odezwał się wreszcie.

Ton, jakiego użył, świadczył o tym, że niczego nie podejrzewał.

- To prawda, Wasza Wysokość. - Całe szczęście, że jest ciemno, pomyślała, a dobry Bóg nie każdego kłamacę posyła do piekła. - Jeśli ma pan jakieś laski w Falder, byłabym szczęśliwa, gdybym mogła je obejrzeć i dać panu jakieś wyobrażenie o ich wartości. - Poczowała, że przeholowała.

Książę nie odpowiedział, tylko wbił w nią znaczące spojrzenie.

Nie powinna już dalej ryzykować. Wiedziała, o czym książę teraz myślał, dlatego nie zaskoczyło jej następne pytanie:

- Czy to przypadkiem właśnie nie laski poszukuje pani w Falder?

- Skądże - odpowiedziała bez wahania.

W tej chwili pokazały się światła domu. Powóz zaczął zwalniać. Nie śpiesząc się, książę uniósł jej dłoń.

- Co się stało z pani rękami? Czy także stanowią część tajemnicy lady Emmy Seaton?

- Nie rozumiem.

- Doprawdy? - zapytał drwiąco. - Jeśli spojrzymy na drzewo genealogiczne rodziny Havershamów, jak jest pani na nim umiejscowiona względem Miriam?

Wyrwała mu rękę. Starła się nie stracić zimnej krwi. Boże, gdyby to zrobił...

- Jestem jej kuzynką, jak pan zapewne wie.

- A bliżej? - Jedyłą odpowiedzią było milczenie.

Światła domu zalały wnętrze powozu. Przed wejściem oczekiwał ich szpaler służby. Emeraldą była szczęśliwa, że za chwilę opuści pojazd. Nie mogła się doczekać chwili, gdy lokaj otworzy wreszcie drzwi i uwolni ją.

Ucieczka była jedynym ratunkiem.

Zbierając ręką spódnicę sukni, wydostała się na zewnątrz. Była w pułapce. Wiedziała o tym. Gdyby Asher pogrzebał głębiej w historii jej rodziny, uzyskałby potwierdzenie podejrzeń, że nie ma w niej żadnego kuzyna nazwiskiem Liam Kingston. I zorientowałby się, że Miriam miała brata, który nazywał się Beauvedere Sandford Loudon, ten zaś miał córkę Emeraldę. Nie potrzebowałby więcej, żeby domyślić się reszty.

Musi zaniechać dalszych poszukiwań w Falder i wyjechać stąd przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Mapa dawała bogactwo, ale zdemaskowanie oznaczało więzienie. Poszukiwania zakończyły się fiaskiem, więc pozostał jej tylko powrót do domu.

Ogarnęło ją poczucie niepewności.

Ruby i Miriam.

Jak teraz zapewni im bezpieczeństwo?

Asher krążył po wzgórzach nad morzem, miotając przekleństwa z powodu listu, który miał w kieszeni. Znalazł go pod drzwiami swojego pokoju, gdy pojawił się tam godzinę po świcie. Emma Seaton wyjechała.

Do Londynu?

Na Jamajkę?

Bóg wie gdzie.

Koń pod nim szalał i stawał dęba, a on uspokajał go cichym głosem, podczas gdy w nim samym wcale nie było spokoju, bo nie mógł wyrugować z pamięci wrażenia, jakie robił na nim dotyk skóry Emmy.

Pragnął jej. To było bezsprzeczne. Pragnął jej tak, jak jeszcze nigdy nie pragnął żadnej kobiety. Nawet przy Melanie nie doświadczał takich wybuchów namiętności, ta-

kiego rozpaczliwego zażenowania. I to, jak ona reagowała na jego bliskość...

- Przestań - niemal krzyknął. - To nie ma sensu.

Sam był zdumiony głębią nienawiści, która go opanowała. Emma Seaton była złodziejką i oszustką, przez co stanowiała zagrożenie dla jego rodziny. Mimo to dał jej szansę, mogła się przemóc i mu zaufać, wyznać prawdę. Obchodził się z nią nadzwyczaj łagodnie, praktycznie pozwalał na wszystko. A przecież był tu panem, na tych ziemiach to on sprawował władzę. Gdyby chodziło o kogoś innego, wyrzuciłby ją z Falder już po pierwszej nocy, gdy natknął się na nią, jak przebrana za mężczyznę stała przed portretem jego zmarłej żony.

Dlaczego więc tego nie zrobił?

Znał odpowiedź.

Bo ją podziwiał. Była zupełnie niepodobna do innych kobiet, które kiedykolwiek spotkał na swojej drodze. Wrażenie było powalające. Miał nieodpartą chęć złapać ją rękami za szyję i wytrząsnąć z niej prawdę.

Dlaczego mu nie zaufała?

Co miała do ukrycia?

Miotając głośne przekleństwa, zawrócił konia do domu.

Przy wejściu natknął się na Lucinę. Była zrozpaczona.

- Emmie wyjechała.

- Emmie?

Nigdy nie słyszał, aby siostra tak ją wcześniej nazywała.

- Jest moją przyjaciółką. Powiedziała, że tak ją nazywają przyjaciele i pozwoliła mi tak do siebie mówić, a teraz jej nie ma.

- Powiedziała ci, dlaczego wyjechała? - Z trudem hamowała rozdrażnienie.

- Nie, nie miała czasu, ale zostawiła ten list.

- Daj mi go.

Wręczyła mu niewielką kartkę papieru, na której było napisane:

Miriam i ja musimy wracać do Londynu. Dziękuję ci za pożyczenie sukni i biżuterii.

- Asher, myślę, że ona nie z własnej woli wyjechała. Podejrzewam, że byłeś na nią zły, bo przypominała ci czasy, w których potrafiłeś się śmiać i cieszyć życiem, więc wystraszyłeś ją w jakiś sposób...

- Dostyc tego!

Zabrzmiało to jak trzaśnięcie bicia. Na nieskorej do płochych lęków, a bywało, że zuchwałej Lucindzie zrobiło to wrażenie. Pobiegła w stronę schodów, zdążyła jednak przedtem wyrwać bratu list Emeraldy.

Gdy była już w bezpiecznej odległości, spojrzała zuchwale, a jakże, na Ashera i stwierdziła podniesionym głosem:

- Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego przepędziłeś ją z Falder? Ale nie możesz mi zabronić, bym widywała Emmie w Londynie. Możesz sobie jej nie cierpieć, ale ja ją lubię, i to bardzo, bo... bo jest wspaniała! Szkoda, że nie umiałeś tego docenić.

Patrzył za nią, jak wbiegała na schody, ściskając w rękę list Emeraldy. Cała jej postawa zapowiadała bunt. Życie nie doświadczyło jej, pomyślał, kierując się do biblioteki, nie zdążyło odrzec z nadziei i marzeń.

Jakże inaczej jego potraktowało.

W fotelu przy oknie siedział Taris. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Gdy zdjął okulary, by je przetrzeć, Asher zobaczył, że jego prawe oko dziwnie opalizuje.

- Emma Seaton wyjechała? - Taris powiedział to takim samym tonem jak Lucy.

Asher miał już dość tłumaczenia się. Niech sobie mają do niego pretensję, niech go obwiniają i za wyjazd Emmy, i za brzydką pogodę, i za głupią politykę rządu, w ogóle za wszystko.

Sięgnął po cygaro, potem usiadł na skórzanej kanapie naprzeciw brata. Najchętniej zaszyłby się gdzieś w samotności, niestety nie mógł sobie na to pozwolić. Był głową rodziny, kochał swych najbliższych. Choć aż go skręcało w środku, musiał wytłumaczyć bratu, co się stało.

- Dałem słowo umierającemu ojcu, że nigdy nie wystawię Falder na niebezpieczeństwo, bo tysiąc lat po naszej śmierci ta kupa kamieni i wapna wciąż tu będzie, w następnym tysiącleciu również. To kwestia wierności tradycji i odpowiedzialności.

- Co ty opowiadasz? Naprawdę uważasz, że lady Emma mogła sprowadzić niebezpieczeństwo na Falder? W jaki sposób?

- Niech ci wystarczy, że wspomnę o nocnym myszkowaniu po naszym domu i przeszukiwaniu sreber.

- Ukradła coś?

- Nic, o ile mogłem stwierdzić, ale sędzę, że szukała czegoś konkretnego, lecz jeszcze nie znalazła.

- Konkretnego? A tak dokładnie to czego?

- Bóg jeden wie, bo ja nie. Może pieniędzy, może

bizuterii. Majstrowano przy zamku szyfrowym mojego sejfów.

- Myślisz, że miała odpowiednie umiejętności, żeby się włamać do twojego sejfów? Kto ją przysłał, jak myślisz?

- Pytałem, lecz nie chciała powiedzieć.

Taris bawił się frędzlą bordowej zakładki, którą zaznaczył czytane miejsce w „Księżnej DAmalfi” Webstera.

- Asher, ona ma kłopoty. Sam to powiedziałeś.

- I uważasz, że to mnie dotyczy?

- Słyszę w twoim głosie podziw dla niej, co prowadzi mnie do wniosku, że jeśli żywisz jakąś nadzieję na posiadanie dziedzica, którego głos będzie rozbrzmiewał w tym pustym zamczysku, teraz byłby czas najwyższy, by przystąpić do działania.

Asher mruknął coś pod nosem, lecz nie odezwał się. Jakkolwiek by były jego uczucia pod adresem Emmy Seaton, obecnie nie miały znaczenia. Pożądanie? Przyjaźń? Miłość?

Ogarnęła go złość. Jakie to wszystko pogmatwane i niejasne!

-A może ty pomyślałbyś o swoim dziedzicu, co? - gniewnie odbił piłeczkę, lecz zaraz zorientował się, że zachował się bardzo niestosownie.

- Trudno złapać kobietę, kiedy się ją ledwie widzi.

- Karaiby dla obu nas nie okazały się łaskawe, Tarisie.

Serce mu się ścisnęło na widok tężejącej z żalu twarzy brata.

Dlaczego życie tak strasznie nas doświadczyło? - pomyślał książę. Blizny na plecach, choć zagojone, piekły go przez te wszystkie lata dojmującym bólem. Nie mógł wymazać z pamięci obrazów życia w pirackim gnieździe.

Wciąż słyszał brzęczenie łańcuchów, w których biegł po piaszczystej plaży do wody, wciąż miał przed oczami obraz trafionego rykoszetem w głowę Tarisa.

Jego oczy... To wtedy jego oczy...

Co za gorzka nagroda za ocalenie, które przyniósł bratu.

Wodę pokrywała czerwona piana. Asher wyciągał bolące ramiona do przodu, w stronę zielonej głębi, nad którą wisiało błękitne niebo. Dalej i dalej, ku niezmiernym przestworom oceanu, gdzie podwodne prądy były jak rwące rzeki, gdzie jedynym sposobem na przetrwanie było pokonanie własnego strachu.

Przetrwali. O włos. Spojrzał na swoją okaleczoną dłoń i zasnuła mgłą oczy Tarisa.

Wiedział, co ma zrobić.

Wiedział, że jeśli pozwoli odejść Emmie Seaton, ponieście jeszcze większą stratę.

- Jutro wyjeżdżam do Londynu zobaczyć, jak się wiedzie lady Emmie. - Skrzywił się na widok rozweselonej miny brata i napełnił sobie szklanę. Nie whisky, lecz wodą. - Nie obiecuj sobie zbyt wiele. To tylko dla uspokojenia sumienia.

- Pojadę z tobą.

- Nie byłeś w mieście od lat.

- Więc najwyższy czas, abym pojechał, nie uważasz?

- Robisz to dla niej?

- Tak, dla lady Emmy.

Asher był zdziwiony decyzją Tarisa. Zdziwiony i zmartwiony. Bał się, że niezdrowe zainteresowanie różnych plotkarzy stanem wzroku brata odbije się niekorzystnie na jego psychice. Był to na pewno problem, ale

Jego skutki można było zminimalizować przez umiejętne przygotowanie ludzi z najbliższego otoczenia. Pozostały jeszcze sprawy praktyczne związane z bywaniem w towarzystwie, ale te dadzą się rozwiązać, jeśli będzie zawsze u boku brata.

Z tych rozmyślań wyrwała go gospodyni, która krzątała się w salonie obok biblioteki.

- Sir, słyszałam, że dziś rano, podczas mojej obecności w Thornfield, lady Emma wyjechała z Falder. Chciałabym z panem zamienić kilka słów na ten temat. Czy mogę?

- Oczywiście.

Ignorując fakt, że Taris był najwyraźniej zainteresowany tym, co miała do powiedzenia pani Wilson, Asher wyszedł wraz z nią z biblioteki i udał się do swojego gabinetu.

Zazwyczaj gadatliwa gospodyni była wyraźnie zakłopotana.

- Chciałabym pana poinformować, że podczas pobytu u nas lady Emma nie korzystała w ogóle z łóżka. Nie wiem, co mam zrobić z pościelą na wypadek, gdyby miała powrócić. Czy mam ją zmienić?

- O czym pani mówi?

- Najpewniej nie odpowiadał jej materac. Spała przy otwartych na oścież drzwiach balkonowych. - Gospodyni poczerwieniała na twarzy. - Najwidoczniej lubi świeże powietrze. Słyszałam, że to bardzo zdrowo.

Jeszcze jedna zwolenniczka Emmy Seaton, pomyślał Asher. Lucy, Taris, a teraz pani Wilson.

- Lady Seaton nigdy nie wróci do Falder - oznajmił stanowczo.

- Naprawdę, Wasza Wysokość? Wielka szkoda, śmiem

rzec. Jeszcze nie mieliśmy tak miłego, tak bardzo schludnego gościa. - Naprawdę była zmartwiona. - Aha, milordzie, jeszcze coś. Co ja mam zrobić z tymi wszystkimi muszlami, których lady Emma nazbierała?

Asher nie mógł pohamować śmiechu.

Chwilę potem poszedł do pokoju Emmy. Stał w szerokich dębowych drzwiach i przekonał się na własne oczy, że pani Wilson mówiła prawdę. W pobliżu balkonowych drzwi znajdowało się coś na kształt wymoszczonego kocami legowiska, a prześcieradła leżały starannie złożone na łóżku. Nieużywane. Nieużywana też była grubo pikowana kołdra.

Emma Seaton zupełnie nie dba o wygody, pomyślał. Wyszedł na balkon. Stały tam dwa ciężkie fotele, ustawione w taki sposób, że tworzyły coś w rodzaju platformy, na której można było stanąć. Ostrożnie wspiął się na tę platformę. Za zielonymi pagórkami otworzył się widok na morze.

Morze.

Zamknął oczy. Słyszał je wyraźnie, tak jak ona musiała je słyszeć. Dobry Boże, wszystko, czego dowiadywał się o niej, wprowadzało zamęt w jego duszy. Nie była przyzwyczajona do spania w łóżku i lubiła morze. Jedy-
na rzecz, której używała, mieszkając w tym pokoju, to była świeca.

Świeca, którą porozumiewała się nocą ze swoimi ludźmi, którzy ukrywali się w lesie. Świeca, z którą przemierzała nocą jego dom w poszukiwaniu tajemniczego przedmiotu. Kłamała, oszukiwała, intrygowała, postępowała jak złodziejka.

Przygładził dłonią włosy. Mimo wszystko zrobiło mu się żal, że jej tu już nie ma.

Przy nim. Bezpiecznej, ufnej, kochającej.

Otrząsał się z tych myśli. Był za nie wściekły na siebie.

Było już późno, gdy Asher, Taris i Lucinda przyjechali do Londynu. Jack Henshaw, który oczekiwał ich przybycia w Carisbrook House, miał do zakomunikowania złą wiadomość.

- Hrabina Haversham jest chora. Lady Emma nie dopuściła do niej lekarza i sama przejęła nad nią opiekę. Godne pochwały, choć niezwykle. - Nalał sobie drinka. - Ten lekarz, Gregory Thomas, jest moim znajomym. Opowiadał mi, że widział ostatnio hrabinę w towarzystwie zwałistego, czarnego mężczyzny, który trzymał miedzianą miskę wypełnioną płonącym, słodko pachnącym olejem, a lady Emma wbijała rozgrzane w tym oleju igły w kark ciotki. Wiele osób nazwałoby to czarną magią.

Asher zaklął. Jeśli to prawda, ta szalona kobieta mogła narazić się na potępienie ze strony sfer towarzyskich. Nieco dziwaczne i niemodne ubrania to jedno, ale oskarżenie o czary, przy tym praktykowane tak otwarcie, to całkiem co innego.

- Dlaczego to robi? Dlaczego nie dba o reputację?

Odpowiedź była jedna: Emma Seaton wcale nie miała zamiaru zostać w Anglii, ponieważ przeszukiwanie Falder było tylko środkiem wiodącym do celu, nie zaś zwieńczeniem długiej wędrówki. Na końcu tej drogi był jej dom. A znajdował się na Jamajce.

Jack posiedział chwilę, potem udał się do siebie. Taris ociągał się z pójściem do sypialni. Asher wyczuł, że coś go trapi. Po chwili okazało się, że powód do zmartwienia jest inny, niż książkę się spodziewał.

- Twoją piętą achillesową jest to, że uwielbiasz trzymać wszystko pod kontrolą, Asher.

- Masz na myśli Emmę Seaton, jak się domyślam. Daruj sobie. - Był zmęczony i nie miał ochoty na utarczki z bratem.

- Ona różni się od wszystkich znanych nam kobiet. Jest silna i niezależna, zna życie, sama dba o siebie, a to wszystko zmienia. Nie ma w niej nic z tych panienek chowanych pod kloszem i pilnowanych dwadzieścia cztery godziny na dobę, a potem wystawianych podczas sezonu na małżeński targ z gwarantowanym patentem cnoty i uległości. Lady Emma z pewnością nie okaże ci wdzięczności, gdy zaczniesz wtrącać się w jej sprawy i dbać o jej reputację

- ciągnął niezrażony Taris.

- Nie sądzisz, że powinienem jej pomóc? - rzucił zirytowany Asher.

- Uważam, że nie powinieneś osądzać jej według standardów panujących w naszym społeczeństwie.

- Ponieważ w tak oczywisty sposób do nich nie przystaje?

- Nie. Ponieważ lady Emma Seaton chce działać na własną odpowiedzialność. I ma do tego prawo, podobnie jak ja. Mimo że utraciłem wzrok, czuję, jak z troską na mnie patrzysz, jak drżysz, że ktoś mógłby coś za głośno przy mnie powiedzieć i niechcący zranić moje uczucia. - Roześmiał się, złagodził ton. - Kocham cię, mój bracie, i wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć, ale... Ale przecież wiesz, o czym mówię. - Taris zadumał się na moment. - Powiedz mi, co

zamierzasz. Będziesz walczył ze wszystkimi, bo uważasz, że to należy do twoich obowiązków? Nie widzisz, co robisz? Nie widzisz, jak za wszystko się obwiniasz i za wszystkich czujesz się odpowiedzialny? A przecież to inni dokonują wyborów i sami płacą rachunki. Nie ty. Lecz ustawiłeś się w takiej pozycji, jakbyś z obowiązku miał decydować za innych i ponosić za to odpowiedzialność. Popełniasz podwójny błąd, Asher. Po pierwsze bierzesz na siebie ciężar ponad miarę, bo jakże to tak, być odpowiedzialnym za wszystkich? Po drugie zaś nie dostrzegasz, że odbierasz innym prawo decydowania o sobie i ponoszenia za te decyzje konsekwencji. A to chyba najważniejsze prawo, jakie otrzymaliśmy od losu.

- Tak, ale...

- Pozwól, niech skończę. Udałem się po ciebie na Karaiby na własną odpowiedzialność i z własnej woli, podobnie postąpiła Emma Seaton, przyjeżdżając do Londynu. Moje i jej wadzenie się ze światem, nie twoje, moje i jej rachunki wystawione przez los, nie twoje. A teraz zastanów się dobrze, Asher. To nie ty masz lać oliwę na wzburzone fale, aby ją tu akceptowano. Jeśli ona tego nie robi, to dlatego, że tego nie chce.

Książę uderzył dłonią w boazerię.

- A gdzie ona jest akceptowana? - krzyknął. - Na Jamajce! Uważasz, że ta dzika, pełna prymitywnych ludzi wyspa jest właściwym dla niej miejscem? Że będzie tam bezpieczna?

Taris nie zdołał zachować powagi.

- To coś więcej niż tylko poczucie obowiązku, prawda?

Asher zignorował ten przytyk. Z ulgą przyjął fakt, że jego, niech go diabli porwą, braciszek, wcale niezaintere-

sowany odpowiedzią na swe pytanie, bo świetnie ją znał, na co wskazywał irytujący uśmieszek - wyszedł z pokoju. Poruszał się we właściwy sobie sposób, potrącając po drodze meble.

Więcej niż poczucie obowiązku?

Więcej niż przyjaźń?

Wyobraził sobie Emmę Seaton w roli księżnej Carisbrook, bezpieczną od wszelkiej krytyki, bo osłonił ją tytuł.

Asher wiedział, że potrafiliby ochronić Emmę przed każdym.

Jednak czy ona by sobie tego życzyła?

Nie miał wątpliwości, że nie.

- Boże, pomóż mi - wyszeptał.

Co robić?

Jego wzrok padł na stojącą przy drzwiach laskę. Przypomniała mu się rozmowa w powozie podczas drogi powrotnej z Longacres. Laski. Wypytywała go o laski.

Dopiero teraz zauważył, że w rogu pokoju, przy wejściu do błękitnego salonu, znajduje się ukryty za grubą fałdą aksamitnej portiery, oparty o ścianę stojak, a w nim dwie laski. Sięgnął po jedną z nich, wykonaną z hebanu i kości słoniowej, z gałką wysadzaną drogimi kamieniami. Przypomniał sobie, skąd ją ma.

Zabrał ją z „Mariposy” po zabiciu Sandforda. Potrzebował jej, żeby odciążać chorą nogę. Czy to tej laski poszukiwała Emma Seaton? Kamienie miały pewną wartość, całość była dość pięknie rzeźbiona. Zaintrygowany przyglądał się główce i zauważył, że nie jest całkiem okrągła. W zawiłym drewnianym ornamencie dostrzegł haczyk ukryty pod hebanową krawędzią. A może Emmie zależało na tej lasce nie ze względu na jej wartość, lecz z innego powodu! Może

coś tu jest ukryte. Zahaczył paznokciem o wystającą krawędź i zdrapał warstwę wosku, która chroniła haczyk przed obluźowaniem. Usłyszał cichutki trzask i główka laski odziliła się od drewnianego korpusu, odsłaniając wydrążoną w nim skrytkę.

Jakie to dziecinnie proste! Uśmiechał się do siebie, rozprostowując pod lampą wydobyty pergamin.

Była na nim narysowana mapa. Stara mapa niewielkiej zatoczki z podanymi głębokościami oraz dokładnie oznaczonymi grotami, w których znajdowało się złoto! Opadły go wątpliwości. Jakież to użycie chciała zrobić z tej mapy taka kobieta jak Emma Seaton i skąd mogła się o niej dowiedzieć?

Schował mapę do skrytki w biurku i zasiadł do pisania.

Hałas usłyszał później, znacznie później, gdy w nieoświetlonej bibliotece wpatrywał się w dogasający na kominku ogień. Najpierw jakieś ciche skrobanie, a potem głośne uderzenie. Ktoś był w jego gabinecie.

Emma? Z bijącym z podniecenia sercem zaczął się skradać korytarzem łączącym oba pokoje. Nagle potężne uderzenie ciężkim drewnianym przedmiotem w ramię powaliło go na podłogę. Poczul pod policzkiem chłód drewnianej posadzki. W pierwszej chwili zabrakło mu tchu. Nie rozumiał, co się wokół niego dzieje.

- Gdzie jest ta cholerna mapa? - zapytał większy spośród dwóch osobników, którzy nad nim stali.

Wymawiał słowa z akcentem przypominającym akcent Emmy, z lekkim wyspiarskim zaśpiewem. Czyżby to byli jej ludzie, którzy uciekli się do przemocy, bo sprzykrzyły im się środki łagodniejszej perswazji? Oprzytomniał pod

wpływem zagrożenia i energicznym rzutem do przodu zwałił z nóg bliżej stojącego napastnika. W tym momencie ostrze noża przecięło mięśnie jego ramienia. Złorzecząc, Asher zerwał się na nogi. Nie spuszczał wzroku z napastników.

- Kim jesteście?!

Zerknął na zranioną rękę. Krew obficie ściekała po palcach na podłogę. Przeklęte ostrze musiało przeciąć tętnicę, pomyślał. Kręciło mu się w głowie, ale przytomnie przycisnął krwawiące ramię do tułowia i balansując ciałem, przygotowywał się na atak rzezimieszków.

Ruszyli jednocześnie. Nagle przypomniał sobie wszystkie umiejętności nabyte podczas walk w ciasnych spelunkach Karaibów. Niemal jednocześnie rozległ się ostry dźwięk łamanej kości, brzęk noża o posadzkę, okrzyk bólu napastników, których głowy gwałtownie się zderzyły.

- Kim jesteście, do cholery?! - wrzasnął ponownie.

Jeden z nich wyprostował się niepewnie. Nie miał już serca do walki, na dodatek dobiegł go odgłos kroków z głębi domu. Drugi musiał usłyszeć to samo, bo złapał towarzysza za ramię i obaj rzucili się do ucieczki w stronę okna. Byli już na zewnątrz, gdy Asher osunął się na podłogę.

Nad sobą ujrzał Tarisa, Lucindę i służących.

- Zwołajcie lekarza - poprosił.

Krew chlustała z rozciętego ramienia.

Oprzytomniał w łóżku. Obok siedziała zapłakana Lucinda. Pod oknem stał Taris i przyglądał mu się z zatroskanym wyrazem twarzy. Na moment znów zrobiło mu się

niedobrze, poczuł szum w uszach, zdołał jednak z powrotem skoncentrować wzrok na bracie, choć widział go dziwnie niewyraźnie. Ogarnęło go zmęczenie, takie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył.

- Co się stało? - zapytał z trudem.

- Omal nie wykrwawiłeś się na śmierć. Czekaloby cię to niechybnie, gdyby nie pojawiła się lady Emma - poinformował spokojnie Taris.

- Emma?

- Weszła akurat w momencie, gdy oboje z Lucindą zbiegaliśmy na dół, żeby sprawdzić, co za hałas dobiega z twojego gabinetu. Uratowała ci życie sama, bez niczyjej pomocy.

- Jak to? - zdumiał się.

- Ucięła nożem, który miała przy sobie, twój rękaw - wyjaśniała Lucy - i pasami oddartymi z zasłony ściśle owinęła zranione miejsce. Uniosła wysoko obandażowane ramię i lekko uciskając ranę, zahamowała krwawienie. Potem rozgrzanym mocno nożem przypaliła poszarpane brzegi. Wszystko to trwało zaledwie kilka chwil. Kiedy pojawił się doktor MacLaren, było już po wszystkim. Jedyne co zrobił, to założył ci właściwy opatrunek. No i wychwalał medyczne umiejętności Emmy

- Czy ona jest tutaj?

- Nie. Wyszła bez słowa. Zabrała z podłogi dwa noże porzucone przez napastników i wyszła.

- Chcę ją zobaczyć.

- Opuściła dom Havershamów.

Taris przysiadł na łóżku.

- Sprowadziłem tutaj jedyną służącą, jaka pozostała u nich w domu. Wyznała, że Emma i Miriam zatrzy-

mały się u jakichś przyjaciół w Londynie. Nie ma pojęcia, u kogo.

Asher próbował się unieść, ale z powrotem opadł na poduszkę. Ból ramienia promieniował na całe ciało i przyprawił go o mdłości.

- Doktor MacLaren ostrzegł, że jeśli będziesz się za dużo ruszał, dojdzie do ponownego otwarcia tętnicy i wykrwawisz się na śmieć. Kazał ci brać lekarstwo. - Lucy wyspała do szklanki z wodą zawartość niewielkiej saszetki i podała ją bratu. - To środek przeciwbólowy - wyjaśniła, widząc jego wahanie, a potem uśmiechnęła się, gdy opróżnił szklankę. - Rozstaw strażę wokół domu, Tariesie, i jeśli znajdziesz Emmę, sprowadź ją do nas. Tu będzie bezpieczna.

Asher nie miał już dłużej siły opierać się ogarniającej go sennaści, zresztą dzień chylił się ku końcowi. Musiał się jeszcze tylko upewnić, że brat usłyszał instrukcje i skrupulatnie je wykona.

- Jest niebezpiecznie. Wszystko to jest niebezpieczne.

Był zadowolony, widząc, że Tariesie pokiwał głową. Powaga, z jaką potraktował te słowa, dawała pewność, że dom będzie należycie strzeżony.

Obudził się o północy.

Na skrajku łóżka siedziała Emma. Była w męskim przebraniu. Obcisłe spodnie uwydatniały krągłość bioder. W dłoniach trzymała ostre igły. Zauważył, że jest bez rękawiczek. Natychmiast dostrzegł czerwonawe blizny na jej dłoniach, ale dzisiejszej nocy najwidoczniej jej to nie przeszkadzało.

- Nie ruszaj się - wyszeptała, a potem wbiła mu igłę w skórę poniżej łokcia, kręcąc nią dookoła osi tam i z po-

wrotem. Słaby, tępy ból promieniował aż po pachę. - To zapobiegnie infekcji - wyjaśniła.

Tuzin pozostałych igieł wbiła w ramię i klatkę piersiową Ashera. Poruszały się, odbijając migoczące światło lampy.

Chciał podnieść rękę, aby dotknąć Emmy, ale nie mógł.

- Dlaczego to robisz? - zapytał.

Przynajmniej mógł jeszcze mówić.

Cofnęła się nieco. Wyraz z troskaniem na jej twarzy pogłębił się.

Książę był zbyt słaby, żeby omawiać przebieg ostatnich wydarzeń, chciał się tylko dowiedzieć, jaki miała w nich udział Emma. Nie miał siły, żeby opowiadać jej wszystko, co mu w związku z tym przyszło do głowy.

Na przykład dlaczego chciała, żeby nie żył.

Niepewnie popatrzył na igły.

- To byli ludzie z wysp - wyjaśniła spokojnie, ale w jej głosie pobrzmiwał niepokój.

- Jest ich więcej?

- Tak.

- Chcą mnie zabić?

Nie odpowiedziała. Ujrzał nagły błysk gniewu w jej turkusowych oczach. Dzisiaj nie miały zwykłego blasku. Były jakby zadymione, dalekie.

- Nie pozwolę im.

Absurdalność tego zapewnienia rozśmieszyła go. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od momentu, w którym został ranny. Dzień? Dwa? Tydzień? Mąciło mu się w głowie i z trudem zachowywał przytomność umysłu, więc gdy nachyliła się nad nim, zebrał resztki sił i rzekł:

- Zajrzyj pod łóżko, Emmo. - Był szczęśliwy, że o nic nie pyta, tylko robi, o co ją poprosił. - Tego szukali?

Emeralda poczuła przypływ niezwyklej energii. Przed nią leżała hebanowa laska jej ojca. Bez zastanowienia położyła ją na kołdrze. Jeśli Asher nie zauważył tajemnej skrytki, będzie mogła usunąć z niej mapę, gdy zaśnie.

- Bardzo łatwo było ją otworzyć.

- Otworzyć? - Starła się, żeby zabrzmiało to tak, jakby była zdziwiona.

- Odsuń haczyk i przekręć korpus w prawo. - Miał już dość tego całego udawania.

Drżącymi rękami zrobiła, co kazał.

W środku nie było nic, poza niewielkim kawałkiem papieru skręconym w taki sposób, żeby nie zsunął się do cienkiego końca laski. Wyciągnęła go i rozprostowała.

Wzrokiem przebiegła krótkie zdanie:

Jeśli chcesz dostać to, co znajdowało się w środku laski, będziesz musiała mi zaufać.

Pod tekstem znajdowała się odcisnięta w czerwonym wosku pieczęć rodu Carisbrooków.

Szok Emeraldy był równie wielki jak zatroskanie na twarzy Ashera. Z trudnością hamowała drżenie głosu.

- Gdzie jest mapa?

- Najpierw musisz mi coś obiecać, Emmo.

Milczała. Bała się, żeby nie zawiódł jej głos. Gdzie, do licha, mógł schować tę mapę? Obrzuciła wzrokiem pokój w poszukiwaniu możliwego miejsca.

- Nie tutaj - powiedział.

- Jedyнным miejscem, w którym ją dostaniesz, jest Falder. Musisz mi obiecać, że pojedziesz tam ze mną.

- Nie mogę...

Nie dał jej dokończyć.

- Gdzie są twoi ludzie?
- Na zewnątrz.
- Zawołaj ich.
- Teraz?
- Tak, teraz.

Wyraźnie widziała jaśniejsze cętki na jego tęczęwkach, nadające jego oczom drapieżny wyraz. Uznała, że sprzeciw byłby zbyt ryzykowny, podeszła więc do okna z zapaloną świecą w ręku i dwukrotnie nią pomachała.

Zauważył, że ruchoma część okna jest uniesiona. Tędy weszła, domyślił się, i tędy miała wyjść. Gdyby czuł się silniejszy, wszystko byłoby znacznie łatwiejsze.

Do pokoju wszedł mężczyzna z nożem w zębach i dwoma pistoletami zatkniętymi za pasek, za nim wślizgnął się drugi.

Jacy z nich służący, pomyślał Asher, to przecież piraci. Miał wystarczająco często do czynienia z osobnikami w rodzaju Beau Sandforda, aby z daleka rozpoznać tych, którzy zdobywali środki do życia, czyhając na bezbronne statki na morzach. Boże, jego uporządkowany i przewidywalny świat za sekundę pogrążył się w chaosie. Zauważył wymianę spojrzeń między przybyłymi a Emmą i znowu opanowała go złość.

Wspólnota i porozumienie między tą trójką były oczywiste. Zauważyli laskę. Trudno było nie dostrzec, że zamarli w oczekiwaniu. Wszystko to było pozbawione sensu.

Zwalisty Arab ustawił się przy drzwiach. Asher miał nadzieję, że siostrze nie przyjdzie do głowy zaszczyścić go wizytą o północy. Nabrał głęboko powietrza w płuca i zabrał się do realizacji swego planu.

- Życzę sobie, aby lady Emma została tutaj. Z ciotką - dodał szybko, gdy spostrzegł, że Emeraldą ma zamiar protestować.

- Co to ma znaczyć?

Zignorował wybuch mniejszego mężczyzny i ciągnął spokojnie.

- Będzie miała zapewnione towarzystwo i ochronę.

Odpowiedzią był zimny dotyk stali, jaki poczuł na gardle, zanim zdążył coś dodać. Nie przejął się tym wcale.

- Nie zrobisz mu krzywdy - odezwała się Emma i nóż zniknął.

Nienawistny wyraz ciemnej twarzy nożownika nadal nie zrażał Ashera.

- Jeśli Wasza Wysokość za bardzo nas zdenerwuje, ostatnią rzeczą, jaką zobaczy na tym świecie, będzie ostrze mojego sztyletu.

Asher opadł na poduszkę. W głowie mu huczało, a nieustanne pulsowanie krwi w uszach sprawiało, że wszystko odbijało się w nich echem. Dlaczego po prostu nie da im tej przeklętej mapy i nie pozbędzie się ich na zawsze ze swojego życia? Dlaczego nie pozwala im odjechać na Jamajkę z tą zdobyczą?

Znał odpowiedź. Emma. Czy mu się to podobało, czy nie, byli ze sobą związani. Czuł ten węzeł prawie namacalnie. W turkusowej głębi jej oczu widział tę samą samotność, która i jemu doskwierała. Poczuł to od pierwszej chwili, od dnia, gdy ujrzał ją na balu u Jacka Henshawa. Bliskość. Przymierze. Zrozumienie.

Świadomość, że do przyjazdu do Anglii skłoniła ją głównie chciwość, nie mogła odwieść go od zamierzonego celu.

Mapa wyspy skarbów!

Zauważył, że zanim zawołała swoich ludzi, włożyła rękawiczki, jemu zaś pozwoliła oglądać rozległe blizny, które miała na dłoniach. Nie miało to sensu.

- Po co nas tu wezwano? - odezwał się po raz pierwszy mężczyzna stojący przy drzwiach. - Mogła nam to powiedzieć sama.

- Chcę, żebyście zapewnili nam ochronę w drodze do Falder. Zapłacę wam złotem, jeśli pomożecie nam znaleźć najbezpieczniejszą drogę.

- A co Wasza Wysokość będzie miał z tego?

- Spłacę dług.

Słowa te zaalarmowały Emeraldę. Czyżby pamiętał ją z „Mariposy”, a może miał na myśli incydent po balu u Jacka Henshawa? Z jego twarzy trudno było wyczytać cokolwiek. Widać na niej było tylko wyczerpanie. Przekrwione oczy mogły się kojarzyć z nadużywaniem trunków.

Asher.

Był o krok od śmierci, to więcej niż pewne. Krew wypływająca z rany na ramieniu tworzyła na podłodze kałużę. Gdy weszła, tracił świadomość, zapadał się w niebyt. Odpędziła ten obraz od siebie, podeszła do okna, przesłoniła dłonią księżyc. Nie mogła opanować drżenia palców. Wciąż.

Zdawała sobie sprawę z tego, że praktycznie nie ma wyboru. Wystarczająco dobrze знаła się na medycynie, by wiedzieć, że przynajmniej w ciągu najbliższych dni Asher nie będzie zdolny do podróży. Propozycja schronienia się u niego zasługiwała na uznanie, ale nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jak mogłaby zostać przyjęta przez jego rodzinę.

Spłaca dług.

Brzmiało to nieprzekonująco i niepokojąco, zwłaszcza w świetle odkrycia, którego dokonała, gdy zdarła z niego koszulę, by opatrzyć mu ranę. Była zdumiona tym, co ujrzała.

Blizny. Rząd srebrzystych, równoległych jak wstążki, ukośnie biegnących blizn na plecach. Wyobraziła sobie doznawany przez niego ból i jego gniew, wynikający z bezsilności. Odwróciła się od okna, gdy Azziz ruchem głowy wyrażał zgodę na propozycję Ashera. Wypuściła z płuc powietrze, nieświadoma tego, że na chwilę, w dramatycznym oczekiwaniu, wstrzymała oddech.

Będą działać zgodnie z jego instrukcjami? Będą przyjmować rozkazy od tego bladego z upływu krwi, noszącego na plecach ślady pobytu w niewoli człowieka?

Tak, będą, ponieważ mimo ran i blizn przywództwo i władza są nieodłącznym atrybutem Ashera Wellingham, wynikają w niekwestionowany sposób z siły bijącej z jego słów, z jego niepohamowanej brutalnej dzikości, zadziwiającej w obecnej scenerii. W Anglii, z jej manierami, kodeksem towarzyskim i nonsensownymi zachowaniami z tego wynikającymi.

Przez chwilę wahała się, czy nie ulec pragnieniu i nie podbiec do Ashera, by schronić się w jego opiekuńczych ramionach. Mógł ją ochronić, tak jak chronił brata, matkę i siostrę, a także dzierżawców na swojej ziemi i służbę we wszystkich swoich posiadłościach.

Lecz ona nazywa się Emeraldą Sandford i marzenia o bezpieczeństwie są nie dla niej. Gdy odzyska mapę, wsiądzie na statek płynący na Jamajkę, odnajdzie skarb i ureguluje pozostałe po ojcu długi. A potem odbuduje St Clair.

St Clair. Nie mogła nawet pomyśleć o spalonym domu bez ściśniętego serca. Wciąż nie potrafiła zapomnieć, jak ona i Ruby, skulone ze strachu, przyglądały się spod drzew płonącemu domostwu. Strzelające w niebo płomienie były widoczne na wiele mil, drobinki popiołu fruwały wokół wysuniętej w kierunku ognia ręki siostry. Ruby śmiała się, a ona płakała na tle czerwonego nieba, wyłaniającego się zza przecinki wśród drzew. W końcu, gdy nastał poranek, pod osłoną jedynej pozostałej ściany wygrzebały z rumowiska trzy garnki i na wpół zwęgloną łopatę. I jej szkatułkę z biżuterią wetkniętą za belkę stropową, która szczęśliwie uniknęła ognia. Zawsze to jakiś bufor chroniący przed niechybną nędzą.

Odpędziła wspomnienia. Dała Azzizowi i Torowi znak, żeby zaczekali na zewnątrz. Po ich wyjściu usunęła igły z ramienia Ashera. Martwiły ją cienie wokół jego oczu.

- Jest to uznana i skuteczna kuracja na Wschodzie, Emmo, ale tutaj, w Anglii, użycie takich igieł może być niewłaściwie interpretowane.

- Jak to?

- Jako czarna magia.

Absurdalność tych słów rozśmieszyła ją. Niejednokrotnie widziała dobroczynne skutki akupunktury stosowanej przez chińskiego lekarza na pokładzie „Mariposy”.

- Społeczeństwo bez zasad jest groźniejsze od społeczeństwa mającego zbyt wiele zasad. Czy słyszałaś o piracie Beau Sandfordzie?

Krew odpłynęła z jej twarzy.

- Mój ojciec go znał.

- Taki pobożny i szanowany duchowny?

- Religia uczy, że każdy człowiek zasługuje na zbawie-

nie. - Kolejne słowaomal nie uwięzły jej w krtani. - Mówiono, że to ty zabiłeś tego człowieka.

Była pewna, że tego dokonał, ale był jak najdalszy od próżnej fanfaronady. Ujrzała w jego oczach tak dojmujący ból, że nie śmiała się ani poruszyć, ani odezwać.

Co mu takiego zrobiłam? - pomyślała. Wróciły słowa, które usłyszała w nocy w ogrodach Falder: „Nie byłem na pogrzebie Melanie. Nie powinienem był opuszczać domu”.

Nie przywiązywała wagi do tych słów, sądziła po prostu, że znajdował się na którymś ze swoich statków, zdążających po ładunek towarów z zamorskich krajów. Czy możliwe, że był jakiś inny, straszniejszy powód jego nieobecności i bezsennych nocy spędzanych w bibliotece z kieliszkiem w ręku w oczekiwaniu na świt? Odwróciła się, chcąc wyjść.

- Nie idź.

Głos Ashera był słaby. Walczył o zachowanie przytomności z taką samą determinacją, z jaką zapewne walczył o wszystko inne.

- Zostaniesz, Emmo. Zawrzyjmy umowę. Obiecay, że zostaniesz.

- Muszę porozmawiać z Miriam.

- Nie, tam jest niebezpiecznie.

- Ciotka nie zrozumie, co się dzieje.

- Taris z nią porozmawia.

Na jego twarzy utworzyły się głębokie bruzdy wiodące od nosa do ust. Był wyczerpany, ale ciągle walczył, aby została. Z nim.

- Nie wypada...

- Nie wypada? - Roześmiał się, nie pozwolił jej skon-

czyć. - Czy wszystko, co było między nami, nie zasługuje na takie właśnie określenie?

Nie odpowiedziała.

Dzwonkiem, który stał na stoliku nocnym, przywołał służącą. Pot perlił się nad jego górną wargą.

- Mogę ci pomóc, jeśli cię boli.
- Nie. Tylko... obiecaj mi tylko, że zostaniesz.

Jego czarne, wilgotne od potu włosy kontrastowały z białą pościeli. Łamiącym się głosem wydawał służącej instrukcje dotyczące umieszczenia Emeraldy w jednym z pokoi gościnnych.

scandalous

Rozdział dziesiąty

Emeralda przekradła się przez kuchnię do ogrodu. W Carisbrook House mieszkała już od pięciu dni, ale od dnia przybycia ani razu nie widziała Ashera. Na wszystkie pytania o stan jego zdrowia otrzymywała wymijające odpowiedzi od służby, nigdy też nie przekazano jej zaproszenia, by go odwiedzić, więc trzymała się od jego sypialni z daleka.

Miriam dostała pokój sąsiadujący z pokojem Emeraldy. Przeziębienie, które jej doskwierało, ustępowało po kuracji przepisanej przez doktora Wellinghamów. Dzisiejszy ranek Emeraldy spędziła, czytając ciotce książkę, ale teraz potrzebowała trochę świeżego powietrza i ruchu, żeby odpędzić nudę.

Ogrody w londyńskiej posiadłości Carisbrooków, choć nie tak rozległe jak w Falder, były równie pięknie utrzymane. Szła ścieżką, żwir głośno zgrzytał pod jej nogami. Za zakrętem ujrzała Tarisa Wellinghama, który z twarzą wystawioną do słońca, z kapeluszem na kolanach siedział na szerokiej marmurowej ławce.

- Lady Emma - odezwał się, wyczuwając jej obecność.

- Wiedział pan, że to ja?
Za późno uzmysłowiła sobie niestosowność pytania.
Uśmiechnął się.
- Niedowidzenie wyostrza słuch, a pani ma bardzo charakterystyczny chód. - Przechylił na bok głowę. - Pani chodzi jak ktoś, kto nie czuje się w Anglii jak w domu. - Gdy milczała, nie wiedząc, jak zareagować na tę uwagę, dodał:
- Jeśli usiądzie pani przy mnie na chwilę, opowiem pani coś o moim bracie. - Poczekał, aż się usadowi obok niego. Gdy wreszcie zaczął mówić, wyczuła wahanie w jego głosie.
- Asher myśli, że pani potrzebuje... ochrony.
- Naprawdę? - Była mocno zaskoczona takim postawieniem sprawy.
- Podejrzewa, że ma pani jakieś kłopoty, a on należy do mężczyzn, którzy są gotowi zawsze wykonywać swoje obowiązki. Ceni takie cechy jak niezłomność, zaufanie, lojalność. Piękne zasady, zgodzi się pani?
- Tak.
- Od kiedy panią poznał, bardzo się zmienił. Jest szczęśliwszy. Niewielu bliskich ma wokół siebie po powrocie z Karaibów.
- Z Karaibów... - Nie wiedziała, do czego zmierza ta rozmowa. Czy to ostrzeżenie?
- Spędził rok w niewoli po tym, jak pirat Sandford urządził zasadzkę na jego statek na wodach wysp Turks. Gdy do Falder dotarło żądanie okupu i w końcu dowiedzieliśmy się, gdzie Asher przebywa, miał tylko jedno pragnienie. Zemścić się. Wrócił do domu, żeby wydobrzeć, odzyskać siły i po roku był tam z powrotem.
- Emeralda walczyła z narastającym poczuciem winy i łzami gromadzącymi się w oczach.

To wszystko przez

Gdy straciła Ashera do morza, aby uchronić go przed niechybną śmiercią z ręki ojca, nikt nie mógł przewidzieć, jakie z tego wynikną konsekwencje. Jedna z nich miała nastąpić za chwilę.

Zrzurowała księciu życie. Nieodwracalnie i niezaprzeczalnie.

- Emmo? - Taris delikatnie ujął jej dłoń. - Dobrze się pani czuje?

- Tak.

Wstała i uśmiechnęła się z przymusem.

Judasz. Zdrajczyni. Oszustka.

Gdyby Asher teraz ją zobaczył, domyśliłby się wszystkiego.

Wymówiła się bólem głowy, pobiegła do swojego pokoju i położyła się na kocach pod oknem. Z trudem tłumiła gwałtowny szloch.

- Moja wina... wszystko to moja wina - powtarzała jak mantrę.

Śmierć żony, blizny, ślepotą Tarisa i jego stracone lata. To wszystko przez nią, choć tego nie chciała. Wąż z Rajskiego Ogrodu.

Ona, Emeraldą Sandford.

Skradała się cichutko na koniec korytarza, potem po schodach na pierwsze piętro.

Pokój Ashera.

Nagle ogarnęła ją panika i omal nie zawróciła spod drzwi, ale odczekała chwilę, aż opuści ją strach, i delikatnie nacisnęła klamkę. Po wejściu zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. W środku było ciemno, tylko

ogień palący się na kominku w sąsiednim pokoju rzucał tańczące po ścianach cienie. Przelotny rzut oka na widoczny za oknem księżyc upewnił ją, że jest już bardzo późno. Około trzeciej nad ranem. Stała nieruchomo, żeby zorientować się w rozkładzie umeblowania, gdy nagle dobiegło do jej uszu skrzypienie pióra po pergaminie. Asher pisze coś przy biurku? Serce zaczęło jej walić, nie miała jednak zamiaru się wycofywać.

- Kto tam?

Głos dobiegał z bliska, był zachrypnięty. Nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Powinna przecież powiedzieć:

- Emerald. Córka Beau Sandforda. Judasz.

Odsuwane krzesło skrzypnęło na drewnianej posadzce i za chwilę książę pojawił się w pokoju. Poły koszuli miał wyciągnięte ze spodni, był bez krawata. Nawet w panujących w pokoju ciemnościach widoczny był gruby opatrunek pod rękawem koszuli.

Może to za wcześnie? Dopiero sześć dni po napaści.

Opuściła ramiona, rozluźniła się.

- Emma? - wyszeptał z niedowierzaniem. Skierował pytające spojrzenie ku jej dłoniom, pozbawionym osłony rękawiczek. - Co się stało?

- Oparzyłam się.

- Podczas gotowania?

Uśmiechnęła się na taką sugestię. Wiedziała, że nie powinna częstować go kolejnym kłamstwem. Mogła mu za to oferować coś zupełnie innego. Coś bardzo cennego.

Siebie.

Uniosła dłonie do szarfy podtrzymującej stanik, rozwiązała ją i po prostu wyszła z koszuli, która opadła na podłogę u jej stóp.

- Boże - szepnął Asher, wstrzymując oddech.

Pod wpływem jego zasnutego nagłym pożądaniem spojrzenia ciałem Emmy wstrząsnął dreszcz.

- Kiedyś proponowałeś mi romans, ale odrzuciłam twoją propozycję. Doszłam do wniosku, że popełniłam błąd.

Była na siebie zła, że nie potrafiła opanować drżenia głosu. Gorączkowo zastanawiała się, co teraz nastąpi. Widziała wyraźnie reakcję jego ciała, ale nie mogła się zdobyć na to, by do niego podejść i rozpiąć mu koszulę. Nie, tego nie robi. Choć zawsze pływała i spała nago, a także nie dbała o wkładanie bielizny pod suknię, miała błędne pojęcie o sposobach zadowalania mężczyzn. Jej wiedza na ten temat ograniczała się do obserwacji kobiet z portowych burdeli.

Zwilżyła usta językiem, usiłowała przypomnieć sobie jakieś mniej wyuzdane gesty kobiet lekkich obyczajów z pijackich spelunek między Savannah la Mar a Kingston. Pogładziła ręką brzuch i miejsce poniżej, delikatnie kołyszając biodrami, tak jak to robiły dziewczęta z baru „Pod Złotą Łanią”, ulubionego miejsca pijackich libacji ojca.

Co teraz?

Nagle ogarnął ją strach. Czy będzie delikatny? A może gorzej, nie zechce jej?

Asher zdążył dostrzec panikę w jej turkusowych oczach, zanim je zamknęła. Był w nich wyraz, którego nie potrafił rozszyfrować. Jaką grę teraz prowadziła? Czy chodziło o to, by ktoś ich nakrył i zmusił go do zaproponowania jej małżeństwa? Małżeństwa z kobietą, która udawała lady, zachowywała się jak dziwka, a jej ciało było cudem. Prześlizgnął wzrokiem po jej piersiach. Miała wąską talię i bardzo długie nogi, dzięki czemu poruszała się z gracją... zapierają-

ca dech w piersiach. Nawet w salonach najlepszych kurtyzan w Londynie byłaby zjawiskiem wyjątkowym. Tatuaż na piersi i blizna na udzie dodawały tylko pikanterii.

Lady Emma Seaton? Nic, co jej dotyczyło, nie składało się w żadną sensowną całość, ale przyprawiało o zawrót głowy.

Miał wielką ochotę zamknąć ją w Falder, gdzie żaden inny mężczyzna nigdy jej nie dotknie. Była jego kobietą, do cholery.

Jego kobietą?

Sama myśl o tym podniecała. Coraz silniejsza stawała się pokusa, by ulec narastającej w nim żądzy.

- Chodź.

Nie ruszył się w jej kierunku. Czekał, aż sama znajdzie się w zasięgu jego ramion. Gdy to nastąpiło, przyciągnął ją do siebie tak, by poczuła, że jej pragnie i jest gotowy. Złote loki muskały go w policzek. Zrzucił z siebie koszulę. Dotknęła lekko bandaża opatrunku.

- Boli?

Potrząsnął przecząco głową. Zdjął spodnie. Objął ją w talii i zsunął dłonie niżej.

Emeralda poczuła jego palce w miejscu, którego nigdy jeszcze nie dotykał żaden mężczyzna. Dotyk był ostrożny, gorący i świadomy.

A więc to było to.

To było to, o czym słyszała od dawna.

- Asher! - wyszeptwała, czując przeszywającą ją od środka nagły, palący ból.

Nie będzie go powstrzymywać.

To przecież zapłata.

Spłata.

Spłata ciężącego na niej długu.

Płynące z głębi serca poczucie winy nakazywało jej wytrwać tę próbę.

- Wpuść mnie, milutka.

Rozkaz był wyrażony szeptem i towarzyszył mu zdecydowany ruch. Posłuchała. W jego rozjaśnionych złocistymi iskierkami brązowych źrenicach pojawił się wyraz triumfu, zwycięstwa i dumy pomieszanej z pożądaniem.

Poczuła pod sobą miękki francuski dywan, na którym pomógł jej się położyć. Rozsunął jej uda. Nie szukał długo drogi. Znalazł ją i wtargnął do środka.

- Ja nigdy...

Dalsze jej słowa stłumił pocałunkiem w usta. Jego język naśladował łagodne, lecz nieubłagane parcie bioder. Świat wirował jej przed oczyma, nie czuła nic poza paraliżującym bólem. Nagle znieruchomiał jak rażony piorunem.

- Boże! Ty jesteś dziewicą! - Uniósł się nad nią. Kropelki potu szkliły mu się nad brwiami i górną wargą, cała twarz złagodniała, namiętność ustąpiła miejsca czułości. Bała się, żeby się nie poruszył, oplotła go więc mocno ramionami. Palcami czuła napięte mięśnie pod szramami pokrywającymi skórę pleców. - Kochanie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Zrozumiała, że ma jej to za złe, dlatego chciała się usunąć na bok.

- Nie, Emmo. Poczekaj chwilę, ból zaraz minie. - Wykonał delikatny ruch.

- Boli.

- Wiem, wiem.

Jeszcze jeden ruch. Do przodu tym razem. Wsunął rękę

pod jej pośladki i unióśł biodra. Czwała teraz jego obecność bardzo głęboko.

Pieścił pocałunkami jej twarz, szyję, uszy. Chłodny dotyk jego języka muskającego brodawki piersi sprawił, że i ją ogarnął płomień pożądania. Bezwiednie zakochała biodrami. Czekał na to. Ból nie był już dla niej taki ważny, inne doznania były istotniejsze. Chciała czuć go wyżej. Bliżej.

- Chodź ze mną - szepnął.

Jedną ręką unióśł oba jej ramiona i przytrzymując je nad jej głową, obrócił ją. Jego rytm zmienił się, jeszcze takiego nie znała. Moment bezruchu. Po nim głębszy napór. Wolną ręką trzymał ją mocno za pośladki. Teraz poruszał się rytmicznie.

Raz po raz, bez końca. Unosiły ją niekończące się fale ekstazy, jedna, druga, kolejna, na nowo i na nowo...

Wyczerpana leżała bez życia. Nie protestowała, gdy Asher otoczył ją ramionami i złożył jej głowę na swoich piersiach. W ochronnym kokonie jego objęć, wsłuchana w bicie jego serca, patrzyła w okno, za którym wiatr przeganiał chmury na tle jasnej tarczy księżyca. Miała tylko jedno życzenie, żeby czas zatrzymał się w tej właśnie chwili na zawsze.

Świat jednak gnał do przodu w tempie odmierzonym kolejnymi uderzeniami zegara. Asher zwolnił uścisk ramion i znowu poczuła gwałtowny przypływ jego pożądania.

- Wciąż cię pragnę - powiedział cicho. Jego oczy pałały namiętnością. Ich ciała pachniały miłością. - Zechcesz mnie? Znowu?

Pokiwała głową.

Oparty na łokciach nachylił się nad nią ostrożnie, żeby

jej nie przygnieść swoim ciężarem. Dotknięcie kciukiem jej piersi było jak zapytanie. Jej brodawki stwardniały w odpowiedzi.

Gdy było jej zimno, rozgrzewał ją. Gdy było jej gorąco, chłodził ją. Był nią, a ona nim, całkowicie złączeni. Nie było sekretu ciała, którego by przed sobą nawzajem nie odkryli.

Gdy skończył, uniósł ją w ramionach i delikatnie złożył na łóżku, sam położył się obok.

Gładził ją po kręconych, wilgotnych od potu włosach, i uśmiechał się radośnie. Złote światełka w jego oczach migotały wesoło. Wyglądał młodziej. Był szczęśliwy.

- Pobierzemy się zaraz po zapowiedziach. Przysięgam.

Ślub!

Dobry Boże.

Ma stanąć przed ołtarzem?

Jako kto?

Jako Emeralda Sandford?

Na szczęście nie zauważył jej zmieszania. Leżała wsłuchana w jego oddech, który wydłużał się w miarę zapadania w sen.

Ile czasu upłynie, zanim Asher zacznie składać wszystkie fakty w logiczną całość? Zamknęła oczy, ale gonitwa myśli trwała. Nie może mu wyznać całej prawdy. Był człowiekiem honoru, który poważnie traktował swoje obowiązki. Tak jest i w jej przypadku. Najwyraźniej czuł się w obowiązku ożenić z nią, bo ze sobą spali. Nie, nie dlatego. Bo wziął jej dziewictwo.

Małżeństwo.

W jej dotychczasowym otoczeniu sama myśl o tym wydawałaby się śmieszna, ale ludzie, wśród których obracał

się jej ojciec, nie wyznawali zasad moralnych, którymi kierował się Asher.

Czuła się przy nim szczęśliwa, i to właśnie było najgorsze. Pod jego opiekuńczymi skrzydłami odczuwała pokusę wyrzeczenia się swej niezależności. Bała się jednak, że jeśli uwierzy w ten cudowny sen o szczęściu, bardzo bolesne okaże się przebudzenie.

Ciągle czuła go w sobie. Miałaby się na zawsze wyrzec jego słodkich pocałunków, miałaby nigdy już nie zaznać rozpalającej do białości rozkoszy? Otarła gromadzące się w oczach łzy.

Znajdowała się w pułapce między miłością a kłamstwem, nie miała swobody ruchów. Ona, która zawsze szła przed siebie bez skrępowania, z wiatrem we włosach, słońcem za plecami i ostrym nożem w dłoni.

Teraz, gdy otworzyły się przed nią nowe horyzonty, zrozumiała, jak często bywała samotna, jakim była odludkiem. W jakiej izolacji żyła. Egzystencja w cieniu ojca nie pozostawiała miejsca na błahostki, beztroską zabawę, dziewczęcą pustotę, na miłość.

Tak, miłość.

Nagle wpadła w panikę. Miłość? Asher przecież nigdy jej nie mówił, że ją kocha. Ani razu nie wypowiedział tego słowa. Czy sama namiętność wystarczy? Czy wystarczała ojcu?

Rozbolała ją głowa. Potarła pulsujące bólem skronie. Będzie uczciwa.

Jest córką pirata i już zaczynają się szeptaki na temat jej odmienności od innych kobiet, tak jak to było na Jamajce. Nigdy nigdzie nie pasowała. Nawet na pokładzie „Mariposa”.

Niespodziewanie uderzyło ją, że w tym stwierdzeniu pobrzmiwa nieprawda.

Jest przecież miejsce, do którego pasowała doskonale! Tam było jej dobrze.

W ramionach Ashera, w atmosferze bezpieczeństwa, którą dawało jego nazwisko, w bliskości jego ciała.

Tak, po raz pierwszy w życiu nie patrzyła ani do przodu, ani wstecz, po prostu istniała w danym momencie, w tym krótkim i nietrwałym wycinku rzeczywistości, który dawał jej poczucie szczęścia.

A może rozczarowanie?

Duch ojca wciąż jej nie opuszczał, a za nim kryły się inne upiory. Każdy z nich miał na twarzy wypisane śmierć i ból.

Nie pozwoli, by zepsuły tę chwilę. Otrząsnęła się z niweczących marzenia wspomnień. Czuła emanujące od Ashera ciepło. Nie ruszał się, leniwy, zaspokojony, pełen zadowolenia. Przywarła do niego całym ciałem. Rozkoszowała się swoim szczęściem.

Obudziła się rano. Wgłębienie w pościeli, gdzie leżał, było ciągle jeszcze ciepłe. Musiał wstać przed chwilą, pomyślała i usiadła. Rozczesała palcami włosy, aby je trochę rozprostować. Co ma teraz zrobić? Ile nocy stanowi godziwą zapłatę? Wstała z łóżka. Było w strasznym nieładzie. Zauważyła z radością miskę z wodą i ręcznik, czekające na nią na toaletce. Zmoczonym ręcznikiem przetarła czoło i przejrzała się w lustrze. Twarz, którą ujrziała, odzwierciedlała wewnętrzną walkę, jaka się w niej toczyła. Między chęcią zostania z Asherem a chęcią opuszczenia go bezpowrotnie. Dzisiejszego poranka jej niebieskie spojrzenie

przesłaniał ciemnozielony cień, a głowę otaczała aureola poskręcanych, niesfornych loków.

Nie była to twarz księżnej.

Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie na oficjalnym portrecie, który na stulecia zawisłby nad kominkiem w rodzinowej siedzibie Carisbrooków. Blizna przecinająca prawą brew była lekko zaczerwieniona i wyraźnie widoczna. Dotknęła jej palcem. Jest tym, kim jest. I żeby nie wiadomo jak chciała, trudno wymazać przeszłość.

Właśnie kończyła się ubierać, gdy Asher wrócił do pokoju. Śmieszne, ale zaczerwieniła się. Jeśli to zauważył, to nie dał tego po sobie poznać. Była mu za to wdzięczna.

- Przejdiesz się ze mną? Koniecznie musimy o czymś porozmawiać.

Nie dotknął jej, gdy go wymijała w drzwiach. Trzymał się też na odległość, gdy schodzili po schodach. Na dworze, w świetle słońca, wydawał się bardziej zrelaksowany. Spacerowali między kamiennymi murkami i pokrytymi soczystą letnią zielenią drzewami, stojącymi po obu stronach ogrodu jak żołnierze na straży.

Zatrzymał się. Spojrzała mu w twarz. Brązowy kolor jego oczu był dzisiaj ciemniejszy niż zazwyczaj. Włosy miał zaczesane gładko do tyłu, wyglądały, jakby dopiero co wyszedł z kąpieli.

- Co to za ludzie mnie napadli?

Miała nadzieję, że nie będzie musiała zanadto mijać się z prawdą.

- To bracia McIlverrayowie z Kingston Town. Chodzi im oczywiście o tę mapę ukrytą w lasce. Są przekonani, że to ich własność.

- A ty wciąż uważasz, że roztropną rzeczą jest domaganie się ode mnie tej mapy? Mimo że w końcu może ci ona przynieść śmierć?

Miała ochotę roześmiać się na głos, ale nie zrobiła tego.

- Moja rodzina ma długi.

Oczy Ashera zwięziły się.

- Powiedz, ile jesteś winna, a jutro złożę odpowiednią kwotę na koncie.

Zaskoczył ją.

- Nie. - Nie mogła tak postąpić. Nie mogła wyjechać z wypchaną sakiewką po krótkim przewracaniu się z nim w pościeli. Kim by się okazała? Dziwką? Taką samą jak te, które sprzedawały swe ciała na Jamajce? - Nie mogę od ciebie wziąć pieniędzy w taki sposób.

Nie była przygotowana na to, że Asher zareaguje wybuchem śmiechu.

- A jeśli jesteś w ciąży?

- Och... - Nawet o tym nie pomyślała.

- Jeśli jesteś w ciąży, twoje dziecko będzie dzieckiem fortuny Carisbrooków. Nie chciałbym, żeby wyrastało w pogoni za iluzorycznym skarbem, w atmosferze nieokiełznanej chciwości. Obojętne, czy to będzie on, czy ona. Falder jest gotowe na przyjęcie dziecka.

- Dla dziecka zaryzykowałbyś wszystko?

Pokręcił przecząco głową. Chwytał ją za ramiona i obrócił ku sobie.

- To tobie pragnę pomóc.

- No to mi pomóż, dając tę mapę.

- A wtedy pozostanie mi tylko patrzeć, jak odjeżdżasz?

Zaczerwieniła się. Czuła jego oddech na delikatnej skórze ucha. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by wtulić się

w Ashera. Jakie to proste i niewymagające większego wysiłku. Z bijącym sercem i jękiem rozkoszy podała się pieszczocie jego ust i rąk, którymi gładził jej piersi. Nie zważała na to, że mogą być dostrzeżeni z domu. Gdyby tego zapragnął, oddałaby się mu bez wahania w świetle dnia na ogrodowej ścieżce, wśród rosnących tu kwiatów. Bez względu na konsekwencje.

Należał do niej jak żaden inny mężczyzna w całym jej życiu. W tym momencie nie liczyło się nic poza jego bliskością. Jednak on lepiej panował na emocjami.

- To nie miejsce na... Chodź ze mną.

Zaprowadził ją do altanki na końcu ogrodu. Po wejściu do środka zdjął zakiet. Miał śnieżnobiałą koszulę. Zaczął rozpinać spodnie. Uśmiechał się do Emmy. Opadające w nieładzie na czoło włosy rzucały cień na rozświetlone bursztynowym blaskiem oczy.

Był piękny. Piękny doskonałą męską urodą. Ostrożnie dotknęła palcem zarostu na policzku, a następnie pogładziła kontur jego górnej wargi.

- Nikt nas nie zobaczy?

Pokręcił głową.

- Nie. Tutaj nie.

Nagle było jej wszystko jedno. Sięgnęła do guzików pod szyją i zaczęła je powoli rozpinać. Obserwował jej ruchy. Uwolniła piersi spod batystowej i koronkowej osłony.

Uwodzicielska. Nierozważna. Nieznająca umiaru.

Uniósł jej spódnicę. Poczowała chłód powietrza na łydkach, udach i pośladkach. Przegiął jej biodra, ułatwiając sobie dostęp do wnętrza. Zacisnęła otwarte usta na rękawie jego bawełnianej koszuli, pragnąc stłumić wrywający się z gardła okrzyk.

- Spokojnie, kochanie - szepnął.

Nie zważała na jego słowa. Puściły ostatnie hamulce. Wsunęła ręce pod jego koszulę, drapała jego poznaczone bliznami plecy. Dotyk jego palców był źródłem niewypowiedzianej rozkoszy. Nie miała ochoty tego kryć. Czuła się nieskrępowana i wolna. Odchyliła głowę. Na jej twarz padał promień słońca.

Kochała go.

- Kocham cię - powiedziała.

Kocham. Kocham. Kocham.

Jeszcze nie, nie teraz, nie wtedy, kiedy on tego nie chce.

Nie w momencie, gdy zniewalająca radość obcowania z nim wynosi ją na szczyt.

Asher osunął się na podłogę altanki i pociągnął ją za sobą. Jak mogło do tego dojść? Kochał się z Emmą Seaton z intensywnością, jakiej nigdy dotychczas nie zaznał. Na dodatek niemal pod gołym niebem, w miejscu, gdzie ktoś mógł się na nich natknąć. I bez żadnego zastanowienia się nad konsekwencjami. Nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Przyciskał jej głowę do swego ramienia, aby nie mogła zobaczyć wyrazu jego twarzy.

„Kocham cię”. Słyszał wyraźnie, jak to powiedziała. Słowa te stopiły lodową pokrywę, pod którą znajdowało się jego serce, odkąd utracił żonę. Myślał, że tak już będzie zawsze.

Melanie. Łagodny podmuch wiatru nad głową wywołał uśmiech na twarzy Ashera.

- Dam na zapowiedzi, Emmo, i w przyszłym miesiącu będziemy mogli się pobrać. W kaplicy w Falder.

Uniosła zalaną łzami twarz.

- Są rzwczy, których o mnie nie wiesz. I nie chciałbyś wiedzieć.

- Powiedz, to się przekonamy.

Była w tych słowach lekka nuta rozbawienia. Rozbawienia mężczyzny, który wyobraża sobie, że chodzi o jakieś błahostki, drobne kobiece grzeszki. Nic nieznaczące rysy i niedoskonałości kobiecej natury.

Boże, dlaczego to takie trudne? Wiedziała dlaczego. Dlatego, że się zakochała w Asherze Wellinghamie. Nadzieje z tym związane były takie słodkie, ale był to przecież owoc zakazany. Utrata dziewictwa nie miała znaczenia. Ważniejsze było zaangażowanie serca. To nie dawało jej spokoju.

Powiedz mu prawdę.

Powiedz mu prawdę, domagało się serce.

Nie mogła się na to zdobyć. Bała się, że to, co teraz widzi w jego oczach, zmieni się w nienawiść.

- Wychowanie na Jamajce jest całkiem inne niż tutaj. Inne panują tam zasady. Nie takie rygorystyczne, mniej... moralne? - zawiesiła pytająco głos.

- Lecz twój ojciec był rygorystyczny?

- W niektórych sprawach tak.

W innych, na przykład gdy chodziło o pozbawienie kogoś życia, już tak rygorystyczny nie był, pomyślała.

Miała zaledwie dziesięć lat, gdy była świadkiem, jak ojciec poderżnął gardło niewolnikowi na pokładzie „Mariposy”. Nigdy nie otrzymała szansy, aby stać się kimś innym, niż była, i w tym momencie nienawidziła Beau tak bardzo, że aż ją samą to zdziwiło.

- Kiedy moja matka odeszła, zdarzyły się rzeczy, o których powinnam była się dowiedzieć... kobiece sprawy... o których nie wiedziałam... o których ciągle nie wiem.

Roześmiał się i mocniej ją przytulił.

- Nie dostrzegam jakichś rażących błędów w twoim wychowaniu, Emmo, i nie oczekuję, że moja żona osiągnie doskonałość w robótkach ręcznych, śpiewie czy grze na jakimś instrumencie. Poza tym gdybyś odebrała wychowanie tutaj, na pewno nie pływałabyś nago i nie przychodziłabyś na przyjęcie do domu biskupa bez bielizny pod suknią. Ani do mojego pokoju w nocnej koszuli ofiarować mi swoje dziewictwo. Powinienem podziękować twojemu ojcu za to, że cię tak wychował. - Zerwał pączek z najbliższej rosnącego krzaczka i zatknął go za prawe ucho Emeraldy. - Na wyspach Pacyfiku kobieta obiecana mężczyźnie nosi kwiat w tym miejscu.

Obiecana?

Dotknęła palcami delikatnych płatków i zmusiła się do uśmiechu.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz, Emeraldo? - Miriam, choć jeszcze osłabiona po chorobie, znalazła w sobie dość energii, by zbesztać Emmę. - Dziecko drogie, śpisz z nim? Grzeszysz... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co pomyśleliby o tym twoi rodzice.

- Przypuszczam, że matka by mnie zrozumiała, wszak miała szesnaście lat, gdy mnie urodziła. - Za wszelką cenę usiłowała zachować cierpliwość. Kiedy ciotka znów dostała ataku kaszlu, złagodziła głos. - Na Jamajce dwudziestojednoletnia kobieta to już niemal matrona i trudno sobie wyobrazić, by nic nie wiedziała o rozkoszach ciała.

- On musi się z tobą ożenić, dziecinko. Chyba, będąc dżentelmenem, zna swoje obowiązki...

- Obawiam się, że gdybym stanęła przed ołtarzem jako Emma Seaton, mój ślub byłby nieważny,

- Wobec tego będziesz miała nieślubne dziecko.

- Nie wiadomo, czy w ogóle jestem w ciąży.

- Udawaj zatem, że jesteś. Twoja reputacja i tak jest już zrujnowana.

- Co ciocia mówi? - Emeralda zupełnie nie mogła zrozumieć, o co chodzi Miriam. Przebiegłe spojrzenie starszki wydawało się jej dziwnie znajome.

- Nazwisko Carisbrooków ma wielką moc. Udaj, że jesteś w ciąży i wyjdź za niego za mąż. Jako Emma Seaton, jeśli inaczej się nie da. Kto się zorientuje? Jesteś młoda i zdrowa. Jeśli nie zajdziesz w ciążę w tym miesiącu, to, da Bóg, zajdziesz w następnym.

- Nie mogłabym tego zrobić...

- Wielka mi rzecz. Ojciec pozbawił cię przyszłości, ciągnąc cię na morze z egoistycznych pobudek, ale mimo pewnych braków w urodzeniu i w Wychowaniu twoje serce jest wciąż na właściwym miejscu. Księżę Carisbrook powinien być szczęśliwy, że może mieć cię za żonę.

- Szczęśliwy? W małżeństwie opartym na kłamstwie?

- Nieprawda często wynika z potrzeby i splotu okoliczności. Jeśli życie cię niczego nie nauczyło, przynajmniej to powinnaś wiedzieć.

Emeralda po raz pierwszy dostrzegła w ciotce wyraźnie podobieństwo do nieżyjącego ojca. Nerwowa, drżąca starszka na ułamek sekundy ujawniła twarz Beau. Zwodniczą, czarującą i skrajnie egoistyczną.

- To nie w porządku...

- On jest samotny, tak samo jak ty. Jeśli wierzyć plotkom, ten stan trwa od przedwczesnej śmierci żony.

- Którą ja spowodowałam! - krzyknęła Emeraldal.

Miała już tego dość. Chciała, żeby Miriam wreszcie zrozumiała jej obiekcje, niestety, doczekała się tylko wybuchu serdecznego śmiechu.

- Oj, jak ci młodzi potrafią się zadreczać! Skąd wiesz, że Melanie Wellingham i tak by nie umarła na zapalenie płuc w samym środku srogiej angielskiej zimy? Zresztą jej męża też mogłoby nie być już wśród żywych, gdyby jakiś sztorm zepchnął jego statek z bezpiecznego kursu w sam środek śmiertelnego niebezpieczeństwa. Wszystko mogło się zdarzyć, lecz wydarzyło się to, co się wydarzyło, zresztą najczęściej bez naszej woli. Życiem rządzi przypadek i z tych przypadków trzeba czerpać korzyści. Melanie Wellingham nie żyje, ale jej mąż tak. I teraz może stać się twoim mężem. Tego się trzymaj, Emmie, i tylko tego.

- To nie jest takie proste, ciociu. Gdyby księżę Wellingham nie zetknął się z naszą rodziną, mógłby teraz spokojnie sobie żyć w Falder z żoną, dziećmi i bratem, który nie utraciłby wzroku. Byłby szczęśliwym człowiekiem otoczoną rodziną, a nie samotnikiem dręczonym przez demony przeszłości. To Sandfordowie są przyczyną wszelkiego zła w jego życiu. Gdybym mu powiedziała prawdę, to jak by zareagował?

- Kochasz go?

Pominięła pytanie ciotki milczeniem.

Kochała go, sama mu już to powiedziała. I nagle zrozumiała, jak powinna postąpić. Wiedziała, że podjęła właściwą decyzję.

- Gdybym zastosowała się do twoich rad, ciociu, musiałabym do końca życia żyć w kłamstwie. Jak mój ojciec.

Wiecznie czujna, nigdy z nikim szczerą, zawsze w obawie, by nie dopadła mnie przeszłość.

Miriam westchnęła głośno.

- Nie było ci łatwo, Emmie, wiem. Powinnam była coś zrobić w swoim czasie... wykazać więcej inicjatywy... bo wiedziałam, że mój brat nie jest najłatwiejszy w codziennym pożyciu.

Emeralda kręciła głową z niedowierzaniem. Nie najłatwiejszy?

„Nienawidzę cię! Nienawidzę!”

Wciąż dźwięczały jej w uszach słowa, które tak nią wstrząsnęły, gdy była dzieckiem. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, jak silny ładunek wrogości i złej woli kryły.

Nie najłatwiejszy. Łagodnie powiedziane. Nie, nie będzie szczęśliwego zakończenia. Żadnych niewiele wartych przeprosin, żadnych obłudnych opowieści, jak to okoliczności sprawiły, że doszło do tego czy tamtego, żadnego usprawiedliwiania się i próśb o wybaczenie. Żadnych zaklęć o nowym życiu i szczęśliwej przyszłości. Zginęli ludzie, bezpowrotnie minęły lata. Jeśli czegoś nauczyły ją bliźni na dłoniach, nodze i twarzy, to tego, że ryzyko jakże często nie popłaca. Trzeba się godzić z tym, co się ma, choćby miało się bardzo niewiele, a nie stawiać wszystko na jedną kartę, jak hazardzista, bo potem może być jeszcze gorzej. Stanowczo utwierdzała się w swoim przekonaniu. Hazardem byłaby szczerść, wyznanie prawdy. Jest córką pirata, należała do pirackiej bandy, jej szpada broczyła krwią. Córką Sandforda, a Sandfordowie byli przyczyną wielu nieszczęść. Szczerść spowoduje spustoszenie wśród tych naiwnych dusz, które miały to nieszczęście, że w nią wierzyły.

Widzą młodą kobietę, którą obdarzają uczuciem, i nagle zobaczą krwawego potwora, córkę pirata, okrutnego łupieżcy, wspomagającą ojca w jego bandyckim procederze. Przynajmniej tyle może zrobić, że im tego oszczędzi. Zachowa się z godnością i opuści Anglię z podniesioną głową. Bo opuścić ją musi.

Asher przyszedł do jej pokoju po północy, gdy w całym domu panowała już cisza. Wyglądał na zmęczonego. Chciał ją przytulić, ale zrobiła unik.

Nastał więc czas pokuty? Jedna noc miłości za całe lata bólu? Nie było to całkiem w porządku, ale tak nakazywało jej dobre serce. Będzie łatwiej, jeśli ją znienawidzi. Łatwiej Asherowi.

- Poprzednia noc to był błąd. - Nawet nie usiłowała wyrazić tego subtelniej.

- Błąd?

- Jestem damą i byłą dziewicą. Nie powinienes być ze mną się kochać.

- Jak niby miałem ocenić poziom twojego doświadczenia, gdy zobaczyłem koszulę nocną opadającą do twych stóp, a w oczach zachętę godną kobiety świetnie obeznannej ze sztuką kochania.

Nie miała wątpliwości, że się z niej wyśmiewa.

-Byłam dziewicą... - powtórzyła, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Której zaproponowałem małżeństwo.

- Bo czułeś się winny? - Milczenie Ashera potwierdziło jej obawy. - Dla mnie to nie jest wystarczający powód, aby pana poślubić, Wasza Wysokość.

- Myślisz, że moja propozycja jest tym podyktowana?

- Tak myślę. Proszę się o mnie nie martwić. Wkrótce wyjadę na Jamajkę, aby obejrzeć tam pewną posiadłość, i jestem pewna, czy tu kiedykolwiek powrócę.

- A więc zachowałeś dziewictwo po to tylko, by je utracić w przelotnej i nic nieznaczącej przygodzie? Myślisz, że w to uwierzę?

Podszedł do niej. Miała wielką ochotę zaprzeczyć, z dumnie uniesioną głową przekonywać go, że się myli, ale nie mogła. Zamiast tego złożyła dłonie w jego dłoniach i oparła mu głowę na piersi, on zaś obwodził palcem zarys skrzydeł motyla wytatuowanego na jej piersi.

- Bolało?

- Nie. - Rozbawiła ją błahość pytania w świetle tego wszystkiego, co było między nimi.

- Pragnę cię, Emmo. Teraz i tutaj.

Wypowiedziane niemal bez tchu słowa obudziły w niej pożądanie. Nie myślała już o odmowie.

- Asher, tylko dzisiaj. Potem...

Położył palec na jej ustach, powstrzymując kolejne kłamstwa, które miały z nich wypłynąć. Po chwili nie pamiętała już, co chciała powiedzieć...

Gdy nastał poranek, po prostu nie potrafiła Asherowi spojrzeć w oczy po tym, co łączyło ich aż do świtu. Na samą myśl rumieniła się z podniecenia. Wciąż czuła jego usta na swoich, a w oczach czytała obietnicę czegoś więcej.

„Kocham cię”.

Znowu wypowiedziała te słowa. Kurczowo zaciskała palce na włosach Ashera, pulsowała wraz z nim w szaleńczym rytmie. Powtórzyła je raz jeszcze, gdy trwali spleceni w miłosnym uściskiu. Żadne z nich nie zmrużyło oka tej

nocy, nawet wówczas, gdy słońce zawitało do pokoju i wypełniło go dziennym światłem.

Cudowna noc, taka, którą będzie się wspominać do końca życia, nawet wówczas, gdy siwizna przyprószy głowę. Taka noc daje siły do stawienia czoła wszelkim życiowym przeciwnościom.

Opuścił jej sypialnię. Była szczęśliwa, że nie wyrzekł ani jednego słowa, które mogłoby odnosić się do ich wspólnej przyszłości.

scandalous

Rozdział jedenasty

Asher odparował cios Jacka i błyskawicznie przytknął zakończone kulką ostrze do nieosłoniętej szyi przyjaciela.

- Trafiony.

Nawet jego głos brzmiał silniej, a z twarzą oświetloną słońcem i obrazem splecionej z nim Emmy pod powiekami czuł się... niezwykły, nietykalny, nieskalany... Czuł się tak, jak nigdy dotąd od... od kiedy? Wszystko to dzięki jej wytrwałości w dążeniu do celu, jej nieugiętej woli. Promieniała dobrą energią, nasyciała nią innych. Przede wszystkim jego.

No i ta jej niezwykła skromność, brak wszelkich wymagań. Dla innych kobiet, wychowanych po to, by błyszczeć na salonach i rodzić arystokratyczne dzieci, liczyły się przede wszystkim piękne stroje, błyskotki, bywanie w świecie, pozycja towarzyska, korzystny mariaż. Emma była ponad to, czy też obok tego. Pamiętała jej niezwykle przenikliwą ocenę panien debiutantek z balu u Henshawa. Przenikliwą, dojrzałą, mądrą Emma, choć młoda, taka właśnie jest. Dlatego w życiu szuka tego, co najważniejsze, a za nic ma błyskotki. Och

na pewno ma swoje wymagania, ale w żadnym razie nie są to piękne suknie i blichtr towarzyski.

Tajemnicza, dziwna kobieta. Ekscytujący, fascynujący motyl z Karaibów.

- O czym tak dumasz, Wellingham?

- O tym, jak bardzo się zaniedbałeś. - Asher roześmiał się. - Musisz więcej ćwiczyć, Jack, jeśli nawet chory może cię pokonać...

- Co ty pleciesz, chory. Już dawno nie widziałem cię w tak doskonałej kondycji.

Asher odwrócił się od przyjaciela, gdyż miał poczucie winy. Zdarzały się teraz dni, podczas których w ogóle nie myślał o przeszłości, a nawet jeśli, to wydawała mu się bardziej odległa, mniej rzeczywista. Wszystkie jego myśli koncentrowały się na Emmie i jej śmiejących się, turkusowych oczach.

- Jutro wracam do Falder. - Wskazał na swoje ramię, wolne już od opatrunków.

- Myślisz, że mogą ponownie spróbować?

- Jeśli spróbują, tym razem będę przygotowany. Nikt mnie powtórnie nie zaskoczy. - Świsnął szpadą. - Wiem już, co mi zagraża, a to najważniejsze. Z pozostałymi problemami poradzę sobie tym. - Znów świsnął szpadą.

- Muszę teraz zająć się swoimi sprawami, ale przed końcem tygodnia dołączę do ciebie.

- Nie wiem, czy to bezpieczne.

- Nie wystraszysz mnie, przyjacielu... Czyżbyś bał się, że coś się może stać na twoich włościach? Londyn jest pełen rzezimieszków, ale Folder...

- To nie byli zwykli bandyci.

- Hm, zaraz... Chodzi o Emmę Seaton, prawda? Wszyst-

ko to zdarzyło się po jej przybyciu, a teraz ona jest pod twoimi skrzydłami. Jej ciotka też, jak mi mówiono. Uważaj, Asher, krążą na ich temat plotki.

- Plotki?

- Niektórzy uważają, że lady Emma jest łowczynią majątków. Ponoć upatrzyła sobie największą fortunę w Londynie. To zasłabnięcie na balu nie było przypadkowe. Wciąż ktoś mi o tym szeptę do ucha.

- A jak ty uważasz, Jack?

- Cóż, jeśli dzięki niej jesteś szczęśliwy, to miej w nosie wszystko, co o niej mówią. Poza tym bardzo ją lubię. Jest inna.

Po odejściu Jacka Asher pozostał jeszcze na jakiś czas w ogrodzie na tyłach domu. Zapalił mocne cygaro i zaciągając się nim głęboko, odpoczywał po popołudniowych ćwiczeniach szermierzych.

Spędzał z Emmą każdą noc od czasu, gdy po raz pierwszy pojawiła się w jego pokoju. Za każdym razem mówiła mu, że go kocha.

Kochała go. Gdyby miał więcej odwagi, odwzajemniłby się jej tym samym, ale nie mógł się na to zdobyć. Jeszcze nie. Dopóty, dopóki nie dowie się, kim ona naprawdę jest.

Machinalnie obrócił na palcu pierścionek z szafirem i zamyślił się.

Kocha go, ale nie chce wyjść za niego za męża. Dlaczego? Po przybyciu do Falder wydobędzie z niej prawdę, Londyn ze swoimi konwenansami w znacznym stopniu krępuje jego swobodę.

Co innego w nocy. Gdy zapadał zmrok, zyskiwali wolność, ale też nie marnowali czasu na poważne rozmowy...

Zdusił butem niedopałek cygara. Żałował, że nie może

do niej pójść już teraz. Spojrzał na zegarek: dopiero czwarta. Od lat bał się ciemności, a teraz oczekiwał ich z niecierpliwością. Kolejna zmiana, której w nim dokonała.

Leżeli na pokryciu zdjętym z łóżka. Ogień palący się na kominku rzucał migotliwe cienie na ściany i nadawał skórze Ashera delikatny pomarańczowy odcień. Był odwrócony tyłem do Emmy. Pod palcami wyczuwała brzegi jego blizn, niewielkie zgrubienia, jak nanizane na sznurek perełki.

Zarzykowała pytanie.

- Kiedyś na Jamajce widziałam takie szramy. Skąd je masz? - Zauważyła, że zainteresował go ten temat. - Mężczyzna, który je pokazywał, postradał zmysły podczas pobytu w niewoli u piratów na wyspie Turks u wejścia do cieśniny Silver Bank. W każdym razie miano go za szaleńca, bo zachowywał się dziwnie, jednak to, co o sobie mówił, choć przejmowało grozą i wydawało się zmyślane, nie było wcale niezbornym bełkotem. Stróże prawa nie potraktowali jego opowieści poważnie, dlatego nic w tej sprawie nie zrobiono, ale słyszałam, że kilka lat później statek jakiegoś angielskiego lorda zrównał to miejsce z ziemią, a jego mieszkańcy zostali wybici do nogi. Podobno postąpił tak w odwecie za cierpienia, jakich tam wcześniej zaznał.

- Piękna opowieść - zauważył obojętnie.

- O tobie? - zapytała równie obojętnym tonem.

- Jestem księciem, Emmo.

- Jesteś człowiekiem, który nosi sztylet w fałdach rękawa. Zauważyłam to na przyjęciu u biskupa i zastanawiałam się, dlaczego odczuwałeś potrzebę zabrania go tam ze sobą.

- Myślałem, że był dobrze ukryty - przyznał nie bez po-

dziwu dla jej spostrzegawczości. - A poza tym... - mówiąc to, wodził palcem po nierównej skórze jej uda - czasami odnoszę wrażenie, że twoje opowieści z dzieciństwa nie są za bardzo spójne. Ślad po draśnięciu szpada, niebieski tatuaż, poparzone dłonie i biegłość w chińskiej sztuce akupunktury. Prawdę powiedziawszy, twoje tajemnice najpewniej są równie mroczne jak moje.

Roześmiała się, żeby rozładować napięcie. Słyszac jej śmiech, unióśł brwi.

- Powiedziałem ci już, że potrafię cię ochronić...

Położyła palec na jego ustach, zanim dokończył.

- A ja ci już powiedziałam, że nie potrzebuję ochrony.

Ułożył się nad nią tak, że nie miała wątpliwości, jak bardzo jej pragnął.

- Przez całe życie miałem wokół siebie kobiety potrzebujące... ochrony. Matkę, Lucy, Melanie. Ale ty... jesteś inna... .. silniejsza...

Ich oczy znalazły się dokładnie naprzeciwko siebie. Zrozumiała, że musi powiedzieć mu prawdę.

- Asher, nie mogę wyjść za ciebie.

- Dlaczego?

- Ponieważ... ponieważ nie mogę.

- Ale możesz być moją kochanką?

Potwierdziła głową, zanim zdążyła się zastanowić nad konsekwencjami.

- Emmo, co noc mówisz mi, że mnie kochasz. Czasami powtarzasz to nawet przez sen.

Pojedyncza łza potoczyła się po jej policzku.

- Gdybyś tak mogła mi zaufać - wyszeptał.

Jego szept rozpląnął się w ciemnościach nocy. Czują jego usta wtulone w jej splątane włosy. Odwróciła się. Pal-

cami wymacała świeżą jeszcze, ciemnoczerwoną bliznę na przedramieniu Ashera. Memento, jak kruche w rzeczywistości jest życie, jak łatwo może zostać odebrane.

Gdyby go utraciła...

Gdyby wyrządziła szkodę jego rodzinie.

Nie, pojedzie do Falder po mapę, a potem zniknie.

scandalous

Rozdział dwunasty

Ptaki dopiero co zaczęły wyśpiewywać swoje trele w ogrodzie londyńskiego domu Carisbrooków, gdy dwa książęce powozy opuszczały miasto. Drozdy, wróble i sikorki przekrzykiwały się nawzajem, aby wreszcie skończyć unisono swój melodyjny refren. Ile w tym harmonii, myślała Emeraldal, zwłaszcza w porównaniu z rozdzierającym uszy krzykiem ptaków na Jamajce.

Miriam, Lucy, Taris, Asher i Emeraldal jechali drugim powozem. W pierwszym, zajęтым przez służbę Wellinghamów, Toro usadowił się na koźle obok woźnicy. Wychodząc z domu, Emeraldal dostrzegła broń ukrytą pod jego kurtką. Domyślała się, że Azziz, który jechał na koźle ich powozu, też jest uzbrojony. Wiedziała też, że Asher był przygotowany na najgorsze. Była zadowolona, że nie zlekceważył zagrożenia ze strony McIlverrayów i robił wszystko, by nie dać się zaskoczyć.

Siedział obok niej, czuła ciepło jego ciała. Książę nie zwracał jednak na nią specjalnej uwagi, był bowiem bez reszty zaabsorbowany podróżą. Czujność wyczierała z je-

go brązowych oczu. Na policzku nosił ślad po zacięciu się podczas porannego golenia.

- Nie jest wam chłodno?

Pytanie było skierowane do wszystkich pasażerów powozu. Zadając je, Asher unikał wzroku Emeraldy. Zasepiła się. Wczoraj wieczorem, gdy przyszedł do jej pokoju, poprosił jej bliskości, dzisiaj jednak zalegał między nimi cień niepewności, ciążyły niewypowiedziane pytania i niemożliwe do udzielenia odpowiedzi. Znacznie łatwiej było pozwolić dojść do głosu pragnieniom ciała, zwłaszcza pod osłoną ciemności nocy, w skrytości przed całym światem i tymi wszystkimi problemami, które niosło życie.

Wspomnienia nocy były jak głośny okrzyk w ograniczonej przestrzeni powozu. Spoglądając w dół, zauważyła pobielającą dłoń Ashera, ściskającą krawędź siedzenia. Chyba czuł to samo co ona. Jakże mógłby tego nie czuć? Odchrząknęła. Czowała suchość w gardle. Miała nadzieję, że nie słyszał jej bijącego w oszalałym tempie serca.

Poza Londynem było znacznie chłodniej niż w samym mieście. Mocno wiało, wczorajszy drobny deszczyk zmienił się w dudniącą ulewę. Okna powozu były zaporowane od oddechów.

Emeralda usiłowała nad ramieniem ciotki obserwować drogę. Żałowała, że nie wybrała miejsca przy oknie. Miała ukryte przy sobie trzy noże, z wielką chęcią przytroczyła by też szpadę do pasa, gdyby to było możliwe. Ale jak? Jej kształt byłby trudny do zamaskowania. Zaleta noży polegała na tym, że były bronią bardzo użyteczną, gdy można było wykorzystać element zaskoczenia.

- Chyba już całkiem wydobrzałaś, Miriam. - Lucy pochyliła się, by lepiej słyszeć odpowiedź hrabiny.

Emeralda postanowiła wykorzystać okazję, aby porozmawiać z Asherem.

- Według ciebie jak długo będziemy jechali do Wickford? - zapytała.

Mówiła o miasteczku, w którym czekał ich pierwszy postój. Mogli tam dać odpocząć koniom, napić je i sami zjeść lunch.

- Przy takiej pogodzie trzy do czterech godzin. Dłużej, jeżeli złapie nas nadchodzące od zachodu oberwanie chmury.

Nieustannie pocierał ramię. Musiało go boleć, jednak w obecności pozostałych osób Emma nie śmiała wyrazić swych obaw.

- Zauważyłem, że Azziz i Toro są uzbrojeni.

- Drogi są niebezpieczne. - Najwidoczniej mi się nie przyglądał, pomyślała.

- Potrafię cię obronić, Emmo, nie martw się.

Omali nie wybuchła śmiechem.

Miała się nie martwić, dobre sobie.

Bardzo się starała, by nie zauważył jej reakcji. Przykazała Torowi, aby przede wszystkim zadbał o bezpieczeństwo pasażerów pierwszego powozu, zanim ruszy na pomoc drugiemu, gdyby coś zdarzyło się w czasie podróży. Chociaż nie był tym zachwycony, była pewna, że zastosuje się do jej prośby. Boże, to wszystko jej wina. Modliła się, żeby te wszystkie środki ostrożności okazały się zbyteczne. Niech dobry Bóg sprawi, by bez żadnych złych przygód znaleźli się w majątku Carisbrooków.

Było już dobrze po południu, gdy zauważyła, że Asher obraca się na siedzeniu, aby dokładniej przyjrzeć się temu,

co się dzieje za oknem. Miriam spała. Jej ciche pochrapywanie zakłócało ciszę panującą w powozie. Taris też drzemał, a Lucy czytała książkę. Powieść o piratach, domyśliła się Emeraldy na podstawie tytułu i okładki.

Przyszła jej na myśl „Mariposa”, ale natychmiast odpędziła od siebie jej wspomnienie. W Anglii tamto życie nie miało żadnego znaczenia. Kilka tygodni pobytu dało jej wyobrażenie o tym, kim byłaby tutaj... kim mogłaby być, gdyby... i na krótką chwilę ogarnął ją żal, że wszystko to utraci.

Do rzeczywistości przywołało ją stukanie Ashera w dach powozu.

- Jeźdźcy z lewej strony! - krzyknął. - Nie wyglądają przyjaźnie. - Gdy otworzył okno, powiało wilgotnym, chłodnym powietrzem.

Książę wyjął z drewnianego pudła znajdującego się pod nogami brata jeden z trzech pistoletów.

Na widok broni Lucy upuściła na podłogę książkę.

- Asher, co się dzieje? - zapytał Taris.

- Oprzeć się o siedzenie i nie ruszać się. Wszyscy! - rozkazał książę.

Nie zważając na przerażenie współpasażerów, otworzył drzwi powozu, wychylił się na zewnątrz i oddał strzał. Jego huk przebił się przez stukot kopyt i turkot kół pędzącego z oszałamiającą prędkością pojazdu.

Lucy zaczęła płakać, Miriam kaszleć. Nagle świat stanął na głowie. Koła zahaczyły o pobocze i powóz runął z impetem. Przez chwilę słychać było jeszcze okrzyki kobiet, po chwili zapadła martwa cisza.

Emeralda ocknęła się na nasypie drogi całkiem blisko przewróconego powozu. Jego koła wciąż jeszcze obracały

się na tle nieba. Dotknęła ręką czoła i poczuła, że ma przeciętą skórę. Jasna krew zaplamiła palce. Wyczuła drugą ranę na głowie. Asher znajdował się w znacznej odległości od powozu. Starał się skupić uwagę jeźdźców na swojej osobie. Słyszała, jak krzyczał do nich o mapie i namawiał, by pojechali za nim. Po chwili zniknął w gęstych zaroślach. Odciągał McIlverrayów od powozu. Od nich.

Miriam i Lucy, skulone z przerażenia, leżały w pobliżu. Azziz i Taris, obaj nieprzytomni, znajdowali się na niewysokiej skarpie ciągnącej się wzdłuż drogi. Podczołgała się do nich i sprawdziła im puls. Był przyspieszony, ale regularny.

Usłyszała dochodzące z oddali odgłosy wystrzałów. Na czworakach zbliżyła się do Lucy i Miriam. Powiedziała do nich zdecydowanym tonem:

- Biegnijcie do lasu. Nie zatrzymujcie się, dopóki nie znajdziecie się w bezpiecznej odległości. Ukryjcie się i czekajcie. - Ponieważ Lucy nie reagowała, potrząsnęła nią z całej siły. - Będę was osłaniała z tyłu.

Przerażona Lucy załkała. Miriam nie odzywała się, patrzyła tylko na bratanicę szeroko otwartymi ze strachu oczami.

Przed wyruszeniem do lasu Emeralda zdążyła zabrać jeszcze szyćlet Azziza. Popędzała Lucy i Miriam tak długo, aż zniknęły w zielonych zaroślach. Dopiero wtedy mogła nieco spokojniej zastanowić się nad sytuacją. Przez polankę, na której się znajdowały, świsnęło kilka wystrzałów. Usiłowała się zorientować, skąd mogły paść. Gdzie jest Asher? W którą stronę pobiegł?

Odnalazła Miriam i Lucinę. Ciotka odzyskała już przytomność umysłu. Emeralda poleciła jej zaprowadzić Lucin-

dę głębiej w las, ale Miriam zorientowała się, o co chodzi bratanicy, i chciała temu zapobiec.

- Nigdzie nie pójdziesz. Nie ma tam nic do roboty dla żadnej z nas. Rabusie przydrożni... - Zatkała usta dłonią.

Jakieś dwadzieścia kroków od nich z zarośli wyłonił się mężczyzna. W ręku trzymał wycelowany w ich kierunku pistolet. W oczach miał wypisaną śmierć.

Emeralda bez najmniejszego wahania wyjęła nóż z buta i rzuciła go w stronę zbliżającego się mężczyzny. Rozległ się cichy odgłos uderzenia w głowę, lecz efekt był piorunujący. Napastnik bez jęku runął na ziemię.

Miriam i Lucinda patrzyły na to zdumione, ale nie było czasu na zadawanie pytań. Emeraldą wyciągnęła drugi nóż z ukrytej kieszeni i obcięła nim dół sutej spódnicy, która ograniczała jej swobodę ruchu. Bez tego obciążenia, w cienkiej halce, będzie jej znacznie łatwiej.

- Biegnijcie w głąb lasu. Miriam, nie pokazujcie się, dopóki was nie zawołam. Zatrę za wami ślady.

Ścięła gałąź z najbliższego drzewa, bacząc, żeby ślad po ścięciu nie rzucał się w oczy, potem popchnęła ciotkę i Lucindę w bezpieczną stronę. Szła za nimi, zacierając gałęzią ślady kroków. Tyle tylko mogła zrobić. Gdy już uznała, że będą bezpieczne, postanowiła odnaleźć Ashera i pomóc mu. Jeśli Toro zastosował się do otrzymanych poleceń i nie zatrzymał pierwszego powozu, Asher był osamotniony w walce z McIlverrayami.

- Boże, pomóż mu - wyszeptała.

Klucząc, wycofała się tam, gdzie leżał powalony przeciwnik. Z zachowaniem najwyższej ostrożności podążyła śladem, który pozostawił.

Asher czuł, że pot zalewa mu oczy. Mrugnął parę razy, aby odzyskać ostrość widzenia. Kilku mężczyzn było tuż za nim. Gdy znaleźli się w pobliżu rzeki, jeden z nich wskazał na prawo. W Asherze zamarło serce. Kto wie, ilu ich naprawdę mogło być, ale jeśli dopuści do tego, by tam się skierowali, Emma, Taris i Lucy, oddaleni zaledwie o kilkaset jardów, znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Byli zupełnie bezbronni. Przed opuszczeniem ich sprawdził puls Emmy i zauważył ranę na jej głowie. Była dość głęboka. Jego brat i Azziz też nie odzyskali przytomności.

Musi działać.

Bezpieczeństwo ich wszystkich zależało wyłącznie od niego.

Położył pistolet na trawie. Zdjął kapelusz, wypełnił go liśćmi i zatknął go na czubku ściętego dębczaka, żeby upozorować ludzką głowę. Podstęp dość prymitywny, ale mógł zadziałać.

Nie, musi zadziałać, poprawił się. Umocował drzewko w ziemi, po czym uskoczył w bok. Skorzystał ze zwłoki, jaką dawało mu to, że grupa zatrzymała się na chwilę. Coś do siebie mówili, śmiali się.

Stanowili łatwy cel.

Powinien po prostu eliminować jednego po drugim, aż zredukuje ich liczbę na tyle, by zyskać szansę na ostateczne zwycięstwo w bezpośrednim starciu. Miał niewiele naboji, nie mógł sobie pozwolić na niecelne strzały. Wziął do ręki otoczek z rzeki i zaczął się przymierzać do rzutu.

Bliżej. Jeszcze bliżej. Teraz spokojnie. Kamień bezszeltnie zatoczył łuk w powietrzu i uderzył w wybrany cel. O jednego mniej. Nie miał czasu, aby pomyśleć, ilu jeszcze ukrywa się w lesie. Odgłos kopyt końskich ucichł, wiatr

przyniósł dźwięk głosów. Zauważył, że przeciwnicy rozglądają się, żeby stwierdzić, czy nie ma w pobliżu jakiegoś ruchu. Rzucił kolejny kamień, trafiając w rozrośnięty krzak. Uderzenie wywołało spory hałas.

O to mu chodziło. Kapelusz zatknięty na dębowej żerdzi miał zwabić napastników, i tak też się stało, bo ruszyli w tym kierunku. Asher Miał ich teraz za sobą.

Doskonale.

Wyjął pistolet z kieszeni i wypalił. Jeden trafiony padł. Zaraz po nim kolejny. Załadował ponownie i trwał w oczekiwaniu. Miał przed sobą jeszcze trzech, ale wściekłe okrzyki dochodzące zza drzew świadczyły, że jest ich więcej.

Z lasu wyłonili się nowi napastnicy. Asher wyciągnął szpadę, uznając, że lepiej mu się przyda niż pistolet. Wycofał się w kierunku stromego brzegu rzeki, porośniętego gęstymi zaroślami. To dobrze. Jeśli będą próbowali go dopaść, w tych warunkach nie przyjdzie im to łatwo. Nie mogli ścigać go konno. Jeśli zeskoczą z siodeł, szanse będą bardziej wyrównane.

Miał do czynienia z sześcioma napastnikami.

Zdarzało mu się w przeszłości stawiać czoło większej liczbie przeciwników.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Był spokojny o wynik walki. Czekał.

- No, szybciej, szybciej - szeptał do siebie.

Miał nadzieję, że zabije paru, zanim dojdzie do bezpośredniego starcia.

Emeralda zauważyła Ashera z góry. Mimo że dzielił ich spory dystans, i tak mogła docenić mistrzowski poziom jego bitewnych umiejętności. Ostrożnie spuszczała się po po-

chyłości. Nic dziwnego, że zabił ojca, pomyślała, nic dziwnego, że na „Mariposie” siał takie spustoszenie, jakiego nikt nigdy przedtem nie widział.

To nie był angielski styl walki. Nie jakieś tam uprzejme pchnięcia, wyćwiczone w londyńskich salach fechtunku, ale umiejętności nabyte w zapomnianych przez Boga i ludzi miejscach, gdzie nie było mowy o fair play, liczyły się tylko brutalna siła i skuteczność. Nie pełna gracji szermierka, lecz totalna walka, podczas której wszystkie chwytaki są dozwolone.

Nie mogła oderwać od niego oczu. Już wyeliminował dwóch napastników, ale pozostali okrażali go coraz ściślej. Jeden z nich miał pistolet.

Nie strzelał jednak! Jest zatem nadzieja. Chcą go wziąć żywcem, gdyż zależy im na zdobyciu skarbu. Nie zdołała powstrzymać okrzyku, gdy zobaczyła, jak stalowe ostrze tnie żakiet księcia, a w rozcięciu ukazuje się krew.

Asher usłyszał krzyk i kątem oka dostrzegł biel spódnicy. Odwrócił się.

Emma? Ze szpadą w ręku i brudną chustką przewiazaną wokół jasnozłotych loków? Nagle wróciła mu pamięć. Na tle szarego angielskiego nieba dojrzał obraz, który ona bez wątpienia stale miała w pamięci.

- To ty!

Nie mógł uwierzyć.

Dziewczyna z „Mariposy”. Emma Seaton? Przyjrzał się jej uważniej, żeby się upewnić, że wzrok go nie myli. Turkusowe oczy, których spojrzenie uchwycił, pociemniały z bólu.

Nie miał czasu na rozmyślania, gdyż musiał odparować cios z prawej strony. Czy ona także podniesie broń na

niego? Boże! Czy będzie potrafił ją zabić? Bał się. Po raz pierwszy w całym swym życiu poczuł prawdziwy strach.

- Emeraldo, ty też chcesz zdobyć tę mapę, prawda? - przemówił jeden z atakujących, gestem dając znać pozostałym, aby zaprzestali na chwilę ataków.

Nie Emmo, tylko Emeraldo? Asher spojrzał w bok. Emeraldo? Co to za imię? Nagle obrazy z przeszłości ułożyły się w całość.

Emeralda!

Emeralda Sandford?

- Karl, książkę ukrył mapę Beau w Falder. Jeśli go zabijesz, nigdy jej nie dostaniesz.

Jej głos był ostry, daleki, obojętny, jak gdyby odebranie Asherowi życia było sprawą nieporównanie mniejszej wagi niż odzyskanie mapy, której zarówno ów Karl, jak i ona szukali. W bladym świetle szybko zapadającego zmierzchu krew na jej głowie była ciemnoczerwona, a pobladała twarz sprawiała, że wyglądała znacznie starszej niż na dwadzieścia jeden lat, które miała, jak wiedział.

- Kłamiesz. - Starszy mężczyzna odpowiedział błyskawicznym ciosem szpady.

Odparowała pchnięcie, unikając zranienia w nogę.

- Myślisz, że gdybym miała mapę, to jeszcze byłabym w Anglii?

Z łatwością zmusiła napastnika do opuszczenia szpady i stała w nonszalanckiej postawie, obojętna na to, co powie świat.

Jaki ojciec, taka córka.

Jak mało znaczyło dla nich życie. Jak ignorowali wszelkie konsekwencje.

Ashera ogarnęła niepohamowana, zimna wściekłość.

Melanie. Brat. Okaleczona prawa ręka, bezpowrotnie utracone lata. Wykonał nagły wypad do przodu. Pierścien wokół niego rozsypał się. Kolejny napastnik padł pod ciosem ostrego żelaza. Wybuchło piekło. W kompletnym chaosie dobiegł go cichy jak szmer głos Emmy, która zajęła obronną pozycję za jego plecami:

- Później mnie znienawidzisz, książę. Teraz przyjmij mą pomoc.

Z wielką wprawą zatopiła ostrze w najbliższym przeciwniku i stanęła do walki naprzeciw drugiego. Posługiwała się szpadą, jakby był to dla niej chleb powszedni. I tak pewnie jest, pomyślał. Nagle ogłuszył go huk wystrzału z pistoletu. W powietrzu rozniósł się drażniący zapach prochu. Błyskawicznie wyciągnął z cholewy nóż i cisnął go w kierunku strzelca, zanim ten zdołał ponownie załadować broń. Nie chybił.

Z Emmą za plecami tworzyli niebezpieczny duet. Bez trudu odbijali sztychy już tylko dwóch napastników, szykując się do końcowych ciosów. Słyszał przyspieszony oddech Emmy i szcęk żelaza uderzającego o żelazo. W pewnej chwili zakłęta. Wyraźnie słabła. Widział to choćby po sposobie, w jaki trzymała szpadę. Nie atakowała już, tylko broniła się. Dlaczego?

Zaniepokojony podjął wysiłek, by szybko zakończyć swój pojedynek. Czas naglił. Śmiertelny sztych. Po chwili drugi.

Słyszac nagłą ciszę, Emeraldą znalazła w sobie siłę, aby spojrzeć w górę. Pożałowała, że to zrobiła. Asher był w stanie furii. Silną jak imadło dłonią pochwycił jej ramię. Zabolalo. Straciła równowagę i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Kłucie w boku sprawiało, że brakowało jej

tchu. Nie śmiała spojrzeć na to miejsce, by ocenić ranę. Jeszcze nie. Nie teraz.

Pot spływał mu po twarzy. W ostatnich żółtych blaskach kończącego się dnia widziała błyszczące gniewem oczy Ashera.

- Jesteś przeklętą córką pirata? Beau Sandforda? To ty byłaś na statku...?

- Pamiętasz?

- Pamiętam. Niech cię piekło pochłonie!

- Chciałam ci to wynagrodzić. Tutaj i w Londynie. I w szpitalni. Nie widziałam innego sposobu.

Nie próbowała nawet ubrać tego wyznania w inne słowa, nie bawiła się w te eleganckie, okrągłe, salonowe zdania, których tak nienawidziła. Słowo znaczy słowo. Życie znaczy życie. Śmierć znaczy śmierć.

Czuła, że pod ubraniem ucieka z niej krew. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na białą halkę, żeby się upewnić, czy nie pojawia się na niej czerwona plama. Gdyby była sama, wiedziałaby, co zrobić. W ostatnim przypływie energii wyrwała ramię z uchwytu Ashera.

- Mój Boże - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Więc to było dla ciebie poświęceniem, kiedy szłaś ze mną do łóżka?

- Wyrównaniem rachunków. Za ojca, za mnie. Skrzywdziliśmy cię.

- Wy mnie skrzywdziliście? Na Boga, Emerald! - Wymawiał jej imię jakby z przymusem. - Emerald. Tak mam się teraz do ciebie zwracać?

- Niektórzy mówią do mnie Emmie.

- Ale nigdy Emmo? - Gdy pokiwała głową, dodał z gorczycą: - A więc wszystko było kłamstwem?

Widząc jego nieprzepartą złość, powstrzymała się od dalszych wyjaśnień.

Czy wszystko było kłamstwem?

Czy było kłamstwem to, że leżeli razem w świetle księżycy, a ona obserwowała grę światła na skórze Ashera? Czy nieprawdą były jego wargi na jej wargach? Czy to, co jest dzisiaj, unieważnia to, co było kiedyś?

Zwykłe kłamstwa?

Gdyby czuł do niej chociaż połowę tego, co ona czuła do niego, nigdy nie zadałby tego pytania. Łzy wypełniły jej oczy.

- Tak, wszystko - potwierdziła.

Dwa słowa i już po wszystkim. Była niemal szczęśliwa, że odwrócił się od niej, bo nie mogła patrzeć na nienawiść wyzierającą z jego pięknych, aksamitnych oczu.

Przyciskając kurczowo ramię do zranionego boku, podążała za nim przez las, zatrzymując się to przy jednym, to przy drugim drzewie dla nabrania oddechu. Nie czekała na nią, nie spoglądał za siebie, żeby sprawdzić, czy za nim nadaża. Była nawet z tego zadowolona. Bolało ją wszystko, a szum krwi w uszach stawał się coraz głośniejszy. Boże, co będzie, jeśli ta kula trafiła w żołądek... Potrząsnęła głową. Nie wolno jej nawet tak myśleć. Ucieszyła się na widok Azziza stojącego przy przewróconej skrzyni powozu. Rozcierał olbrzymi guz na tyle głowy. Obok niego stał Taris. Ciągle jeszcze był oszołomiony.

- Gdzie są Lucy i Miriam? - zapytał Asher, rozglądając się po przesiece.

Azziz nie odpowiedział.

- W lesie. Kazałam im się ukryć - odezwała się Emeraldalda.

Odwróciła się do niego bokiem, żeby nie mógł widzieć jej prawej strony.

- Gdzie?

- Tam.

Z powodu bólu nie mogła nawet unieść ręki, żeby wskazać kierunek. Ten ból stawał się nie do wytrzymania.

Dlaczego nie idzie ich szukać? Niech już idzie, zanim ona opadnie z sił, zanim zapadnie się w niebyt. Dłużej już nie będzie się temu opierała.

Nie ruszał się. Uniosła w milczeniu pytające spojrzenie.

- Boże! - wykrzyknął gwałtownie. - Co się z tobą dzieje?

Poczuła ciepło jego dłoni na swej wyziębionej ręce. Zacisnęła na niej palce. Z jego gniewem radziła sobie, współczucia nie potrafiła znieść. Po policzku popłynęły jej gorące łzy. Nie mogąc ich powstrzymać, ukryła twarz na jego piersi.

- Na litość boską, Emmo!

Użył znowu jej starego imienia, gdy uniosła swój żakiet i jego palce natrafiły na krwawiącą ranę. Ogarnęła ją nieprzenikniona ciemność, osunęła się w jego ramiona.

Rozdział trzynasty

Ktoś ją przytrzymuje. Nie tak mocno. Przecież to boli.

- Nie ruszaj się, Emmo!

Emmo?

Wcale tak się nie nazywa. To nie może być do niej. Twarz Ashera to zbliża się, to oddala. Nie może skupić na niej wzroku. Dostrzega zarysy pokoju. Na stole palą się świece.

Jakieś fragmenty. Jakieś obrazy. Ojciec ściera jej krew z czoła, matka stoi w kącie. Te same świece rozpraszają ciemności o północy.

- Dajcie jeszcze whisky... - dobiega ją bełkotliwy pijacki głos.

To matka.

Evangeline.

Mały aniołek.

Morderczyni.

W mgnieniu oka przypomina sobie wszystko, co wyparła z pamięci, będąc sześciolletnią dziewczynką. Przyciska do uszu poduszkę. Trzęsie się. Mocny alkohol i przeciągły krzyk. Zapach whisky unoszący się z rozbitej butelki. Od-

łamki szkła i zamroczona alkoholem twarz matki. Blisko. Za blisko. Niebezpieczna.

-Mamo!

Głos biegnie poprzez lata. Jest taka mała, bezbronna. Boi się. Nie wierzy. Musi wyjść z tego pokoju. W cień drzew otaczających St Clair. Znaleźć bezpieczne schronienie.

-Emeraldo!

Inny głos. Cichszy. Zachrypnięty. Spokojny.

Znowu Asher. Wyłania się z cienia. Jaką ma piękną, szlachetną twarz. Zapach alkoholu znika. Pojawia się inna rzeczywistość.

Falder. Są w domu.

- W domu? Jestem w domu? - szepce. Męczy ją niepokój. - Azziz i Taris?

- Azziz leży w sąsiednim pokoju. Ma trzy złamane żebra i wielki guz na głowie. Taris wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku.

- Jak długo?

Nie miała siły pytać całymi zdaniem.

- Jesteś tu od tygodnia, ale leżałaś w gorączce. Dopiero dziś rano odzyskałaś przytomność.

- Czuję się... dziwnie.

- Tak działa laudanum. Dostałaś je dla uśmierzenia bólu w boku.

Wstał, wyprostował się, przeciągnął. Miał ciemne sińce pod oczami.

- Zostań... proszę.

Ogarnął ją strach. W cieniu czaiła się szalona matka, za nią stał ojciec. Po twarzy płynęły mu łzy.

- James.

Kędzierzawa główka Jamesa. Emeraldy patrzy, jak jego

pozbawione życia ciało pochłania urodzajna ziemia pod orzechem w St Clair. Przedtem jej ojciec odczytuje monotonnym głosem modlitwę i odsyła matkę. Jak najdalej od domu. Od nich. Od mogiłki syna, którego sama pozbawiła życia.

Emeralda przełyka z wysiłkiem ślinę i walczy ze łzami wypełniającymi oczy. Jej dzieciństwo. Pasma sekretów i kłamstw. Fałsz i nienawiść. Łzy ściekają jej po policzkach, gorące na chłodnej skórze.

Utraciła wszystkich. Teraz traci Ashera.

- Zawsze cię kochałam... od spotkania na „Mariposie”... Myślałam... myślę... jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziałam.

Pogrzebała resztki dumy. Przynajmniej będzie wiedział. Głos jej załamał się, nie mogła już nic dodać.

A więc nie tylko wyrównanie rachunków.

Nic nie odpowiedział. Odwróciła się. Niech nic nie mówi. Nie tylko on, wszyscy.

Chce być sama.

Nie mogła ścierpieć, że tak trzęsie się jej broda i że nie może powstrzymać rozdzierającego szlochu. Zupełnie nad sobą nie panowała. Córka pirata, sprawczyni nieszczęść, piekłu przeznaczona, nie promieniom dnia.

Wszystko skończone. Jej tutejsze życie jest skończone. Nawet nie próbowała wyobrazić sobie, co będzie robiła dalej. Martwa samotność, aż nadejdzie śmierć.

Zegar na kominku odmierzał upływające w ciszy godziny. Asher stał nad łóżkiem Emeraldy. Jej poznaczone bliznami ręce były splecione na poduszce. Ręce ma tak samo zniszczone jak ja, pomyślał.

Oboje byli ofiarami żalostnego i przerażająco okrutnego splotu okoliczności. Przewrotny los pogał ich pełnymi bólu i strasznych wyborów ścieżkami.

Uzmysłowił to sobie ze smutkiem. Przez pięć dni słucał chaotycznych fragmentów jej wspomnień z dzieciństwa. Wspomnień, których nie należałoby życzyć nikomu, nawet największemu wrogowi, jeśli dostrzega się w nim choćby i najbardziej ułomną, ale jednak ludzką istotę. Dlaczego to wszystko spadło na Emmę? W jej wspomnieniach było i szaleństwo, i pijaństwo, i śmierć, i wreszcie... wreszcie co?

Zdmuchnął świecę i usiadł w ciemnościach. Był szczęśliwy, słysząc, że jej oddech staje się spokojniejszy. Wzruszała go jej kruchość i takie drobiazgi jak wijące się loczki nad delikatnymi małżowinami uszu. Nigdy wcześniej ich nie dostrzegał.

Na Boga! Przecież to Emeraldy Sandford. Powinien być na nią wściekły. Więcej niż wściekły. Przypomniał sobie wydarzenia sprzed pięciu lat. Bitwę morską na wodach cieśniny w pobliżu wysp Turks. Pamięć podsuwała wspomnienie jej delikatnych warg, które dotknął czubkiem palca, jej zuchwałych turkusowych oczu, ciepło tamtego dnia i chłód wody morskiej. Wzdrygnął się na to wspomnienie. Gdy tylko zorientował się, że ma do czynienia z dziewczyną, zaprzestał walki i opuścił szpadę. Zrewanżowała mu się niespodziewanym uderzeniem, dzięki któremu znalazł się za burzą.

W spienionym i zimnym morzu uczepił się beczułki, którą mu zrzuciła z pokładu. W wodzie słyszał jeszcze wściekły okrzyk jej ojca. Zamknął oczy. Dopadło go inne wspomnienie. Krążącego wokół niego stada rekinów

i czerwonego od krwi morza. Z trzydziestu marynarzy z jego statku bitwę przeżyło dziesięciu.

Tylko dziesięciu. Zanim dotarli do brzegu, było ich już tylko sześciu. On jeden przetrwał rok niewoli w pirackim gnieździe.

Emeralda Sandford.

W mroku dostrzegał zarys jej dolnej wargi. Walczył z sobą, żeby jej nie dotknąć.

Miał ochotę potrząsnąć nią i miał ochotę położyć się obok niej, osłaniać ją przed demonami przeszłości. Miał ochotę, ale nie mógł tego zrobić.

„Kocham cię”. Ile razy to powiedziała? Czy jeszcze to powtórzy? Wydarzenia z najświeższej przeszłości kazały w to wątpić.

Opuszczał jej pokój przepełniony nienawiścią do jej kruchości i do swojego nieprzejednania.

Kłamała, ciągle kłamała. Motywacją jej działania była zwykła chciwość. Miotając przekleństwa, szedł korytarzem w stronę balkonu. Uspokoił się, dopiero gdy poczuł powiew wiatru na twarzy. Świeże powietrze, takie czyste, takie zimne. Ile czasu potrzeba, aby wygasła w nim ta gwałtowna chęć zemsty, aby jego ból stępsiał, aby poczucie straty nie było tak dojmujące?

To nie nastąpi nigdy, pomyślał, i w tej samej chwili ogarnęło go wstrząsające poczucie winy.

Emeralda odzyskała przytomność nad ranem, ale leżała bez ruchu, nie chcąc budzić drzemiącej w fotelu przy łóżku służącej.

Bolało ją dosłownie wszystko, ale przynajmniej umysł miała jaśniejszy.

Już o wszystkim wiedzieli. Wiedzieli, kim jest i kim była. Asher, jego matka, Taris, Lucinda. Spojrzała na swoje dłonie. Były bez rękawiczek, wystawione na wszystkie spojrzenia. Tak jak ona. Czerwone blizny odcinały się od białej pościeli. Nie usiłowała ich już ukrywać. Zwróciła głowę ku oknu, obserwowała pierwsze różowe promienie świtu igrające na obłokach wysoko zawieszonych na bladym jeszcze niebie.

Była bezpieczna, przynajmniej na razie. Nie trafiła do więzienia w Newgate, nie odesłali jej do przytułku dla nędzarzy. Ciagle była w Falder. W swoim pokoju.

Na przeciwległej ścianie wisił portret Ashera. Spoglądał z niego swymi poważnymi oczami, w których migotały złote przebłyski. Za nim widać było skapany w ostatnich promieniach letniego słońca dom, po lewej stronie rozciągała się lśniąca tafla oceanu.

Falder.

Była tu obca, choćby nie wiadomo jak pragnęła, aby było inaczej. Intruz z obcego świata. Z brutalnego świata, w którym życie było więcej warte niż honor, w którym nie używało się takich słów jak tożsamość czy tradycja. I choć wzdrygała się przed tym, do tamtego świata będzie musiała wrócić. Bo lepsze to niż więzienie czy przytułek. Lecz cokolwiek z nią się stanie, wszędzie i zawsze będzie samotna i nieszczęśliwa.

„Kocham cię”. Powiedziała to Asherowi raz jeszcze ostatniej nocy i teraz tego żałowała.

Wszedł do pokoju. Wracał z przejażdżki. Był wciąż w zakurzonym stroju do jazdy konnej. Uśmiechnął się do niej, zamykając drzwi za wychodzącą służącą. Ma o wiele lepsze maniery ode mnie, pomyślała. Jeszcze jedna różnica.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Pokiwała głową, patrząc mu prosto w oczy. Pod fasadą dobrego wychowania wyczuwała nagromadzoną złość, nad którą potrafił jednak bardzo dobrze panować.

- Nazywasz się Emeraldą Sandford, tak?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Jesteś córką Beau Sandforda?

Kolejne potwierdzenie.

- Kto cię nauczył walki wręcz?

- Mój ojciec, Azziz, Toro. Każdy, kto miał trochę wolnego czasu na wachtach na „Mariposie”.

- To byłaś ty, prawda? To ty mnie straciłaś za burtę?

- Tak.

- Dlaczego?

- Gdybym tego nie zrobiła, mój ojciec by cię zabił. Na „Mariposie” było pięćdziesięciu ludzi i może niecały tuzin wciąż walczących z „Caroline”. - Zamilkła na chwilę. - On nikogo nie pozostawiał przy życiu. Skoro ty dałaś mi szansę, też byłam ci winna przysługę.

- Przysługę?! - W jego głosie dzwięczała wściekłość. - Ty to nazywasz przysługą? Lepiej było z miejsca odciąć mi głowę, niż skazywać na powolną śmierć w mękach, jak to zrobiłaś.

- Nie wiedziałam...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Jesteś piratem, Emeraldo. - Wymówił jej imię tak, jak gdyby sam już jego dźwięk był mu niemiły. - Zabijałaś ludzi dla zysku.

Zgroza przebijająca z tych słów była oczywista. Nie miała zamiaru zaprzeczać. Patrzyła mu prosto w oczy. Przesłość była, jaka była, i nie da się odmienić.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale przybyłam tu tylko po mapę. - Powiedziała to głosem wypranym z emocji. Nie nawidziła się za te słowa, ale nie miała zamiaru już o nic walczyć.

-I to wszystko, czego ode mnie chcesz? Nic więcej?

Co miała mu powiedzieć? Chcę, żebyś mnie pokochał? Chcę, żebyś mnie wziął w ramiona, bym czuła się w nich bezpieczna na zawsze?

Miała to już na końcu języka, ale w ostatniej chwili zdążyła uszczypnąć się w rękę. Czerwony półksiężyc - ślad paznokcia był wyraźny, gdy spojrzała na uszczygnięte miejsce.

-Tak, pragnę tylko mapy - powtórzyła tym razem z większym przekonaniem. - To wszystko, czego od ciebie oczekuję.

Pokiwał głową. Stał nad nią z rękami w kieszeniach, z rozstawionymi nogami, jak marynarz na pokładzie statku w czasie sztormowej pogody. Odległy. Samotny. Nieobecny.

- Poleciałem wszystkim domownikom, aby trzymali w tajemnicy twoją tożsamość. Przynajmniej więc na razie jesteś bezpieczna. Gdy poczujesz się lepiej, wolałbym, abyś nie wychodziła z pokoju sama, bez towarzystwa.

- Obawiasz się, że mogę zagrozić twojej rodzinie?

Ból przeszył jej serce, gdy spojrzał na nią obojętnym, pozbawionym wszelkiego uczucia wzrokiem.

- Zapewnię ci powrót na Jamajkę, kiedy tylko tego chcesz. Moim statkiem, który stoi w Thornfield.

Zdobyła się na skinienie głową. Przepelniający ją smutek nie pozwolił wydobyć głosu z gardła.

- Gdybyś potrzebowała pieniędzy...

- Nie, wezmę tylko mapę - przerwała mu.

Odwrócił się ku drzwiom. Poczwała wielką ulgę. Jeszcze chwila, a chwyciłaby go za rękę i błagała o choćby strzępy uczucia.

Sympatii, przyjaźni, szacunku.

Zadowoliłaby się nawet pozorami.

Po wyjściu z pokoju Emeraldy Asher oparł głowę o dębowe drzwi i oddychał ciężko. Córka Beau Sandforda. Co, do wszystkich diabłów, powinien z nią zrobić? Sprawiała się dzielnie w walce z McIlverrayami, wciąż nie mógł się temu nadziwić, i spała z nim w rewanżu za zło wyrządzone jego rodzinie. Aż pociemniało mu w oczach, gdy pomyślał o złu, jakie on wyrządził jej rodzinie.

A może są już kwita?

Po raz pierwszy od wielu dni poczuł, że opuszcza go gniew. Może nie wszystko jeszcze stracone. Może uda się odbić od dna, coś ocalić? Wyobraził sobie Emmę... nie, Emeraldę, tańczącą w jedwabnej sukni, z włosami połyskującymi w świetle świec, z beztróskim uśmiechem zabłąkanym na wargach.

Właśnie, uśmiechem.

Kiedy ostatni raz się śmiała? Kiedy mogła sobie pozwolić na frywolność, radość, beztróskę? Na pewno nie przy matce lub Beau. Tu, w Anglii, również nie miała takiej sposobności, o czym wiedział przecież najlepiej.

Spojrzał na okaleczoną prawą rękę. Dzisiaj nie czuł utraczonych palców. To kolejny dowód zmiany. Pięć lat upłynęło od czasu, gdy jego statek został zaatakowany przez „Mariposę”. Przeprowadził w myślach szybką kalkulację. Musiała mieć wówczas... szesnaście lat! Była młodsza niż obec-

nie Lucinda, była dziewczyną, a jednak musiała walczyć z mężczyznami. I to nieraz. Świadczą o tym blizny na rękach, twarzy i udzie.

Na Boga, gdyby spotkał teraz Sandforda, zabiłby go jeszcze raz za wyrządzoną córce krzywdę. Przecież ona nie miała najmniejszej szansy, żyjąc w tym pełnym chciwości i okrucieństwa zaułku świata, do którego wciągnął ją rodzony ojciec. Zakątku, w którym tak naprawdę skupione było wszelkie zło i nieprawość, nie liczyły się żadne cywilizacyjne normy, a mir zdobywał ten, kto miał najmocniejsze pięści, był najbardziej bezwzględny i podstępny.

A jednak, błędząc po omacku w mrokach tamtego świata, Emma odkryła i wykształciła w sobie dumę i poczucie odpowiedzialności. Nie opuściła przecież ani sług, ani ciotki, ani garstki innych, którym winna była lojalność. Kiedy zobaczyła, że on jest w niebezpieczeństwie, rzuciła mu się na ratunek, nie zastanawiając się, czy to się dla niej dobrze skończy.

Jeśli naprawdę chodziło jej tylko o mapę, dlaczego to zrobiła? Czy nie byłoby w jej interesie pozwolić McIlver-rayowi wykonać brudną robotę, a potem obmyślić sposób... a pomysłowości jej nie brakowało... by wydobyć z Falderową niebezpieczną mapę?

„Kocham cię”. Wciąż dźwięczało mu to w uszach.

Może naprawdę tak czuła. Może wcale nie chodziło o wyrównanie rachunków, tylko o coś głębszego. Trwałego. Prawdziwego. Oparty o ścianę, wciąż bił się z myślami, usiłując ułożyć to wszystko w logiczną całość. Obawiał się, że ogarniające go pożądanie zakłóci mu jasność rozumowania.

Emeralda usiadła na łóżku i zabrała się do jedzenia lunchu, który przyniosła służąca. Nie widziała Ashera od wczoraj. Od Miriam dowiedziała się, że wyjechał w interesach do Londynu. Miała nadzieję, że jest bezpieczny.

Rano odwiedziły ją Lucinda i księżna wdowa Alice. Patrzyły na nią z widocznym respektem.

- Nie chwaliłaś się, że tak zręcznie potrafisz posługiwać się nożem i szpadą, Emmie... - Lucinda urwała speszona. Nie była pewna, czy nadal może się tak zwracać do Emeraldy. Bała się też, że wzmianka o broni mogłaby wyczarować mroczną rzeczywistość karaibskich spelun, bandyckich melin i krwiożerczych piratów. - No, no, kiedy rzuciłaś nożem przez polankę i trafiłaś tego człowieka, nie mogłam oczom uwierzyć... - Znowu się zająknęła, przestraszona cisnącymi się jej na usta kolejnymi słowami. - To byłaś ty, prawda? Wtedy w porcie z hrabią Westleigh. To ty mnie uratowałaś? To ty jesteś Liamem Kingstonem? - Była aż czerwona z podniecenia. - Powinnam była od razu się zorientować, że to ty. Rękawiczki. Ten sam wzrost. Nie mam wątpliwości, to byłaś ty.

Emeraldzie nie pozostawało nic innego, jak potwierdzić skinieniem głowy. Gdy odważyła się spojrzeć na matkę Ashera, ku swojemu zaskoczeniu ujrzała wyraz wdzięczności w jej oczach.

- Uratowałaś nas wszystkich od nieszczęścia, moja droga, i doprawdy nie wiem, jak zdołamy ci się odwdziżyć.

Przyszło jej do głowy, że taka wspaniałomyślność jest całkiem nie na miejscu, wzięwszy pod uwagę nie tylko przeszłe czasy, ale i fakt, że to ona sprowadziła do Anglii McIlverrayów. Mimo to uchwyciła podaną jej przez Alice dłoń i ścisnęła ją, a starsza pani nie wrywała swej ręki i nie

patrzyła krzywo na szramy szpecące skórę na nadgarstkach Emeraldy.

Doskonale wiedziały, kim jest, a mimo to nie szczędziły jej objawów wdzięczności. Z pokorą przyjmowała wielkoduszne zachowanie tej rodziny, mającej przecież liczne powody, by jej nienawidzić. Łzy wypełniły jej oczy. Tak bardzo zależało jej na przyjaźni Alice, Lucindy i Tarisa.

Całej rodziny Ashera.

Oby przynajmniej, jak już wyjedzie, zachowali ją we wdzięcznej pamięci. Osuszyła palcami oczy, ale zaraz wypełniły się nowymi łzami. A przecież nigdy nie była płaczką. Nigdy!

Wtuliła twarz w poduszkę. Słyszała, jak Alice i Lucinda wychodzą. Przyjęła to z ulgą.

Ostatnie promienie zachodzącego na pomarańczowo słońca kryły się za wzgórzami, gdy dobiegł ją odgłos pukania do drzwi.

Tym razem odwiedził ją Taris. Wchodził bardzo ostrożnie. Nie znał za dobrze rozkładu pokoju, bo co chwila potykał się o meble, najpierw o stolik na środku, potem o fotel przy kominku. Zauważyła, że kierował się w stronę słonecznego światła. W końcu zatrzymał się przy oknie.

- Wiem od Ashera, że obwiniasz się za to, co się ostatnio wydarzyło. - Przesłonił dłońmi oczy i stał nieruchomo. Czekał.

Emeralda wzięła głęboki oddech. W Anglii rzadko się zdarzało, aby ludzie, zamiast płatać się w aluzjach i niedomówieniach, tak prosto z mostu mówili, o co im chodzi. Jednak Taris taki właśnie był, co bardzo jej się podobało.

- Gdyby Asher nie spotkał na swej drodze mego ojca, wówczas...

- Zauważyłem - nie dał jej dokończyć - że do tej pory nie roztrząsałaś faktów ze swojego życia w kategoriach „co by było, gdyby”. Gdzie podziała się ta zuchwała panna, żadna czynów i zapatrzona w przyszłość? Czyżby na jej miejsce pojawił się refleksyjny filozof dumający nad zawiłymi ścieżkami ludzkiego żywota i łamiący sobie głowę nad nierozwiązywalną kwestią, czy coś, co kiedyś się zdarzyło, zdarzyć się musiało, czy też można było odwrócić bieg rzeczy?

Na przekór okolicznościom poczuła ogarniającą ją wesołość. Co takiego mówił Taris o niewidomych? Że mają wyostrzone inne zmysły? Z całą pewnością jego obserwacja była słuszna. Rozumiał ją lepiej niż inni, bo analizował człowieka, a nie jego powłokę. A przy tym był miły i życzliwy. Ot, nia przykład teraz. Mówił o poważnych sprawach, a przy tym lekko z niej podkpiwał, ale bez złośliwości. Łatwo było rozmawiać z kimś takim jak on.

- Nie jestem filozofem, Taris, tylko po prostu muszę jakoś zrozumieć swoje życie. I nie tylko moje.

- Wiem, Emmo. I wiem, że masz o czym myśleć. Lecz musisz wiedzieć, że nie zamierzam cię osądzać, a już broń panie Boże potępiać.

- Mój ojciec - przerwała mu gwałtownie - był przekonany, że cały ocean należy do niego, a zwłaszcza ten kawałek, który oddziela wyspy Turks od Caicos. Czuł się tam panem życia i śmierci, niepodzielnym władcą, który sam stanowi prawo, a wszelkie inne prawa ma za nic. Gdyby owego dnia nie dostrzegł „Caroline”... - Zamilkła na moment, bo zauważyła grymas na jego ustach i postanowiła inaczej

wyrazić swoją myśl. - Straciłeś wzrok przez chciwość i bezwzględność mojego ojca.

- Mylisz się, Emmo. Straciłem wzrok, bo działałem w obronie brata. Gdyby nie zdarzyło się to na Karaibach, mogło przydarzyć się gdzie indziej. Na maszcie statku wśród fal oceanu lub w przewróconym powozie na wzgórzach przed Falder. To zdarzenie losowe, Emerald, albo raczej przeznaczenie. Nazywaj to, jak ci się podoba. Nie mam pretensji ani do niego, ani do ciebie. - Uśmiechnął się. - Przemysł to, filozofie. Jakże często nie mamy żadnego wpływu na to, co się wydarzy, nawet jeśli coś bardzo skrupulatnie zaplanujemy. A już na pewno nie możemy przewidzieć, jakie będą konsekwencje naszych czynów, nawet jeśli nam się zdaje, że wszystko mamy pod kontrolą. „Caroline” mogła obrać nieco inny kurs, okręt twojego ojca podobnie. Jednak oba statki zrzędzeniem losu znalazły się w tym samym punkcie szerokiego morza. Czy sternik, płynąc minimalnie bardziej na wschód, mógł przewidzieć, co z tego wyniknie? Co o tym sądzisz, filozofie?

- Jaki tam ze mnie filozof. - Roześmiała się. - Ale przemyśle to, obiecuję. Intencja i czyn, przypadek i jego konsekwencje... Wina i zasługa...

- Mam nadzieję, Emmo, że będziemy mieli niejedną okazję do przedyskutowania tych kwestii, bo fascynują mnie one ogromnie, a i ciebie, jak widzę, intrygują. Mają zresztą one jedną wielką zaletę, mianowicie nikt ich nie rozwiązał ostatecznie i pewnie nie rozwiąże, dlatego nigdy nie zabraknie materii do dysputy. Ale to później. - Już się nie uśmiechał. - Bo przyszedłem tu w zupełnie innej sprawie. Jest mianowicie coś, co mogłabyś dla mnie zrobić.

-Tak?

- Wyjdź za mąż za Ashera.

Omam nie wybuchła śmiechem, ale udało się jej pohamować wesołość. Tavis był śmiertelnie poważny. Widziała to po całej jego postawie.

- Myślę, że małżeństwo jest ostatnią rzeczą, którą twój brat chciałby mi zaproponować.

- Jesteś jedyną osobą, która może go ocalić.

- Ocalić od czego?

- Od niego samego. Asher żyje w poczuciu winy. Wini się za wszystko, a to go zabija. Za wszystko, ale najbardziej za Melanie. - Tavis wymacał siedzenie stojącego przed nim fotela i zajął w nim miejsce. - Melanie zaziębiła się i położyła do łóżka. Czowała się coraz gorzej i gdy nacieranie kamforą oraz picie herbaty z miodem nie pomogło, wezwaliśmy lekarza, lecz i on nie potrafił jej pomóc. Cierpiała coraz bardziej, nikła w oczach. Nasza matka trzymała ją za rękę, gdy wydawała ostatnie tchnienie. Gdyby Asher był wtedy w Falder, rezultat byłby taki sam. Nie mógłby jej uratować. Lecz ktoś zdrowy może obumrzeć w środku i staje się na poły martwy. To właśnie przydarzyło się Asherowi. I stan ten ciągle trwa.

Emeralda słuchała zdumiona. Nie mogła uwierzyć w to, co mówił Tavis. Chyba zdawał sobie sprawę z konsekwencji. Przecież był najbliższym Asherowi człowiekiem, musiał więc doskonale wiedzieć, co gnębi brata, jakie są jego motywy i dlaczego jest taki, a nie inny. Czy może być prawdą to wszystko, co usłyszała? Czy mogłaby mu pomóc, tak jak on pomógł jej?

- Nie rezygnuj z niego. Nie tak szybko. Czy możesz mi przynajmniej to obiecać?

Westchnęła głęboko i pokiwała głową, nie będąc pewna,

czy potrafi wydobyć z siebie głos. Uśmiechnęła się. Przecież on i tak nic nie widzi.

- Dziękuję.

- Widziałeś?

- Poczułem. - Wstał, aby wyjść.

- Gdzie jest Asher?

- Pojechał do Londynu w interesach. Kilka naszych statków właśnie wypływa do Indii.

Emeralda wyczuła w jego głosie rezygnację.

- Na Jamajce spotkałam znachora, który potrafił leczyć prawie wszystkie choroby, nawet niektóre przypadki utraty wzroku.

Roześmiał się głośnym, szczerym śmiechem, który wypełnił cały pokój.

- Jesteś pierwszą osobą, jednym tchem mówiącą o moim nieszczęściu i o cudownej kuracji, która mogłaby je odwrócić, Emeraldo. Doprawdy, będziesz nieoceniona w naszej rodzinie. - Wyszedł.

Asher przez cały następny tydzień usiłował poukładać w sensowną całość ostatnie wydarzenia. Starał się stępić wrażenie, jakie wywarła na nim Emeraldal Sandford, i przywrócić jakiś ład w swoim życiu.

Trzeciego dnia pobytu w Londynie znalazł się w pewnym przybytku przy Curzon Street. Już w chwili, gdy mijał frontowe drzwi, wiedział, że popełnia błąd.

Na powitanie wyszła Angela Cartwright, przystojna rudowłosa kobieta, i odebrała z jego rąk rękawiczki i kapełusz. Dekolt jej sukni był wycięty niebezpiecznie głęboko. Ostatnim razem, gdy tu był, podziwiał hojnie obdarowaną przez naturę figurę Angeli. Tym razem nie mógł oderwać

myśli od mniejszych piersi, zakończonych jasnoróżowymi brodawkami, pokrytych drobnymi piegami.

Emeralda.

Fakt, że o niej myśli w takim miejscu jak to, zmartwił go. Miał zamiar wymazać ją z pamięci.

- Witam. Już od dłuższego czasu nie miałyśmy przyjemności goszczenia Waszej Wysokości. Chyba całych sześć miesięcy, prawda, Brigitte?

Naprzeciw wyszła im piękna dziewczyna, stojąca do tej pory pod ścianą salonu. Miała jasnoniebieskie, śmiejące się oczy i nienagannie uczesane brązowe włosy splecione w opadający aż do talii jedwabisty warkocz.

- To prawda, Wasza Wysokość. O ile sobie przypominam, był pan z przyjacielem, lordem Henshawem. Jak on się miewa?

- Bardzo dobrze.

Wziął z jej rąk kieliszek brandy i wypił zawartość niemal duszkiem. Dzisiejszego wieczoru potrzebował czegoś na wzmocnienie.

- Może Wasza Wysokość zechce zobaczyć naszą oszkloną werandę? - zapytała dziewczyna, dolewając mu brandy z kryształowej karafki. - To nasza nowość. Spotkała się z bardzo dobrym przyjęciem.

Mówiła po francusku, ale w jej wymowie pobrzmiwał akcent charakterystyczny dla handlarek z placu targowego w Covent Garden. Zazwyczaj taka sprzeczność wzbudziła by tylko jego wesołość, ale dzisiaj irytowała go. Drażniła go też przesadna wystawność umeblowania oraz obrazki na ścianach przedstawiające na pół rozebrane cherubiny. To był najbardziej ekskluzywny dom publiczny w Londynie, mimo to wyczuwał jego tandetność, która dawniej mu nie

przeszkadzała. A skurcz żołądka nie miał nic wspólnego z oczekiwaniem na miłe doznania.

Na werandzie powściągliwość w zachowaniu okazywana do tej pory przez Brigitte ulotniła się. Odskoczył od niej jak oparzony, gdy dotknęła go w bardzo śmiały sposób.

Skąd się tu wziął?

Dlaczego nie ma go w domu, w Falder, wśród zielonych pagórków z falującym oceanem na horyzoncie? Z Emeraldą Sandford w łóżku, gorącą, oddaną i piękną? Dlatego, że była kłamczucha, oszustką i córką Beau Sandforda, dlatego, że wszystko, co mu kiedykolwiek mówiła, było dalekie od prawdy.

Na końcu werandy znajdował się pokój urządony jak sypialnia, z okazałym łóżem z baldachimem podtrzymywanym przez cztery kolumny. Brigitte uniosła ramiona, aby wyjąć z włosów szpilki. Zastanawiał się, dlaczego ten widok zupełnie go nie cieszy. Był spragniony jedynie widoku złotorudych loków z lekka posrebrzonych kolorami zboża.

Pragnął Emeraldy.

Zmusił się, aby podejść do Brigitte i przeciągnąć palcem po smukłej, cieplej, mlecznobiałej skórze policzka, szyi, falujących piersi. Zsunął dłoń niżej. Dziewczyna była gorąca i podatna na pieścizoty, z jękiem odchyliła głowę.

Pomyślał o Emeraldzie. Pragnął jej. Pragnął okazywanej przez nią radości i jej niezależności. Chciał ją znowu poczuć przy sobie, jak wtedy, gdy leżeli w blasku księżycy, a jego okaleczone palce zaciskały się na jej palcach. Zdezorientowany zrobił krok do tyłu i rozejrzał się. Nie był pewny, co robić. Nagle desperacko zapragnął stąd wyjść.

- Przepraszam - powiedział cicho, wciskając dziewczynie pieniądze do ręki.

Z dala od nieprawości Curzon Street uzmysłowił sobie swoją samotność, złagodzoną obecnie jedynie świetnym trunkiem krążącym w żyłach. To nie był dobry sposób, aby zapomnieć o Emeraldzie. Na tej drodze nie było przyszłości. Nie tak można odnaleźć miejsce, w którym nie pochłaniałyby go niekończąca się pustka.

Stał na ulicy z głową opartą o ścianę budynku.

Port wzywał go, jak zawsze, swym duchem wolności, zapachami, swoją niezmiennością. Bezczesnym błękitem fal i niekończącym się horyzontem. Przygoda, nowe lądy, bogactwo kolonii, gdzie napełniano ładownie jego statków korzeniami, jedwabiem, herbata.

Do krawężnika podjechał jego woźnica. Księżę wskoczył do powozu i kazał się wieźć do doków. Jego najnowszy słup wymagał jeszcze kilka tygodni pracy. Porządna dawka ciężkiej roboty mu nie zaszkodzi.

Rozdział czternasty

Po powrocie ze spaceru z Alice po ogrodzie Emeraldy znalazła na łóżku mapę.

Oznaczało to, że Asher wrócił z Londynu. Musiał poczekać, aż ona opuści sypialnię, i wtedy ją przyniósł. Nie widziała go od ośmiu dni. Początkowo większość czasu spędzała w łóżku, potem odpoczywała już tylko sporadycznie. Teraz czuła się dość pewnie, tylko świeżo zabliźnione rany swędziały niemiłosiernie.

Rozwinęła pergamin i odczytała wskazówki. Należało sterować za zachód od przylądka Powella na krańcu wysypki Ship Chan Cay. Była tam jeszcze data. 1808. To rok, w którym opuściła ją matka. Rok, w którym ojciec nabył „Mariposę” i zrezygnował z uczciwego życia.

Wetknęła mapkę pomiędzy kartki książki, bacząc, aby nie było widać jej brzegów. Pomyślała, że to pewnie pożegnalny gest Ashera Wellinghama. Przecież zapowiedział, że odda jej mapę i zapewni transport do domu.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wyrwana z zamyślenia, podskoczyła. W progu stał lokaj. Ukłonił się grzecznie w odpowiedzi na pytające spojrzenie.

- Jego Wysokość prosi, aby zechciała pani dotrzymać mu towarzystwa. Mam panią do niego zaprowadzić.

Powstrzymała pokusę spojrzenia w lustro i poprawienia włosów, obciągnęła tylko spódnicę, aby sięgała przyzwoitej długości. Przy tym ruchu poczuła gwałtowny ból w boku. Cóż, to było nieuniknione, rekonwalescencja potrwa jeszcze jakiś czas, choć blizna pozostała po wyjęciu kuli nie była rozległa. Emeralda zawdzięczała to sprowadzonemu z Londynu lekarzowi, który okazał się zręczny i kompetentny.

W ogóle miała sporo szczęścia. McIlverrayowie nie żyli, więc nie stanowili już żadnego zagrożenia, a lokalna policja potraktowała incydent jako napaść rozbójniczą na drodze. Asher dzięki swoim koneksjom zadbał o to, żeby nie doszło do żadnego skandalu. Nikt nie miał do niej żadnych pretensji. Nie musiała się przed nikim ukrywać.

Księżę stał przy drzwiach balkonowych. Uśmiechnęła się. Za nim zielenił się ogród. Na tle zieleni jego włosy lśniły czernią. Był ubrany po domowemu w wetknięte w wysokie buty bryczesy i rozpiętą pod szyją białą koszulę. Serce zabiło w niej żywiej. Stłumiała pragnienie, by podbiec do niego i wtulić się w jego ramiona.

Nie dotykaj go, napomniała się.

Nie pozwól, żeby się do ciebie zbliżył.

Nie daj mu poznać, jak bardzo cię skrzywdził i wciąż może jeszcze skrzywdzić.

- Dzień dobry, Emeraldo. Świetnie wyglądasz.

Nawet nie drgnął, żeby podejść bliżej i podać jej rękę. Nie było żadnych spojrzeń z ukosa, żadnych aluzji do łączącej ich kiedyś bliskości. Był wycofany, nienagannie grzeczny, po prostu odnotował jej obecność.

W jego oczach nie było widać najmniejszych złotych punkcików. Nigdy jeszcze nie były takie ciemne.

- Dziękuję za mapę.

Tylko tyle miała mu do powiedzenia. Po tym wszystkim, co zaszło między nimi.

Wyraz twarzy Ashera stanowił odbicie jego ostrożnej postawy.

- Powrócisz na Jamajkę, żeby poszukać tych skarbów?

- Tak Z pewnością łatwo da się odczytać współrzędne.

-Jak?

- Co jak?

- Jak masz zamiar to zrobić?

W pytaniu pobrzmiwała nuta kontrolowanej niecierpliwości. Emeraldy nie odezwała się. Skąd weźmie statek? Nikt nie udzieli jej kredytu na Jamajce. Po utracie St Clair nie ma ani nieruchomości, ani innego majątku, który mogłaby zastawić. Poczwała, że coś dusi ją w gardle. Czy Asher ma zamiar pozbyć się jej tak łatwo?

- Jeszcze nie wiem.

Starła się opanować drżenie głosu, nadać mu obojętne brzmienie, jak gdyby sprawa statku, na pokładzie którego miałyby odbyć podróż po piracki skarb, była pozbawiona większego znaczenia.

- Jak już mówiłem, „Nautilus” jest gotów do wyjścia w morze.

- Aha. - Nie za dobrze rozumiała, co chciał przez to powiedzieć.

- Jeśli potrzebujesz statku, mogę ci go udostępnić.

W jego tonie wyczuła, że z żelazną konsekwencją postanowił nie tracić nad sobą kontroli.

- Dlaczego?

- Ponieważ byłaś dziewczą.

Jak łatwo mu to przeszło przez usta. W jakże wyprany z wszelkich uczuć sposób to powiedział.

Podeszła do niego, stanęła twarzą w twarz.

- Nie jestem w ciąży.

Zaczerwieniła się, gdy zdała sobie sprawę z bezsensowności tego oświadczenia, ale obojętność Ashera była bardziej bolesna niż wszystko inne i nie chciała, aby pomyślał, że jest z nią jakoś związany.

- Oferta nie jest uwarunkowana wydaniem na świat mojego spadkobiercy.

Zanim się od niej odsunął, poczuła na policzku muśnięcie jego oddechu i zapragnęła go dotknąć.

Cała ta rozmowa była tak absurdalna, że nagle poczuła się bardzo zmęczona. Wszystkim. Nadzieją i brakiem nadziei. Huśtawką emocji. Zgadywanką w stylu kocha, lubi, szanuje. Tak bawiła się w dzieciństwie z nielicznymi dziećmi, którym było wolno się z nią spotykać. Pragnęła tylko jednego: podejść do niego i poczuć uścisk jego ramion. Poczucie, że jest bezpieczna. W każdej sytuacji.

Krzyk przelatującej za oknem mewy sprawił, że spojrzała w niebo. Było pogodnie, ale chmury gromadzące się po zachodniej stronie widnokregu zwiastowały deszcz. Niepomna obecności Ashera, przyłożyła rękę do chorego boku.

- Boli?

- Czasami. Teraz już mniej.

- Nie zauważyłem, jak to się stało.

- Jeden z McIlverrayów wykorzystał mój moment nieuwagi i użył pistoletu.

- Posługujesz się szpadą jak mężczyzna.

- Byłam uczona przez mężczyzn.

- A Ruby? Kto to jest? Wymieniałaś to imię w gorączce.
 - To moja siostra. Córka Beau i jednej z portowych prostytutek. Matka porzuciła ją, zanim ukończyła drugi rok życia.

- Gdzie ona teraz jest?

- W klasztorze na Jamajce. - Na wzmiankę o siostrze zmartwiła się. Jak jej jest pod opieką zakonnic? Choć pełne zrozumienia i życzliwe, były jednak dla niej obce. - Ma osiem lat i jest bardzo uzdolniona muzycznie. Uczyłam ją grać na harmonijce, z moją pomocą uprawiała też ogródek w St Clair.

- St Clair to wasz dom rodzinny?

- Był. Zeszłego lata został podpalony przez McIlverrayów, którzy poszukiwali mapy mojego ojca.

- Gdzie mieszkaliście od tamtego czasu?

- W porcie, w wynajętym pokoju przy Harbour Road. Kiedy Miriam przysłała pieniądze na podróż do Londynu, umieściłam Ruby u sióstr, a sama ruszyłam w drogę.

- Co zrobisz, jeśli nie uda ci się odnaleźć skarbu?

Nie odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć. Dotknęła medalionu, który nosiła na szyi. Zawsze w trudnych sytuacjach życiowych miała zwyczaj pocierać jego złotą koperkę. Taki rytuał. Sposób, aby przybliżyć... co? Cacko pochodziło z czasów, kiedy jej rodzina mieszkała w Anglii, była szczęśliwa i stanowiła całość. Zanim alkohol zniszczył wrażliwość serca.

- Spotkałem w Thornfield Annabelle Graveson. Pytała o twoje zdrowie. Dała mi to dla ciebie.

Wyciągnął z torby książkę i podał ją Emeraldzie.

Skóra koloru wiśniowego, w którą oprawiona była okładka, wyglądała na starą. Świadczyło o tym pęknięcie wzdłuż

grzbietu. Otworzyła książkę. Na pierwszej stronie widniało nazwisko dawnej właścicielki. Evangeline Montrose. Poniżej przyklejony był drzeworyt przedstawiający ten sam wzór, który został wygrawerowany na jej medalionie.

Przesuwała palcem po literach, zastanawiając się, jaki jest związek między książką a medalionem.

- Moja matka miała na imię Evangeline - odezwała się wreszcie.

- Panięskie nazwisko Annabelle też brzmiało Montrose. Ona twierdzi, że twoja matka była jej kuzynką.

Annabelle Montrose i Evangeline Montrose. Kuzynki? Ich herb rodzinny został przedstawiony na książce i na medalionie. Ten sam. Z trudnością przyjmowała to do wiadomości.

- Wiedziałaś? -

- Przypomniałem sobie o medalionie, gdy w zeszłym tygodniu zobaczyłem u Annabelle jej herb. Była bardzo zdenerwowana, wręczając mi książkę.

Emeralda wahała się przez moment, zanim spytała:

- Myślisz, że ona jest zrównoważona psychicznie?

- Zrównoważona? - zdziwił się.

- Tak... Czy z jej głową jest wszystko w porządku? U mojej matki nie było, jak wiesz. - W serce Emeraldy wkradł się strach. Szaleństwo, ta straszliwa przypadłość, która potrafi pchnąć ludzi do przerażających czynów... czyżby było dziedziczne w jej rodzinie? Poczowała się nieswojo. Słońce,; przed chwilą jeszcze świecące oślepiającym blaskiem, nagle! skryło się za ciemną chmurą.

Jest czerwiec.

Co będzie się z nią działo w lipcu?

Dlaczego tak dbająca o względy towarzyskie Annabelle

Graveson zdecydowała się na ogromne ryzyko i ujawniła światu drażliwą tajemnicę rodzinną? Czy to ma sens? Przyszło jej nagle do głowy, że być może Annabelle chciała, aby ta historia posłużyła za ostrzeżenie!

W końcu nie dała przecież tej książki bezpośrednio Emeraldzie, a Jack Henshaw wspominał, że Asher jest opiekunem majątku Gravesonów. Może chodziło jej o to, by chronić księcia przed córką owładniętej złym duchem kuzynki?

Pod wpływem tych myśli rozboleła ją głowa. Gdyby w spojrzeniu Ashera była choć odrobina zachęty, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze. Gdyby wziął jej dłoń w swoje dłonie, mogłaby przyłgnąć do niego, a potem niech się dzieje, co chce. Jednak prawie na nią nie patrzył, a machinalne bębnienie palcami o udo kazało Emeraldzie domyślić się, że jej towarzystwo go nuży.

- „Nautilus” wypłynie za cztery dni. Jeśli chcesz spotkać się z Annabelle, musimy to zaaranżować jak najszybciej. Myślę, że możesz polegać na jej dyskrecji, gdyż jakikolwiek skandal odbiłby się również na jej reputacji i zaszkodził Rodneyowi. Wątpię, by chciała podjąć takie ryzyko.

Pokiwała głową. Jej osoba wiązała się teraz wyłącznie ze skandalem i ryzykiem. Jest kimś, kogo należy wsadzić na statek i odesłać do domu, zanim zdoła wyrządzić więcej szkód. Jak zesłańcy z metropolii, którzy wałęsali się wokół jaskiń hazardu w Kingston Town.

Pozostanie na banicji do końca życia.

Wymazana z pamięci. Była to bardzo bolesna perspektywa.

Nigdy już nie ujrzy Ashera, nie poczuje przy sobie jego obecności, zwłaszcza nocą, gdy powracają upiory z prze-

szości i tylko on potrafi je odegnąć. Nigdy już nie wybierze się na spacer po zielonych wzgórzach Falder, nie stanie się częścią rodziny, która bez pytania przyjęła ją do swojego grona. I od tego nie ma odwrotu.

Uniosła głowę. Nie będzie się poniżała. Musi zatroszczyć się o Ruby i Miriam. Jeśli uda się odzyskać choć część skarbu, będą bezpieczniejsze.

- Czy mogłabym na tydzień dostać twój statek, gdy znajdziemy się na Jamajce?

- Żeby zlokalizować skarb według mapki?

- Tak. - Patrzyła mu prosto w twarz. Uzyska tę obietnicę i zniknie mu z oczu.

Skinał głową na znak, że się zgadza. Odetchnęła z ulgą. Machinalnie wstrzymywała oddech w oczekiwaniu na tę decyzję.

- Peter Drummond jest człowiekiem, któremu możesz zaufać, jeśli dopisze ci szczęście i coś znajdziesz.

Ty. Nie my. A zatem nie wybierał się w tę podróż wraz z nią?

- Dziękuję. - Ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć nic więcej. Patrzyła, jak schyla się po leżącą u stóp torbę.

- W ciągu godziny wyślę wiadomość do Annabelle Graveson. Jak tylko otrzymam od niej odpowiedź, poinformuję cię. - Wyszedł.

Została sama. Nie pozostawało jej nic innego niż odnaleźć drogę do pokojów, które zajmowała razem z Miriam.

Ciotka siedziała nad robótką ręczną przy oknie w saloniku łączącym się bezpośrednio z sypialnią.

- Czy moja matka nazywała się Evangeline Montrose?

- Spłoszone spojrzenie ciotki posłużyło za całą odpo-

wieść. - Annabelle Graveson dała Asherowi tę książkę.
 - Umieściła otwartą książkę tuż nad robótką ciotki. Drugą ręką sięgnęła za stanik sukni i wydobyła medalion.
 - Nazwisko panięńskie Annabelle też brzmi Montrose. Były kuzynkami.

Miriam odłożyła robótkę na stolik. Zbladła z wrażenia.

- Nie wiedziałam o tym. Czy można ufać Annabelle? - spytała niepewnie. - Na tyle jej zaufać, by mieć pewność, że nie ujawni naszego sekretu?

Emeralda odczekała chwilę.

- Z pewnością nie będzie jej zależało na tym, by rozgłaszać wszem i wobec skandaliczny fakt, że ma coś wspólnego z moim ojcem. To bardzo by nadszarpnęło jej reputację i zaszkodziło Rodneyowi, który już niedługo zacznie myśleć o karierze i odpowiedniej żonie.

- Masz rację, oczywiście. Również dla nas...

- Dla nas... nie wiem, ciociu, czy fakt, że ty jesteś siostrą, a ja córką pirata, ma jakiegokolwiek znaczenie. Opuszczamy Anglię na jednym ze statków Wellinghama, który wypływa za cztery dni na Jamajkę.

- A Asher Wellingham...

- Będzie szczęśliwy, że nigdy nas więcej nie zobaczy, jak przypuszczam.

- Tak mi przykro, Emmie...

Nie chciała się rozklejać. Z trudem opanowała łzy i wycofała się do swojego pokoju.

Gdy znalazła się sama, zatkała dłonią usta, aby stłumić krzyk zawiedzionych nadziei, gniewu i żalu. Żalu po utracie wszystkiego, co przeminęło. Wzięła do ręki książkę i pogładziła napisane na wewnętrznej stronie okładki nazwisko, na koniec przycisnęła książkę do piersi.

Kiedy matka mogła to napisać? Zanim spotkała Beau?
Po wyjeździe na Jamajkę?

Nie miała żadnej podobizny Evangeline, ledwie pamiętała jej głos. Podeszła do lustra i przyjrzała się swemu odbiciu. Była podobna do ojca. Miała jego oczy, jego podbródek. Była jego wzrostu i miała taką samą jak on karnację. A te dołki w policzkach? Po kim je ma? A włosy? Beau miał ciemne i proste, w ostatnich latach mocno przerzedzone. Jest inna niż on.

scandalous

Rozdział piętnasty

Następnego dnia z rana Asher udał się do Londynu, gdzie odwiedził zaufanego jubilera, nie bacząc na to, że wizyta ta może nie ująć bystrej uwagi londyńskich plotkarzy.

Wszystkie jego poczynania zawsze otaczało zainteresowanie opinii publicznej. Wystarczyło, że pokazał się na jakimś balu czy raucie lub złożył najbardziej niewinną wizytę, od razu plotkarze brali go na języki. Po powrocie do Anglii, już jako wdowiec, był tematem nieustających spekulacji. Z jednej strony było to irytujące i dokuczliwe, z drugiej jednak szybko nauczył się obracać owe spekulacje na swoją korzyść. Mianowicie umiejętnie podsuniętym słówkiem czy enigmatyczną aluzją podsyczał złowrogą aurę, która go otaczała. Zaowocowało to tym, że opowiadane o nim historie stawały się coraz bardziej niesamowite i przerażające, o co zupełnie nie dbał, poza jednym błogosławionym szczegółem. Mianowicie bywając w londyńskich salonach, wyczuwał, że ludzie się go po prostu boją i omijają kwestie związane z jego straconymi latami i doznanymi cierpieniami.

I z jego zemstą.

I z Beau Sandfordem.

Miał więc spokój przynajmniej w tej sprawie, nikt bowiem nie śmiał go indagować. Zarazem jednak z pogardą przypatrywał się, jak plotkarze, którzy kursowali jedynie między Londynem a swymi wiejskimi posiadłościami, wyżywali się w coraz to straszliwszych opowieściach o „krwawym księciu”. Mówiono na przykład, że zadał kapitanowi piratów sto pchnięć szpadą w brzuch, aby mieć pewność, że nie żyje, a potem obciął mu uszy i dłonie i rzucił je na pożarcie rekinom. Następnie śmiał się z tego, co uczynił, popijając rum, słuchając jęków innych piratów, których pochwycono w niewolę tylko po to, by skonali w straszliwych torturach.

Opowieść ta, jak i wiele innych, rozrastała się w błyskawicznym tempie, co wyznał Asherowi Jack Henshaw po szczególnie męczącym przyjęciu, na którym książę również był obecny. Przyjaciel dopytywał się, czy nie warto by przedsięwziąć jakiejś kontrakcji i uciąć te plotki albo przynajmniej sprowadzić do jakiegoś rozsądnego wymiaru. Usłyszał jednak w odpowiedzi:

- Daj spokój, niech sobie gadają, co chcą. Nic mnie to nie obchodzi. I tak zamierzam ukrócić salonowe życie, bo te wszystkie bale, rauty i przyjęcia są nie do zniesienia. - I tak też się stało, bo od tamtej pory bywał tylko w nielicznych domach swoich przyjaciół.

Zadawanie śmierci zabija w człowieku jakąś część duszy, choćby było ze wszech miar usprawiedliwione. Po wymierzeniu Beau Sandfordowi ostatniego ciosu patrzył, jak ciało kapitana pirackiego okrętu spada do morza. Potem długo nie mógł uwolnić się od uczucia gorczy. Gniew, który tyle lat żywił do tego człowieka, zniknął, pozostał

natomiast wstyd. Wstydził się, gdy pomyślał o tym, dokąd zaprowadziło go życie. Książę Carisbrook powinien był skutecznie ochronić żonę i brata. Nie wolno mu było splamić honoru angielskiego arystokraty, spadkobiercy jednego z najstarszych książęcych tytułów, potomka walecznych rycerzy, śmiałych żeglarzy, a przede wszystkim mądrych i sprawiedliwych panów na licznych włościach.

Obligowała go do tego również dewiza widniejąca na herbie rodzinnym, przedstawiającym łosia z uniesionym porożem i wplecioną w nie angielską różą. Głosiła: „Siegnij dalej, mierz wyżej”. Stara zasada. Szlachetna i niezmiennie dobra. Suma doświadczeń generacji książąt Carisbrooków i ich serdecznego związku z ziemią, którą nawet jeśli opuścili, gdy wymagało tego dobro kraju, to zawsze wracali, by przewodzić i opiekować się ciężko pracującym ludem.

On niestety uczynił wyłom od tej zasady.

Lecz nawet dla niego Falder, z jego zielonymi wąwozami i lasami, czystymi strumieniami i bezkresnym morzem, wieżyczkami na dachu i rzeźbionymi w kamieniu bramami, było miejscem magicznym.

Falder.

Dom.

Po raz pierwszy spojrzął na Falder jak na to miejsce, które zapewnia bezpieczeństwo, uzdrowienie i odnowę. Początek innej rzeczywistości. Dla nich wszystkich.

Dla Emeraldy i Tarisa, a także dla duszy Melanie. I dla niego samego.

Uśmiechnął się do witającego go od progu Petera Solbournea, znajomego jubilera.

- Miałem już pisać do Waszej Wysokości. Ostatnim razem wspomniał pan, że nosi się z zamiarem kupienia pre-

zentu dla siostry z okazji zbliżających się urodzin. Myślę, że mam coś, co może będzie panu odpowiadało. - Wyciągnął wiśniowe etui z pięknie ozdobionym wieczkiem.

Był na nim wryty monogram i data: „E.S. 1801”. Litery te i liczby były wplecione w srebrny ornament, w który wprawiono drogie kamienie. Jubiler otworzył umieszczony z boku zameczek i uniósł wieczko. Asher wstrzymał oddech z zachwytu. Perły. Lekko różowawe, ułożone od najmniejszej przy zapince do największej na środku. Ich połysk świadczył o doskonałej jakości.

- Jakie piękne! - Asher wyjął naszyjnik z wyścielonego jedwabiem pudełeczka i umieścił go na dłoni. - Skąd pan je ma?

- Dwa tygodnie temu przyniósł je pewien mężczyzna. Bardzo dziwny. Zwróciłem się o dodatkową ekspertyzę, by je oszacować. Pochodzą z wysp wokół Karaibów.

Ashera tknęło przeczucie.

- Czy człowiek, który je przyniósł, wymienił jakieś nazwisko?

-Nie, Wasza Wysokość, ale zostawił bilet wizytowy. Prawdę powiedziawszy, była to wizytówka hrabiny Haversham. Wydawało mi się to trochę dziwne, ale on nalegał, abym mu obiecał, że powiadomię ją, kto je kupił.

Asher zaprzestał zadawania dalszych pytań. E.S. Emma Seaton! Emeraldą Sandford! Czy te perły należały do niej? Przyjrzał się im dokładniej.

- Ile kosztują?

Jubiler wymienił cenę. Z pewnością, pomyślał zgryźliwie Asher, Solbourne przekaże Emeraldzie najwyżej dziesiątą część tej niebotycznej kwoty. Nie zamierzał jednak się targować.

- Wezmę je.

Solbourne był zdziwiony łatwością, z jaką doszło do transakcji, włożył naszyjnik z powrotem do etui i wręczył je Asherowi.

- Czy Wasza Wysokość jeszcze czegoś sobie życzy?

Stary wyga zorientował się, że Asher przyszedł w ściśle określonych zamiarach.

- Chciałbym obejrzeć jakieś interesujące pierścionki. Chodzi mi o szmaragdy. Wyłącznie szmaragdy.

Solbourne nie zadawał dodatkowych pytań, co ucieszyło Ashera.

Dwadzieścia minut później dokonał zakupu. Jego wybór padł na wąski złoty pierścionek z niezrównanej jakości szmaragdem otoczonym drobnymi brylantami.

- Świetny wybór, jeśli Wasza Wysokość pozwoli mi wyrazić zdanie. Jestem pewny, że dama, dla której pierścionek jest przeznaczony, będzie uszczęśliwiona..

- Mógłby mi pan zrobić jeszcze jedną przysługę - powiedział Asher na odchodnym. - Proszę nikomu nie wspominać o moich zakupach. To ma być niespodzianka i nie życzę sobie, żeby wiadomość zbyt szybko się rozeszła.

- Ma się rozumieć, Wasza Wysokość. Będę milczał jak zaklęty.

- Wspaniale.

Wsadził pakunki do kieszeni, a po opuszczeniu sklepu polecił woźnicy, by zawiózł go do pracowni madame Berenger. Miał nadzieję, że krawcowa będzie miała kilka gotowych sukni do sprzedania. Nie miał czasu do stracenia.

Rozdział szesnasty

Annabelle Graveson przywiozła z sobą do Falder pokaźne pudełko zawierające korespondencję rodzinną i rysunki wykonane ręką Evangeline. Sztynna dama, która kilka tygodni temu przyjmowała ich obiadem w Longacres, była całkowicie odmieniona. Wyciągnęła ramiona do Emeraldy i wyściskała ją serdecznie. Łzy ściekały po jej bladych policzkach, ciałem wstrząsał szloch.

- Chciałam cię uściskać już w pierwszej chwili, gdy cię ponownie ujrzałam, moja kochana - powiedziała, kiedy wreszcie udało się jej opanować wzruszenie. Wciąż kurczowo ścisnęła dłonie usadowionej obok niej Emeraldy.

-Ponownie?

Emeralda nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek miała okazję poznać tę kobietę.

Wycierając co chwila nos, Annabelle pośpieszyła z wyjaśnieniami:

- Miałeś pięć lat, kiedy matka i ojciec przywieźli cię i twojego brata do Anglii i odwiedzili nas w Knutsford.

Emeralda pojaśniała na twarzy.

- Pamiętam, że tam matka dała mi ten medalion. Pamiętam dom na szczycie wzgórza, nad rzeką, i chłopca...

- Miał na imię Simon. Był moim najstarszym synem. Umarł na malarię w czasie Bożego Narodzenia w tym samym roku. Evangeline zabrano od nas następnej Wielkanocy.

- Została u was w Anglii?

- Była chora, Emeraldo. Cierpiała na melancholię i tylko alkohol łagodził jej dolegliwości.

- Zabiła mojego brata?

Annabelle zareagowała oburzeniem.

- Beau tak ci powiedział?

- Nie, ale pamiętam to. Pamiętam nieruchome ciało Jamesa i pijaną matkę pod ścianą z twarzą umazaną krwią.

- On utonął, kochanie. Nieostrożnie bawił się w morzu i utonął. Evangeline skoczyła do wody ze skał, żeby go ratować, ale było już za późno. Nigdy potem nie doszła do siebie. Twój ojciec odesłał ją do Anglii, aby wydobrzała.

- Ale mnie nie zabrała ze sobą.

- Nie mogła. Była w takim stanie, że nawet o siebie nie potrafiła zadbać, a Beau obiecał jej, że w ciągu miesiąca przywiezie cię do Anglii. Sezon sztormów nastąpił jednak wcześniej niż zazwyczaj i twój ojciec musiał czekać, a potem było już za późno. Twoja matka znalazła się u Stwórcy, a Beau został piratem. Z tej drogi nie było już odwrotu. Ciągłe się zastanawiam, czy jego życie mogło potoczyć się inaczej. Myślę, że śmierć Evangeline uwolniła złe moce tkwiące w jego naturze.

Emeralda, siedząc bez ruchu, chłonęła informacje przekazywane przez Annabelle. Starła się je ułożyć w sensowną całość. W końcu okazało się, że jej matka nie była wca-

le nie zrównoważoną psychicznie pijaczką, lecz nieszczęśliwą kobietą, której pękło serce po utracie dziecka. Po raz pierwszy w życiu spojrzała na nią innymi oczami. Uśmiecha się, wyciąga do uścisku ramiona, jest pełna miłości. Evangeline. Kobieta, którą przeniesiono do tropików, gdzie wilgotny, gorący klimat nadszarpała jej zdrowie psychiczne. Delikatna angielska róża zdziczała na niegościnnej karaibskiej ziemi.

Przebaczenie wzięło górę nad goryczą. Emeraldę opanowały nieznane dotąd uczucia: spokój i gotowość do pogodzenia się z losem.

James, Beau, Evangeline. Rodzina połączona w zaświatach. Tak powinno być i to miało sens.

Uczucie ulgi było niewyobrażalne.

Annabelle podarowała jej niewielki obrazek przedstawiający oboje rodziców. Mogła teraz przekonać się, do kogo naprawdę jest podobna. Rudoblond loki, śmiejące się turkusowe oczy i dołeczki w policzkach. Odziedziczyła je po matce. Swojej matce. Wpatrywała się uważnie w podobiznę Evangeline, którą Annabelle pozwoliła jej zatrzymać.

- Jako członek naszej rodziny będziesz mile widziana w Longacres, jeśli zechcesz ze mną zamieszkać. Naturalnie z Miriam i ze swoją małą siostrzyczką. Asher mówił mi, że jest uzdolniona muzycznie.

Emeralda miała ochotę powiedzieć „tak”. Gorąco pragnęła przyjąć propozycję, równie szlachetną, jak nieoczekiwaną. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że zamieszkanie zaledwie dziesięć mil od Falder będzie dla niej torturą. Widywanie Ashera bez możliwości bycia z nim, obserwowanie, jak się żeni, jak rodzą mu się dzieci, a potem wnuki, byłoby ponad jej wytrzymałość.

Nie, zdawała sobie sprawę z tego, że absolutnie i nieodwołalnie nie może tego zrobić.

- Dziękuję z całego serca za zaproszenie, ale w obecnej chwili... - Potrząsnęła głową. Nie potrafiła znaleźć stosownych słów, aby wyrazić wdzięczność Annabelle.

- Rozumiem, że to może być dla ciebie trudna decyzja, lecz gdybyś zmieniła zdanie, moja propozycja będzie ciągle aktualna. Zawsze będziesz mile widziana w Longacres.

Po odjeździe Annabelle Emeraldą wybrała się na spacer polami Falder w kierunku morza. Upajała się powiewem bryzy, chłodzącej rozpaloną twarz, podniecał ją zew oceanu, którego srebrzystą wstążkę dostrzegała z daleka. Rozmyślała o propozycji Annabelle, kładąc na drugiej szali szansę na odnalezienie skarbu. A może powinna zrezygnować z karaibskiej przygody i skorzystać z okazji zapewnienia domu Miriam i Ruby...

Była w rozterce. Wyjazd oznaczał niewyobrażalne cierpienie. Bała się myśleć, jak je zniesie. Zatknęła za uszy rozwiane wiatrem loki i szła ku brzegowi morza. Przez załzawione oczy w trudem dostrzegała drogę.

Spotkali się nad strumieniem oddzielającym ziemię Wellinghamów od drogi do Rockcliff. Asher jechał na tym samym co zazwyczaj wierzchowcu, wielkim, czarnym ogierze, mającym domieszkę krwi dzikiego rumaka. Czekwała, żeby zsiadł z konia. Wiedziała, że wrócił do Falder późną nocą, słyszała bowiem turkotanie kół na kocich łbach dziedzińca i poruszenie, jakie wywołało wśród służby przybycie pana domu.

Dzisiejszego popołudnia wydawał się spokojniejszy.

- Annabelle powiedziała mi, że rozmawiała z tobą i złożyła

ci propozycję, żebyś zamieszkała z nią w Longacres, ale odmówiłaś. Nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

- Muszę jechać do domu, do mojej siostry.

Muszę uciekać od ciebie jak najdalej się da, pomyślała. Od twoich błyszczących oczu, od spoczywającego na twoich barkach poczucia odpowiedzialności, od obietnicy miłości, która może tylko zmienić się w nienawiść, od wspomnienia twoich rąk na moim ciele...

Rzuciła mu przelotne spojrzenie, zarumieniła się.

- Chciałbym ci coś pokazać - powiedział. - Tędy. - Wskazał kierunek.

Emeralda odniosła wrażenie, że chyba jechał za nią i czekał, aż droga zawiedzie ją do tej dolinki. Dlaczego miałyby to jednak robić? Przecież wcześniej powiedział wprost, że nie jest mu miłe jej towarzystwo.

Drzewa przeredzały się, w końcu wyszli na pole. Po dziesięciu minutach znaleźli się u stóp olbrzymiej skały.

- To tutaj - wskazał ręką i zaczął torować Emeraldzie drogę przez zarośla.

Na końcu ukrytej wśród ostreżyn ścieżki znajdowało się wejście do grotty. Było zupełnie niewidoczne również dlatego, że wisiał nad nim potężny odłam skalny, maskujący otwór wejściowy przed okiem intruza.

Zatrzymali się na chwilę przy wejściu, aby przyzwycząić wzrok do półmroku panującego we wnętrzu grotty. Po chwili Emeraldza zorientowała się, co jej chciał pokazać. Ściany w głębi grotty były pokryte czerwonymi, szarymi i brązowymi rysunkami, przedstawiającymi sceny myśliwskie i bitewne, a także rodzinne życie pierwotnych mieszkańców tych ziem. Tysiące lat historii ukrytej wśród łagodnych wzgórz Anglii.

- Odkryliśmy to miejsce z Tarisem, gdy byliśmy chłopcami. Nigdy nikomu nie powiedziałem o naszym odkryciu.

- Jednak mnie tu przyprowadziłeś. Dlaczego? - zapytała zdziwiona.

- Kiedy byłaś chora, odkryłaś mi swoje sekrety. Chciałem ci się zrewanżować tym samym.

- Często tu przychodzisz? - Popatrzyła dookoła i domyśliła się odpowiedzi, zanim jej udzielił. Na środku grotty znajdowało się drewniane podwyższenie pokryte wielką skórą położoną futrem do góry. Obok stał stołek, a na nim świeca.

- Zrobiłem to łóżko po powrocie do domu, gdy Melanie nie było już wśród żywych. Na początku było to jedyne miejsce, w którym udawało mi się zmrużyć oczy... - Zaważał się. - Tylko tu nie słyszałem głosów.

- Głosów?

- Tak, głosów, a raczej krzyków ludzi zabieranych do... do piekła.

Emeralda nie do końca rozumiała, o czym on mówi, dopóki nie zobaczyła błysku łez w jego oczach.

- Ciebie też zabierali?

-Tak.

Ogarnęła ją żal, a potem ból. Bolała nad nim, nad nimi obojgiem. Było jej przykro, że prawda wyglądała tak, a nie inaczej, było jej też przykro z powodu wszystkich kłamstw, którymi go raczyła. Dlaczego w życiu tak wiele zależy od przypadkowego zbiegu okoliczności?

Uniosł prawą dłoń do światła. Brakowało w niej dwóch palców.

- Dla nich okaleczanie ludzi to była zabawa. Niektórzy stracili więcej niż ja.

- Dlatego nie śpisz?
- Nie spałem. Przy tobie mogę spać.

Poruszona tymi słowami, porzuciła wszelkie wahania. Podeszła do Ashera.

- Więc zaśnij ze mną. Tutaj.

Nie wahała się, nie zastanawiała, nie myślała o przyszłości. Liczyła się tylko ta chwila. Zamknęła oczy i czuła, po prostu czuła. Dotyk jego kciuka na brodzie. Jego dłonie na staniku sukni i na spódnicy. Chłód powietrza, ciepło futra, muskularne kształty Ashera, cudowna chwila, gdy ją brał w posiadanie. Bliżej. W środku. Dotykał jej serca. Wiódł ją z tego cichego i spokojnego miejsca do nieba i z powrotem, pod czujnym spojrzeniem postaci narysowanych krwią przodków.

Asher zapalił świecę i okrył ich swoim żakietem. Ciepła, wełniana materia skutecznie chroniła od chłodu wczesnego wieczoru. Otaczała ich cisza, czas zatrzymał się. Emma leżała z policzkiem opartym na wznoszącej się i opadającej klatce piersiowej księcia.

- Myślę, że wiem, dlaczego odrzuciłaś zaproszenie Annabelle, dlaczego nie chcesz zamieszkać w jej domu.

- Czyżbyś posiadał dar jasnowidzenia?

Chciała usiąść, ale jej nie pozwolił.

- Nie, po prostu mam rozum i myślę. Sądzę, że boisz się tu zostać.

Był tak bliski prawdy w swoich domysłach, że wołała milczeć.

- Tak, Emmo, boisz się tu zostać, bo przyzwyczyłaś się wciąż uciekać. Uciekałaś przed ojcem, przed prawem, przed

wrogami. I fakt, że w tym małym zakątku Anglii mogłabyś w końcu znaleźć dla siebie dom, wiąże się dla ciebie z jeszcze większym ryzykiem, bo jesteś Emeraldą Sandford, córką pirata, a nie jesteś przygotowana na wypadek, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

Jej powściągliwość zniknęła. Uwolniła się z jego objęć.

- Masz rację. Boję się stanąć z otwartą przyłbicą, bo nie chcę, żebyś się dowiedział, jak znieawidzone jest moje rodowe nazwisko. Nie chcę, żebyś poznał prawdę o tym, ilu ludzi okradł, okaleczył lub zabił Beau, ponieważ wówczas nabierzesz do mnie obrzydzenia. A tego bym nie przeżyła. Zależy mi na tym, co nas łączy dzisiaj.

- No to walcz o swoje dobre imię, do jasnej cholery!

- Nie! Nic nie rozumiesz?! Życie tak okrutnie obeszło się z moimi rodzicami, że zostały z nich tylko porozbijane kawałki... strzępy... nie prawdziwi ludzie! - Krzyczała tak głośno, że aż zabołało ją gardło. - Porozrzucane chaotycznie kawałki, żałosne strzępy... z rozbitymi sercami, z chorymi duszami. Jestem krwią z ich krwi, kością z ich kości i czuję, że ten chaos jest też we mnie. Co się stanie, gdy się okaże, że jestem taka sama jak oni? Co będzie, jeśli zostaną w Falder i zrujnują życie tobie, twojej rodzinie, Annabelle i Miriam?

Nie odpowiedział. Podniósł się, uchwycił ją za ramiona i postawił przed lustrem, którego nie zauważyła aż do tej chwili.

- Co widzisz? - zapytał, lecz ona nie rozumiała, o co mu chodzi. - Drobne rysy twarzy, zarys szczęki, kolor oczu, opadające włosy, ślad po draśnięciu nożem na brwi. - Odsunął z czoła jej grzywkę. - Wszyscy jesteśmy sumą tego, co było przed nami, ale również zapowiedzią tego, co bę-

dzie po nas. W środku, Emerald, stoi przed nami wybór. Wybór tego, kim naprawdę chcemy być... tutaj. - Położył jej dłoń na sercu.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Wierzę. - Złote ogniki w jego oczach świeciły intensywnym blaskiem. - Nauczyłem się tej wiary od ciebie. Inspirowały mnie twoja odwaga i twoja determinacja, twoja niezłomność w dążeniu do celu. Razem podołamy wszystkiemu.

- Razem?

- Pojadę z tobą na Jamajkę po twoją siostrę, ale musisz mi coś obiecać.

W milczeniu dała znak głową, że się zgadza.

- Musisz mi obiecać, że wrócisz ze mną do Falder.

- Mam wrócić?

- Nie pozwolę ci odejść, Emerald. Nigdy. Bez względu na okoliczności.

Jej oczy wypełniły się łzami. Przyciągnął ją do siebie i położył się przy niej na łóżku. Oddając mu się, wiedziała, że pozostanie w Anglii i będzie jego kochanką. Nigdy przedtem nie wyobrażała sobie, że mogłaby zaakceptować siebie w takiej roli.

Rozdział siedemnasty

Opuścili port w czasie wieczornego odpływu. Łąd stopniowo znikał za horyzontem. Z zamyślenia wyrwał Emeraldę głos Ashera:

- Dopłyniemy do Jamajki przed końcem miesiąca. - Słowa zagłuszył nagły podmuch bryzy. Żagle załopotały, po czym pięknie się wypełniły.

Jamajka. Jak on to sobie wyobraża? Będzie jego kochanką? Nigdy ponownie nie wspominał o małżeństwie, nawet gdy kochali się w ostatnią noc przed wyjściem w morze. W zasadzie wystarczało jej to, że była u jego boku. To i tak więcej, niż się spodziewała.

Wziął ją za rękę i poprowadził pod pokład do kabiny, którą mieli dzielić w czasie podróży. Podażyła za nim, zapoznając się po drodze z rozkładem pomieszczeń statku. Minęli kuchnię i kajutę lekarza połączoną z magazynem środków medycznych. „Nautilus” został świetnie przygotowany do morskiej podróży. Miał piękną sylwetkę i znakomitą załogę, o którą właściciel bardzo dbał.

Zatrzymali się przed masywnymi drzwiami do kabiny Ashera.

- Zamknij oczy. - W jego lekko zachrypniętym głosie wyczuwała podniecenie, którego przyczyny nie potrafiła się domyślić. Wprowadził ją do środka kabiny. Wewnątrz było cieplej niż w pozostałych pomieszczeniach. Słyszała delikatne chlupanie wody o kadłub statku. - Możesz je już otworzyć.

Przed nią znajdowała się otwarta szafa, a w niej rząd wiszących na wieszakach damskich sukien. Obok na pokaznych rozmiarów stole leżały pantofle, szale, bielizna w różnych kolorach i fasonach. Podeszła do szafy i dotknęła dziennej sukni z jaskrawoczerwonego jedwabiu.

- Madame Berenger zapewniała mnie, że to odpowiedni rozmiar.

- Kupiłeś je dla mnie?

Zamknął szafę i stanął obok niej. Ku zdumieniu Emeraldy był wyraźnie zdenerwowany.

- Myślałem, że potrzebujesz nowych sukien.

- Uszyła je bez mierzenia?

- Opisałem jej twoją figurę. Ze szczegółami. - Obrzucił ją wzrokiem, bez pośpiechu, zmysłowo.

Emeraldzie zabiło serce. A więc to tak wygląda życie utrzymania? Potok dóbr materialnych w charakterze zapłaty za to, co, jak się spodziewała, nastąpi za chwilę? Zrozumiała nagle, że nie będzie mogła tego zrobić. Musi zachować się uczciwie.

- Nie wiem, jak długo pozostaniemy na Karaibach, ale są pewne rzeczy dotyczące mnie, których... które... - Poszukiwała odpowiednich słów. - Krótko mówiąc, nie jestem tam akceptowana w żadnych kręgach towarzyskich - wyrzuciła z siebie wreszcie.

Asher zbliżył się do niej, ale go powstrzymała.

- Mieszkałaś jednak w mieście.

- Byliśmy traktowani jak wyrzutki. - Gorycz bijąca z tych słów była oczywista, nawet dla niej. Mój Boże, ile by dała, by przynależć do jakiejś społeczności, choćby kongregacji z kościółka na wzgórzu dominującym nad brzegiem morskim. Jakże byłaby szczęśliwa, gdyby mogła uczestniczyć w wielkanocnych piknikach i obchodach święta majowego. Musi mu to wyjaśnić, zanim przybędą do Kingston Town. Zanim Asher zda sobie sprawę, jak bardzo jest zaszargana jej reputacja. - Nawet te piękne suknie mi nie pomogą.

- No to wyjdź za mnie za męża, Emerald.

Powiedział to tak cicho, że musiała spojrzeć mu prosto w twarz, by upewnić się, czy dobrze usłyszała.

- Za męża?

- Jeśli zostaniesz księżną Carisbrook, nie będziesz tak otwarcie krytykowana. Na wszelki wypadek pozwoliłem sobie wziąć na pokład pastora. - Opużkiem palca starł łzę z delikatnej skóry jej policzka. - Potrafię cię ochronić, jeśli mi pozwolisz.

- Dlaczego chcesz to zrobić?

Zauważyła, że drgają mu z napięcia mięśnie twarzy.

- Bo cię kocham.

- Asher... - Nagle wstąpiła w nią nadzieja, Była jak cudowny lek wstrzyknięty bezpośrednio do żyły. Czy możliwe, żeby to była prawda?

- Pokochałem cię już w chwili, gdy schyliłaś się na przyjęciu u biskupa Learyego i zobaczyłem, że nie masz nic pod suknią. - Oczy mu rozblęły. - Od tamtej pory obraz ten ciągle powracał do mnie nocą.

Choć chwila była podniosła, roześmiała się. Lecz śmiech

się urwał, gdy zobaczyła, jak Asher sięga do kieszeni i wyjmując niewielkie pudełeczko i otwiera je. Na aksamitnej poduszczyce leżał pierścionek ze szmaragdem, połyskujący piękną zielenią w świetle lampy.

Książę włożył pierścionek na trzeci palec lewej ręki Emeraldy.

- Wyjdź za mnie, Emeraldo Sandford. Tu, na statku, zanim dotrzemy na Jamajkę.

Nagle w jego gorącym uścisku wszystko stało się takie łatwe.

Zrobi to. Poślubi go. Dzisiaj. Teraz. Ciemne oczy Ashera błyszczały uczuciem.

- Mam dla ciebie jeszcze coś. Coś, co utraciłaś w Londynie. - Schylił się do biurka i wyjął schowane tam wiśniowe etui.

Ogarnął ją zachwyt. Jej perły.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że należały do mnie?

- Domyśliłem się na podstawie inicjałów, a także miejsca zakupu. Ostatecznym potwierdzeniem była wizytówka Miriam, którą pokazano mi w sklepie.

- Evangeline... moja matka wybrała te perły, gdy byłam niemowlęciem.

- A teraz ja dam ci je w prezencie ślubnym.

Ze łzami w oczach odłożyła perły z powrotem do etui i zaczęła czegoś szukać w swojej torbie podróżnej. Wyjęła z niej mapę i podała ją Asherowi.

- Ponieważ zaczynamy wszystko od początku, chciałabym ci dać to.

Ze zdziwieniem zauważyła, że jego twarz stężała.

- Nie mam zamiaru tracić ani czasu, ani pieniędzy na takie złudne miraży - powiedział ostrym głosem.

- Wiem. - Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że drze mapę na drobne kawałki.

Już po wszystkim. Nieodwracalnie zamknęła księgę starożytności. Precz z chciwością i zachłannością. Czeka ją bezpieczna przyszłość u boku Ashera.

Dotknęła szmaragdu. Była przekonana, że przyniesie jej szczęście.

- Piękny. Skąd go masz?

- Gdy już dochodziłaś do zdrowia, pojechałem do Londynu. Poszedłem do domu publicznego na Curzon Street. To takie miejsce, gdzie mężczyźni zapominają o swoich... kłopotach. Spędziłem tam mniej czasu niż potrzeba, aby wypić kieliszek brandy, a potem pojechałem do swojego jubilera.

Emeralda roześmiała się. Ujęła jego dłonie. Zauważyła, że nie ma już na małym palcu pierścionka z szafirem. Pogłaskała biały pasek nieopalonej skóry tam, gdzie znajdował się przedtem pierścionek.

- Po śmierci Melanie wiedziałem, nawet w najczarniejszych dniach żałoby i poczucia winy, że przetrwam, Gdyby zdarzyło się coś tobie, Emerald, wiem, że nie przeżyję...

Położyła palec na jego ustach, a on przygarnął ją do siebie. Wokół szumiał ocean, rozkołysany i przyjazny.

Ich świat.

- Mogłabym tu zostać na zawsze - szepnęła.

Uniósł brwi.

- Tu, w tym łóżku? - Zaśmiała się, ale jej rozbawienie znikło, gdy zaczął rozwiązywać sznurówkę jej stanika i zdierać z niej ubranie. - Jesteś taka piękna. Twoja skóra... tatuaż... - Ze zmarszczonym czołem wodził palcem po obrysie motylka. - Motyl. Mariposa po hiszpańsku. Po-

winieniem był się domyślić. Powinienem był wiedzieć, że to byłaś ty. Córka pirata... moja żona. - Wsparł się na ramionach, żeby nie przygniatać jej ciężarem swojego ciała, i dodał z powagą: - Nigdzie cię nie puszcę, Emerald. Jesteśmy złączeni na zawsze.

- Na zawsze - zawtórowała mu ze śmiechem.

scandalous

Epilog

Grudzień 1823

Na kominku w głównym holu w Falder buzował suty ogień. Dotkliwe chłody zimowe były im niestraszne.

Ruby siedziała obok Ashera, a na jego kolanach drzemał ośmiomiesięczny chłopczyk. Emeraldą z uśmiechem wsłuchiwała się w spokojny oddech malca.

- Zagraj jeszcze raz, kochanie - poprosił Asher, gdy odjęła od ust harmonijkę. - To działa tak uspokajająco na Ashtona.

Ugięła palce, żeby zmieściły się na niewielkim instrumencie, i rozejrzała się po pomieszczeniu. Lucinda i Rodney siedzieli w rogu przytuleni do siebie. Miriam, Alice i Annabelle rozmawiały pochylone nad robótkami leżącymi na ich kolanach. Azziz, Toro i Taris śmiali się z czegoś za ich plecami.

Jej świat.

Jej i Ashera.

Pełny. Kompletny. Doskonały.

Pogładziła strojną jedwabną suknię, którą miała na so-

bie, i spojrzała na portret wiszący nad kominkiem. Został namalowany w ubiegłym miesiącu przez najbardziej wziętego malarza w Londynie.

Emeralda Wellingham, księżna Carisbrook, głosił podpis na ramie.

Asher poprosił artystę, żeby w tle umieścił „Nautilusa” kołyszącego się na oceanie, a także zielone wzgórza Falder i półwysep dominujący nad Zatoką Powrotu do Domu.

Gdyby lepiej wpatrzyła się w obraz, dostrzegłaby również w głębi zarys statku bardzo podobnego do „Mariposy” oraz trzymających się za ręce na górnym pokładzie mężczyznę, kobietę i małego chłopca.

Tradycja i rodzina w komplecie.

Przeszłość związana z terażniejszością.

Z miłością.